

Nareszcie upał zelżał. Wiatr od morza przebił się przez gęste masy chamsi-nu¹, czyniąc szczeliny dla nadciągającego chłodu. Najpierw powiała lekka, niepewna bryza, aż wierzchołki cyprysów zdrząły zmysłowo, jakby przeszył je prąd płynący z korzeni przez rozkołysane pnie.

Pod wieczór wiatp od zachodu przybrał na sile. Chamsin umknął na wschód, z przybrzeżnej równiny na wzgórze judejskie, z judejskich wzgórz ku rozpadlinie Jerycha, a stamtąd ku leżącym na wschód od Jordanu pustyniom skorpionów. Wszystko wskazywało na to, że był to już ostatni chamsin. Zbliżała się jesień.

Krzycząc piskliwie, dzieci z kibucu² rozbiegły się po trawnikach. Dorośli wynosili leżaki z werand do ogrodów. Oto wyjątek, który potwierdza regułę - zwykł mawiać Saszka. Tym razem Saszka sam z siebie uczynił taki wyjątek, pozostawszy samotnie w pokoju, by pisać nowy rozdział swojej książki o problemach, czekających kibuc w czasach zmiany.

Saszka jest jednym z założycieli naszego kibucu i jego aktywnym, szanowanym działaczem. Bapczysty, rumiany, w okularach, o urodziwej i wrażliwej twarzy, na której maluje się wyraz ojcowskiej pewności siebie. Człowiek kipią

2 Tam, gdzie wyją szakale

cy energią. Wieczorny wietrzyk przepływający przez pokój był tak swawolny, że Saszka musiał przycisnąć stos niesfornych papierów ciężką popielniczką. Saszkę ożywił szczyry zapach, przydając jego zdaniom precyzji. Zmieniające się czasy - mówił sobie - wymagają nowych poglądów. Nade wszystko nie pozostawajmy w tyle, nie zwracajmy z raz obranej drogi, bądźmy czujni i gotowi.

Ściany domów, blaszane dachy baraków i sterty stalowych rur obok kuźni zaczęły wydzielać z siebie żar nagromadzony podczas chamsinu.

Galila, córka Saszki i Tani, stała pod zimnym prysznicem z dłońmi splecionymi na karku, z odchylonymi do tyłu łokciami. W kabinie było mroczno. Nawet mokre złotawe włosy dziewczyny, opadające ciężko na ramiona, wydawały się ciemne. Gdyby było tu duże lustro, mogłabym stanąć przed nim, żeby się ąobie przyjrzeć. Powoli, spokojnie. Przyjrzeć się jak wiatrowi od morza, który wieje na zeunątrz.

Lecz mała kabina przypominała kwadratową cel© i nie było w niej dużego lustra, bo i skąd miało się tam wziąć. Dlatego ruchy Galili zdradzały pośpiech i rozdrażnienie. Wytarła się niecierpliwie do sucha i włożyła czyste ubranie. Czego może ode mnie chcieć Matitiahu Dam-kow? Poprosił, żebym wstąpiła do niego po kolacji. Kiedy byliśmy dziećmi, uwielbialiśmy przyglądać się jemu i jego koniom. Ale żeby marnować czas w jakimś zatechłym kawalerskim pokoju, tego już za wiele. Wprawdzie obiecał, że da mi trochę zagranicznych farb, z drugiej strony jednak, wieczór jest krótki, a my rzadko mamy wolną chwilę. Jesteśmy pracującymi dziewczętami.

Jaki ten Matitiahu Damkow był skrepowany i zakłopotany, kiedy zatrzymał się na ścieżce, żeby mnie zaprosić do swego pokoju. I ta jego ręka gestykulująca w powietrzu, zupełnie jakby próbował wyrwać słowa z gorącego wiatru, dysząc niczym ryba wyrzucona z wody i nie znajdując sformułowań, których szukał.

- Dziś wieczorem. Warto, żebyś wpadła na parę minut - powiedział. - Zobaczysz, to będzie interesujące, Tylko na chwilę. I dość... hm... ważne. Nie pożałujesz. Prawdziwe płótno, a na dodatek farby, jakich używają zawodowi

Tam, gdzie wyją szakale 3

artyści. Szczerze mówiąc, dostałem te rzeczy od mojego kuzyna Leona, który mieszka w Ameryce Południowej. Ja nie potrzebuję płócien i farb. Ja... hm... I nawet jest tam szablon do malowania. To wszystko dla ciebie, tylko obiecaj, że na pewno przyjdiesz.

Na wspomnienie tych słów Galila poczuła mdłości, a zarazem lekkie rozbawienie. Myślała o fascynującej brzydocie Matitiahu Damkowa, który zdobył się na to, żeby zamówić dla niej płótno i farby. Cóż, chyba powinnam tam pójść i zobaczyć, o co chodzi i dlaczego zaprosił właśnie mnie. Ale nie zostanę w jego pokoju dłużej niż pięć minut.

2

W górach zachód słońca jest raptowny i zdecydowany. Nasz kibuc leży na równinie, a równina zmniejsza wagę zachodów słońca. Powoli, niczym zmęczony wędrowny ptak, zmierzch opada na powierzchnię ziemi. Najpierw w mroku pogrążają się stodoły i pozbawione okien magazyny. Nie szkodzi im nadejście ciemności, która tak naprawdę nigdy ich nie opuszcza. Potem przychodzi kolej na domy. Automat wprawia generator w ruch. Jego warkot odbija się echem o zbocza wzgórz jak bijące serce, daleki werbel. Przewody elektryczne ożywają i ukryty prąd zaczyna płynąć przez cienkie ściany naszych domów. W tym samym momencie pojawiają się światła we wszystkich oknach kwater zamieszkanymi przez weteranów-założycieli naszego kibucu. Metalowe złącza na wieży ciśnienia łapią gasnące promienie zachodzącego słońca, zatrzymując je na długą chwilę. Ostatni skryje się w ciemnościach pręt piorunochronu na szczycie wieży.

Starzy ludzie z kibucu jeszcze odpoczywają na leżakach. Są jak martwe przedmioty, które bez oporu pozwalają ogarnąć się cieniem nocy.

Tuż przed siódmą kibuc zaczyna budzić się do życia. Mieszkańcy ruszają powoli w stronę stołówki. Jedni dyskutują o tym, co wydarzyło się tego dnia, inni omawiają to, co trzeba zrobić nazajutrz, a jeszcze inni milczą. Dla Matitiahu Damkowa to znak, żeby wynurzyć się ze swego schronienia i przyłączyć do reszty społeczności. Zamyka

4 Tam, gdzie wyją szakale

drzwi, pozostawiając za sobą sterylną ciszę, i idzie do pełnej gwaru sali jadalnej.

3

Matitiahu Damkow jest drobnym mężczyzną, żyłastym i ciemnym; sama skóra i kości. Ma blisko osadzone, zapadnięte oczy, lekko wystające policzki, na twarzy zaś wypisany wyraz „a nie mówiłem”. Damkow zjawiał się w naszym kibucu zaraz po drugiej wojnie światowej. Pochodził z Bułgarii. Nigdy nie mówi o tym, gdzie był i co robił przedtem. A my go nie wypyujemy. Wiemy jednak, że spędził pewien czas w Ameryce Południowej. I że nosi wąsy.

Ciało Matitiahu Damkova jest przedziwnie zbudowane. Tułów ma szczupły, chłopięcy, a zarazem mocny, niemal nadnaturalnie zwinny. Ciekawe, jakie wrażenie robi takie ciało na kobietach. W mężczyznach budzi rodzaj nerwowego skrępowania.

U lewej ręki ma tylko kciuk i mały palec. Pomiedzy nimi jest pusta przestrzeń. W czasie wojny - powiada Matitiahu Damkow - ludzie ponosili większe straty niż trzy palce.

W ciągu dnia pracuje w kuźni, rozebrany do pasa, błyszczący od potu; mięśnie drgają mu pod napiętą skórą jak stalowe sprężyny. Spawa metalowe części, spaja rury, wyklepuje pogięte narzędzia, a zużyte zgniata na złom. Każdą rękę z osobna, prawą tak samo jak lewą, ma wystarczająco silną, aby unieść nią ciężki młot kowalski i uderzyć z kontrolowanym okrucieństwem w powierzchnię bezbronnego metalu.

Wiele lat temu Matitiahu Damkow z zadziwiającą zręcznością podkuwał kibucowe konie. Podobno w Bułgarii zajmował się hodowlą. Niekiedy z powagą tłumaczył jakąś niejasną różnicę pomiędzy koniem rozplodowym a koniem roboczym, opowiadając zgromadzonym wokół niego dzieciakom, jak to on i jego wspólnik czy też kuzyn, Leon, hodowali najcenniejsze okazy od Dunaju po Morze Egejskie.

Od kiedy kibuc przestał używać koni, mistrzostwo Matitiahu Damkova poszło w zapomnienie. Kilka dziewcząt

Tam, gdzie wyją szakale 5

zabrało zbędne podkowy, aby ozdobić nimi pokój. Tylko dzieci, które kiedyś przyglądały się podkuwaniu, tylko one pamiętają. Zręczność. Ból. Odurzający zapach. Szybki ruch. Galila żuła zazwyczaj lok jasnych włosów, z daleka o bserwując Damkowa szeroko otwartymi oczami, oczami swojej matki, nie ojca.

Ona nie przyjdzie.

Nie wierzę jej obietnicom.

Boi się mnie. Jest przezorna jak jej ojciec i sprytna jak matka. Nie przyjdzie. A jeśli nawet przyjdzie, nie powiem jej. Cóż z tego, że bym jej powiedział, skoro i tak mi nie uwierzy. Pójdzie i powtórzy wszystko Saszce. Słowami nic nie wskóram. Lecz oto widać już ludzi i światło: pora kolacji.

Na stołach połyskiwały sztuce, metalowe dzbanki i tace pełne chleba.

- Ten nóż wymaga naostrzenia - zwrócił się Matitiahu Damkow do swoich sąsiadów przy stole. Pokroił cebulę i pomidory na cienkie plasterki i przyprawił je solą, octem winnym i oliwą. - Zimą, kiedy nie będzie tyle roboty, naostrzę wszystkie noże ze stołówki, naprawię też rynnę. Właściwie do zimy już niedaleko. Ten chamsin był chyba ostatni. No i tak to jest. Zima zaskoczy nas w tym roku, zanim zdążymy się do niej przygotować.

W głębi stołówki, w pobliżu kuchni i kotłowni, chudzi staruszkowie, wszyscy łysi lub siwowłosi, stłoczyli się nad wieczorną gazetą. Gazeta została podzielona na części i po kawałku rozdana czytelnikom, którzy ją sobie „zarezerwowali”. Kilku z nich ofiarowuje się treści przeczytane właśnie artykuły. Pozostali przyglądają się tym mędrcom wzrokiem strudzonej, pogodnej starości. Albo słuchają w ciszy ze spokojnym smutkiem na twarzy. Ci ostatni, zdaniem Saszki, są najwierniejsi z wiernych. To oni wycierpieli najwięcej dla ruchu pracy.

Podczas gdy mężczyźni zgromadzeni wokół gazety dyskutują o polityce, kobiety oblegają stół kierownika robót. Tania podnosi głos w proteście. Ma poraną zmarszczkami twarz i oczy pełne niepokoju i znużenia. Kurczowo ścisną metalową popielniczkę, postukując nią o stół w ryt

6 Tam, gdzie wyją szakale

mie swoich skarg. Pochyla się nad arkuszami planu pracy, jakby ugiwała się pod ciężarem niesprawiedliwości, która została, czy też zaraz zostanie, jej wyrządzona. Włosy ma siwe. Matitiahu Damkow słyszy jej głos, ale nie rozróżnia słów. Najwyraźniej kierownik próbuje wycofać się z godnością pod naporem gniewu Tani. Ona zaś od niechcenia zbiera owoce zwycięstwa, prostuje się i idzie w kierunku stołu Matitiahu Damkowa.

- Teraz na ciebie kolej. Wiesz, że nie brak mi cierpliwości, ale wszystko ma swoje granice. I jeśli ten zamek nie zostanie pospawany do godziny dziesiątej jutro rano, to ja urządzę ci istne piekło. Są pewne granice, Matitiahu Damkow. No więc?

Mężczyzna napiął mięśnie twarzy, tak że jego brzydota stała się odrażająca, wręcz nie do zniesienia, jak maska kłowna, jak postać z koszmarnego snu.

- Ależ naprawdę - powiedział łagodnie - nie ma potrzeby tak się denerwować. Wasz zamek jest już od wielu dni pospawany, to wy nie przyszliście go odebrać. Przyjdź jutro. Przyjdź, kiedy chcesz. Wcale nie musisz mnie ponaglać.

- Ponaglać ciebie? Ja? Nigdy w życiu nie ośmieliłabym się niepokoić człowieka pracy. Wybacz mi. Mam nadzieję, że nie czujesz do mnie urazy.

- Urazy? Cóż znowu - odparł Matitiahu. - Wyrozumiały ze mnie facet. Dobranoc.

Tymi słowami sprawa ze stołówki zostaje zakończona. Czas wracać do pokoju, zapalić światło, usiąść na łóżku i spokojnie czekać. Czy trzeba mi czegoś więcej? Tak. Papierosów. Zapalek. Popielniczki.

4

Prąd elektryczny pulsujący w dwużyłowym przewodzie opromienia wszystko przyćmionym blaskiem: nasze domki o czerwonych dachach, nasze ogrody i wyboiste betonowe drogi, ogrodzenia i złomowisko, ciszę. Blade anemiczne kałuże jasności. Podstarzałe światło.

W górze na drewnianych słupach, ustawionych w regularnych odstępach wzdłuż okalającego płotu, zamonto

Tam, gdzie wyją szakale 7

wano reflektory. Usiłują one oświetlić pola i doliny, które rozciągają się aż do pofałdowanego podnóża gór. Światła z płotu zalewają niewielki krąg uprawnej ziemi. Poza tym kręgiem leżą noc i cisza. Jesienne noce nie są czarne. Nie tutaj. Nasze noce są szare. Szara poświata ogarnia pola, plantacje i sady. Sady już zaczęły żółknąć. Miękki, szarawy mrok z wielką czułością obejmuje korony drzew, zacierając ich ostre kontury i wypełniając przepaść, jaka dzieli bezruch śmierci od wszystkiego, co żyje. Tak oto ciemność zniekształca wygląd przedmiotów nieożywionych i nasacza je życiem zimnym i złowrogim, przepojonym trucizną. A jednocześnie spowalnia i łagodzi ruchy żywych nocnych stworzeń, maskując ich nieuchwytną obecność. Z tego powodu nie możemy zobaczyć, jak szakale wyskakują ze swych kryjówek. Nieuchronnie tracimy widok ich miękkich nosów węszących w powietrzu, ich łap, które prześlizgują się po murawie, ledwie dotykając ziemi.

Tylko psy z kibucu rozumieją ten zaczarowany ruch. To dlatego wyją nocami z zazdrości, trwogi i gniewu. I dlatego drapią ziemię, naprężając łańcuchy, tak że omal nie połamią sobie karków.

Dorosły szakal trzymałby się z dala od pułapki. Ten był młody: lśniący, miękki i najeżony, toteż dał się zwabić woni mięsa i krwi. Prawda, nie wpadł w sidła przez zwykłą nierozwagę. Po prostu kierował się węchem, sunąc ku zagładzie drobnymi, ostrożnymi kroczkami. Co chwila przystawał, wyczuwając w żyłach jakiś niejasny ostrzegawczy sygnał. Nieopodal pułapki zatrzymał się, zamarł bez ruchu, niemy, szary jak ziemia i jak ona cierpliwy. Nastawił uszu w nieokreślonej obawie, lecz nie usłyszał żadnego dźwięku. Owładnęły nim zapachy.

Czy było to w istocie zrządzenie losu? Powiadają, że los jest ślepy; my mówimy, że los spogląda na nas tysiącem oczu. Szakal był młody i jeśli nawet poczuł tysiąc utkwionych w sobie oczu, nie mógł zrozumieć znaczenia tych spojrzeń.

Ściana starych, zakurzonych cyprysów otacza plantację. Czymże jest owa ukryta nić, która łączy to, co martwe, z tym, co żywe? W rozpacz, wściekłości, rozdarciu,

8 Tam, gdzie wyją szakale

z zagryzionymi do krwi wargami, z oczami błyszczącymi obłędem szukamy jej końca. Szakale znają tę nić. Żyją w niej tętniące prądy zmysłów, które przepływają od ciała do ciała, od istnienia do istnienia, od drgnięcia do drgnięcia. I są w niej wytchnienie i spokój.

Wreszcie szakal pochylił głowę i przysunął nos do przynęty. Doszedł go soczysty zapach krwi. Wilgotny koniec pyska zwierzęcia drgał i ociekał śliną, sierść jeżyła mu się na grzbiecie, dygotały delikatne ścięgna. Łapę miękką jak mgiełka zbliżył do zakazanego owocu.

I wtedy nadszedł moment zimnej stali. Z metalowym zgrzytem, lekko i precyzyjnie, zatrzaskała się pułapka.

Zwierzę zastygło jak kamień. Może pomyślało, że zdoła przechytrzyć potrzask, jeśli uda, że jest martwe. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Przez długą chwilę szakal i pułapka leżały nieruchomo, jakby próbowały wzajemnie swoich sił. Powoli, z bólem stworzenie ocknęło się i powróciło do życia. A cyprysy kołysały się bezszelestnie, chyląc się i podnosząc, falując i płynąc. Młody szakal rozwarł szeroko szczęki i obnażył drobne zęby, z których kapiała piana.

Nagle ogarnęła go rozpacz.

Gwałtownym skokiem próbował wyrwać się na wolność, oszukać kata. Ból rozdarł mu ciało. Dysząc, przylgnął do ziemi.

A potem otworzył pysk i zapłakał. Odgłos jego zawodzenia uniósł się i nappełnił noc.

5

O szarej godzinie zmierzchu nasz świat składa się z kręgów w kręgach. Daleko stąd, w górach i na bezkresnych pustyniach, rozciąga się krąg jesiennego mroku. Opieczętowany i zamknięty wewnątrz niego znajduje się krąg naszego nocnego krajobrazu: winnice, sady i plantacje. Szepty ożywiają zamglone jezioro. Nocą nasze pola nas zdradzają. Nie są już znajome i posłuszne, poprzecinane kanałami nawadniającymi i piaszczystymi ścieżkami. Nasze pola przechodzą teraz do obozu nieprzyjaciela.

Tam, gdzie wyją szakale 9

Wysyłają ku nam fale obcych woni. W ciemnościach widzimy, jak jeżą się w oparach groźby i wrogości, powracając do swego pierwotnego stanu, w jakim były, zanim myśmy tu przywędrowali.

Wewnętrzny krąg, krąg światła, strzeże naszych domów i nas samych przed czającym się na zewnątrz zagrożeniem. Jednakże jest to ściana mało skuteczna, nie może bowiem powstrzymać zapachów wroga ani jego głosów. W ciemnościach owe głosy i zapachy dotykają naszego naskórka niczym zęby i pazury.

A w środku, w kręgu najbardziej wewnętrznym ze wszystkich, w sercu naszego iluminowanego świata, stoi biurko Saszki. Lampa stołowa rzuca spokojny jasny krąg, odpędzając cienie od stosów papieru. Pióro w dłoni Saszki posuwa się w przód i w tył, podczas gdy słowa nabierają kształtu. Nie ma nic bardziej szlachetnego niż postawa tych kilku nielicznych, którzy występują przeciwko większości - powiada często Saszka. Jego córka rozszerzonymi oczami przygląda się ciekawie twarzy Matitiahu Damko-wa. Jakiś ty brzydki. I nie jesteś jednym z nas. Dobrze, że nie masz dzieci i że pewnego dnia te tępe, mongoidalne oczy zamkną się na zawsze, a ty nie pozostawisz po sobie nikogo, kto byłby do ciebie podobny. Żałuję, że tu jestem, ale zanim sobie pójdę, muszę się dowiedzieć, czego ode mnie chcesz i dlaczego mi powiedziałaś, żebym przyszła. Jak duszno w tym twoim pokoju, czuje się tu starokawa-lerski zaduch, który przypomina swąd oliwy wielokrotnie użytej do smażenia.

- Może usiądziesz - odezwał się Matitiahu z cienia, Nędzny bezruch wypełniający pokój sprawił, że jego głos wydaje się głębszy i jakby bardziej oddalony.

- Trochę mi się śpieszy.

- Zaraz będzie kawa. Prawdziwa. Z Brazylii. Mój kuzyn Leon przysłał mi również kawę, pewnie myśli, że kibuc to rodzaj kolchozu. Taki kolchozowy obóz pracy. A kolchoz to przecież kolektywne gospodarstwo rolne w Rosji.

- Dla mnie czarna, bez cukru, jeśli można - powiedziała Galila, a słowa te zaskoczyły nawet ją samą.

Co ten okropny człowiek ze mną wyprawia? Czego on ode mnie chce?

10 Tam, gdzie wyją szakale

- Mówiłeś, że pokażesz mi jakieś płótna i farby, prawda?

- Wszystko w swoim czasie.

- Nie spodziewałam się, że zadasz sobie tyle trudu, żeby przygotować kawę i ciastka; wpadłam tylko na chwilę.

- Jesteś blondynką - zaczął mężczyzna, oddychając ciężko - masz jasne włosy, ale mnie to nie zwiódło. Coś tu się nie zgadza. Na pewno. Chodzi mi o to, że wypijesz teraz swoją kawę, grzecznie i bez pośpiechu, a ja poczęstuję cię papierosem, amerykańskim, z Wirginii. A tymczasem rzuć okiem na to pudełko. Pędzle. Specjalne farby olejne. I płótno. I jeszcze jakieś tubki. To wszystko dla ciebie. Ale najpierw wypij. Nie śpiesz się.

- Ale ja wciąż nic nie rozumiem - odparła Galila. Mężczyzna, który w letnią noc chodzi po pokoju

w podkoszulku, zwykle nikogo nie dziwi. Lecz małpie ciało Matitiahu Damkowa wywołało w dziewczynie niezrozumiały niepokój. Ogarnęła ją panika. Odstawiła filiżankę z kawą na mosiężną tacę, zerwała się z krzesła i stanęła za nim, ściskając kurczowo poręcz, jakby chciała się schronić za barykadą.

Ten przejrzysty, zaleźniony gest zachwycił gospodarza. Przemówił cierpliwie, niemal kpiąco:

- Zupełnie taka sama jak matka. A ja tymczasem mam zamiar powiedzieć ci o czymś, czego, moim zdaniem, na pewno nie wiesz. Najwyższa pora, żebyś dowiedziała się o niegodziwości swojej matki.

Teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, Galilę przepelnia zimna odraza:

- Jesteś szalony, Matitiahu Damkow. Wszyscy mówią, że jesteś szalony.

Na jego twarzy pojawił się wyraz czulej surowości; tajemniczy, a zapazem namiętny.

- Zwariowałeś, zejdz mi z drogi, przepuść mnie. Chcę stąd wyjść.

Mężczyzna cofnął się trochę, nadal bacznie w nią wpatrzony. Nagle skoczył na łóżko, siadł, opierając się o ścianę i wybuchnął przeciągłym, rozradowanym śmiechem.

- Spokojnie, córko, skąd ten pośpiech? Spokojnie. Dopiero zaczęliśmy. Cierpliwości. Nie denerwuj się tak. Nie trać energii.

Tam, gdzie wyją szakale 11

Galila szybko rozważyła dwie możliwości, jedną bezpieczną, drugą pociągającą, i zapytała:

- Proszę, powiedz mi, czego ty ode mnie chcesz?

- Właśnie - odparł Matitiahu Damkow - woda znowu się gotuje. Zrobimy sobie krótką przerwę i napijemy się jeszcze trochę kawy. Nie zaprzeczysz, że nigdy nie piłaś lakiej dobrej kawy, co?

- Dla mnie bez mleka i bez cukru. Już ci mówiłam.

6

Aromat kawy wyparł wszelkie inne zapachy: mocny, przyjemny aromat, przeszywający niemal na wskroś. Galila uważnie obserwowała Matitiahu Damkova, przyglądając się jego ruchom, sprężystym mięśniom pod siatkowym podkoszulkiem, klinicznej brzydocie. Kiedy ponownie się odezwał, ścisnęła mocniej filiżankę w dłoniach; na moment opanował ją spokój.

- Jeśli chcesz, mogę ci coś opowiedzieć. O koniach.

O farmie, którą kiedyś mieliśmy w Bułgarii, jakieś pięćdziesiąt siedem kilometrów od portu w Warnie, o stadninie. Należała do mnie i do mojego kuzyna Leona. Specjalizowaliśmy się w dwóch dziedzinach: w hodowli koni roboczych i koni rozplodowych, innymi słowy: zajmowaliśmy się kastrowaniem i pokrywaniem. O czym chciałabyś usłyszeć najpierw?

Galila odprężyła się i usiadła na krześle wygodniej, ze skrzyżowanymi nogami, gotowa do wysłuchania opowieści. W dzieciństwie zawsze przepadała za tą chwilą tuż przed rozpoczęciem bajki na dobranoc.

- Pamiętam - rzekła - kiedy byliśmy dziećmi, przychodziliśmy, żeby popatrzeć, jak podkuwasz konie. To było piękne i dziwne, takie jak... jak ty.

- Przygotowania do udanego pokrycia - zaczął Matitiahu, podsuwając jej talerz z herbatnikami - to zajęcie dla zawodowców. Wymaga znawstwa, a także intuicji. Najpierw trzeba ogiera zamknąć na długi czas w odosobnieniu. Żeby doprowadzić go do szału. To poprawia nasienie. Przez wiele miesięcy trzyma się go z dala od klaczy,

1 od ogierów też. Ze złości gotów jest nawet zaatakować

12 Tam, gdzie wyją szakale

innego samca. Nie każdy ogier nadaje się na konia rozplodowego, może jeden na sto. Jeden koń rozplodowy na sto koni roboczych. Trzeba mnóstwo doświadczenia, a także uważnej obserwacji, żeby wybrać właściwego konia. Głupi, nieopanowany koń jest najlepszy. Chociaż wcale nie tak łatwo znaleźć głupiego konia.

- Dlaczego musi być głupi? - spytała Galila, przetykając ślinę.

- Chodzi o szaleństwo. Nie zawsze największy i najpiękniejszy ogier spłodzi najlepsze źrebaki. Prawdę powiedziawszy, mierny koń może mieć więcej energii i właściwy rodzaj temperamentu. Po przetrzymaniu kandydata w odosobnieniu, wlewaliśmy mu wino do poidła, z pół butelki. To był pomysł mojego kuzyna Leona. Żeby konia trochę spoić. Potem umieszczaliśmy go tak, żeby mógł przez barierki widzieć klacze i żeby dolatywał do niego ich zapach. Wtedy ogier dostaje szału. Bodzie łbem jak byk. Tarza się na grzbiecie, wierzga nogami w powietrzu. Drapie się i trze, próbując rozpaczliwie doprowadzić się do wytrysku. Rzy przeraźliwie i kąsa naokoło. Kiedy ogier zaczyna kąsać, wówczas wiemy, że nadszedł czas. Otwieramy bramę. Klacz już na niego czeka. I tylko przez moment ogier się waha. Drżąc i dysząc. Jak skrecona sprężyna.

Galila drgnęła, wpatrując się jak w transie w usta Matitiahu Damkowa.

- Tak - powiedziała.

- I wtedy to się staje. Jak gdyby prawo grawitacji zostało nagle odwołane. Ogier nie biegnie, lecz przelatuje w powietrzu. Jak kula armatnia. Jak nagle uwolniona sprężyna. Klacz pochyla się i spuszcza łeb, a on wbija się w nią, pchnięcie za pchnięciem. Oczy ma przekrwione. Nie może złapać powietrza, dławi się i dyszy, jakby konał. Pysk ma otwarty, aż ślina i piana ciekną na jej głowę. Nagle zaczyna charczeć i wyć. Jak pies. Jak wilk. Spazm i krzyk. W takiej chwili trudno odróżnić rozkosz od bólu. A pokrywanie niewiele różni się od kastracji.

- Dość, Matitiahu, na litość boską, dość.

- Teraz odpoczniemy. Albo może wolałabyś usłyszeć, jak się kastruje konia?

Tam, gdzie wyją szakale 13

- Proszę, dość. Już nic więcej - błagała Galila.

Matitiahu uniósł powoli okaleczoną rękę. Współczucie w jego głosie zabrzmiało dziwnie, niemal po ojcowsku:

- Zupełnie jak twoja matka. A co do tego - dodał - co do palców i kastracji, to porozmawiamy o tym innym razem. Teraz wystarczy. Nie obawiaj się już. Możemy sobie odpocząć i trochę się odprężyć. Mam tu gdzieś kropelkę koniaku. Nie? Nie. Wobec tego wermutu. Jest także wermut. Za zdrowie mojego kuzyna Leona. Pij. Uspokój się. Wystarczy.

7

Chłodne światło dalekich gwiazd pokrywa pola czerwonawą powłoką. W ostatnich tygodniach lata cała ziemia została zaorana. Teraz czeka na zimowy siew. Kręte polne drogi przecinają równinę, miejscami widać ciemne plamy plantacji, ogrodzonych ścianami cyprysów.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nasze pola czują niepewny dotyk zimna. Kanały nawadniające, zawory i metalowe urządzenia zazwyczaj pierwsze kapitulują wobec każdego zwycięzcy, letniego skwaru czy też przymrozku jesieni. I pierwsze poddają się chłodnawej wilgoci.

W przeszłości, czterdzieści lat temu, założyciele naszego kibucu okopali się w tej krainie, ryjąc w ziemi swymi bladymi paznokciami. Niektórzy byli jasnowłosi jak Sasz-ka, inni - tak jak Tania - ciemni i chmurni. W długie, upalne dni przeklinali ten kraj spalony ogniem słońca, przeklinali go w rozpacz i złości, w tęsknocie za rzekami i lasami. Lecz kiedy zapadała noc, układali czułe pieśni miłosne do tej ziemi, niepomni na czas i miejsce. Nocą zapomnienie nadawało życiu smak. W gniewnej ciemności niepamięć brała ich w matczyne objęcia. „Tam” -śpiewali nie „tutaj”.

Tam, w ojców naszych najmiłszej ziemi. Tam się sny nasze spełnią sownie, Tam żyć będziemy, fam nowe życie Zdrowe i wolne zbudujemy...

14 Tam, gdzie wyją szakale

Ludzie tacy jak Saszka wykuci byli z pasji, tęsknoty i poświęcenia. Matitiahu Damkow i jemu podobni uchodźcy z ostatnich lat nic nie wiedzą o tej pałacej tęsknocie ani o poświęceniu, które wysysa krew z warg. Dlatego starają się włamać do wewnętrznego kręgu. Zabiegają o kobiety. Używają słów podobnych do naszych. Lecz ich smutek jest inny, oni nie należą do nas, oni są obcy; to ludzie z zewnątrz, i takimi pozostaną aż do śmierci.

Uwięziony szakal poczuł zmęczenie. Jego prawa łapa wciąż tkwiła w kleszczach pułapki. Leżał rozciągnięty na murawie, jak gdyby pogodzony z losem.

Najpierw polizał swoje futro, powoli jak kot. Potem naprężył szyję i zaczął lizać gładki, błyszczący metal. Tak jakby chciał obdarzyć ciepłem i miłością milczącego wroga. Klęska lęgnie się na równi z miłości i z nienawiści. Wsunął wolną łapę pod potrzask, wymacał przynętę, ostrożnie wycofał łapę i spróbował wyczuć językiem smak, który do niej przylgnał.

W końcu się zjawily.

Shakale - wielkie, wychudłe, brudne, o rozdętych brzuchach. Niektóre z ropiejącymi ranami, inne cuchnące zgniłą padliną. Jeden po drugim nadciągały ze swych odległych legowisk, by spełnić straszliwy rytuał. Utworzyły krąg i wlepiają pełne litości oczy w bezbronnego jeńca. Przewrotna radość z trudem usiłuje przybrać postać współczucia, triumfujący szatan kryje się pod maską żałoby. Na niewidzialny sygnał nocni rabusie nieśpiesznie suną wkoło małymi, posuwistymi kroczkami, jak w tańcu. Na koniec podniecenie eksploduje uciechą, rytm ulega załamaniu, obrzędowy korowód rozpada się i szakale zaczynają skakać dziko jak wściekłe psy. Rozpaczliwe głosy wzbijają się ku mrocznemu niebu: smutek i wściekłość, zawiść i triumf, bestialski śmiech i zdławione, błagalne wycie, nabrzmiałe gniewem i groźbą, to wznoszące się do wrzasku przerażenia, to znów zamierające w uległości, lamencie i ciszy.

Po północy szakale zamilkły. Może zrezygnowały z uratowania bezradnego szczenięcia? Cicho rozpiierzchły się do swoich własnych trosk. Noc, ta cierpliwa zbieraczka, wzięła je w ramiona i zatarła wszelkie ślady.

Matitiahu Damkow rozkoszował się interludium. Galila również nie próbowała przyspieszać biegu wydarzeń, liła noc. Dziewczyna rozwinęła płótno, które Matitiahu Damkow otrzymał od swego kuzyna Leona, i oglądała tuby farb. Były to materiały dobrego gatunku, jakich używają profesjonaliści. Dotychczas malowała na impregnowanej tkaninie, z której robi się worki, albo na kiepskim płótnie farbami pożyczonymi z przedszkola. Jest taka młoda, domyślał Matitiahu Damkow, przypomina małą dziewczynkę, szczupłą i zepsutą. A ja zaraz roztrzaskam ją na kawałeczki. Powoli, powoli. Przez moment miał ochotę powiedzieć jej od razu całą prawdę, uderzyć jak grom z jasnego nieba, ale rozmyślił się. Noc mijała nieśpiesznie.

W zapamiętaniu i zachwycie, nie mogąc się oprzeć, Galila przesuwiała w palcach cienki pędzel, lekko dotyka-ta pomarańczowej farby, włosiem pędzla delikatnie gładziła płótno, przywodząc na myśl nieświadomą pieszczotę, niczym dotknięcie karku opuszkami palców. Od jej ciała płynęła ku niemu niewinność, jego ciało odpowiadało przyływem pożądania.

Później Galila zastygła bez ruchu, niby uśpiona na zapuszczonych i pochlapanych kaflach posadzki, nad płótnem i tubkami farb rozrzuconymi dokoła. Matitiahu położył się na wznak na wąskim łóżku i zamknąwszy oczy, zatonął w marzeniach.

Na jego żądanie nawiedzały go wizje - to pełne spokoju, to znów opętane, a wszystkie jawiły mu się przed oczyma jak żywe. Tym razem postanowił przywołać obraz powodzi, jeden z najgroźniejszych w swoim repertuarze.

Najpierw ukazują się górskie zbocza poprzecinane mnóstwem rozpadlin i pęknięć, którymi płyną, krzyżując się i ostro załamując, rwące strumienie.

Potem żleby błyskawicznie zapełniają się gromadami maleńkich ludzików. Jak drobne czarne mrówki wypełzają, sącząc się ze swoich kryjówek w górskich szczelinach, pędzą w dół niczym wodospad. Hordy chudych, ogorzałych ludzi suną nieprzerwanie po zboczach, toczą się jak lawina kamieni i spienionym potokiem zalewają równi

16 Tam, gdzie wyją szakale

nę. Tutaj rozdzielają się na tysiąc pochodów, gnając na zachód gwałtownie wezbraną falą. Są już tak blisko, że można dostrzec ich kształty: ciemna, obrzydliwa, wycieńczona masa, zawszona, zapchlona i smrodliwa. Głód i nienawiść wykrzywiają im twarze. Ich oczy płoną obłędem. Jak powódź ogarniają żyzne doliny, biegnąc przez ruiny opuszczonych wsi. W tym pędzie ku morzu wloką za sobą wszystko, co leży im na drodze; wrywają słupy, pustoszą pola, zrównują z ziemią ogrodzenia, tratują ogrody, огоlacają sady, plądrują domostwa; rozpełzając się po chatach i stajniach, wspinają się na ściany jak oszalałe małpy; prą przed siebie, na zachód, ku piaskom morza.

I nagle ty także jesteś osaczony, obleżony, sparaliżowany strachem. Widzisz ich oczy rozpalone odwieczną nienawiścią, usta szeroko otwarte, zęby żółte i zepsute; zakrzywione sztylety połyskują im w rękach. Przeklinają cię urywanym krzykiem, głosami zdławionymi od wściekłości i mrocznego pożądania. Ich ręce po omacku szukają twego ciała. Nóż i krzyk. Z ostatnią iskrą życia gasisz obraz i niemal oddychasz z ulgą.

- Słuchaj - mówi Matitiahu Damkow, trącąc dziewczynę prawą ręką, podczas gdy lewa ręką, ta okaleczona, pieści jej kark. - Posłuchaj mnie. Wyjedźmy stąd. Dziś w nocy. Jutro rano. Ocalę cię. Uciekniemy razem do Ameryki Południowej, do mojego kuzyna Leona. Zajmę się tobą. Nigdy cię nie opuszczę.

- Zostaw mnie w spokoju, nie dotykaj mnie - powiedziała.

Zamknął ją w mocnym, milczącym uścisku.

- Jutro mój ojciec cię zabije. Mówiłam ci, żebyś mnie nie dotykał.

- Tak, twój ojciec opiekuje się tobą, zawsze się będzie tobą opiekował - odparł cicho Matitiahu Damkow. Wypuścił ją z objęć. Dziewczyna wstała, zapięła spódnicę i przygładziła jasne włosy.

- Nie mam na to ochoty. Wcale nie zamierzałam tu przychodzić. Wykorzystujesz okazję i robisz ze mną rzeczy, których ja nie chcę, i mówisz też różne rzeczy, bo jesteś szalony; wszyscy wiedzą, że jesteś szalony, zapytaj kogo chcesz.

Tam, gdzie wyją szakale 17

Matitiahu Damkow uśmiechnął się szeroko.

- Nie przyjdę więcej do ciebie, nigdy. I nie chcę twoich farb. Jesteś niebezpieczny. Jesteś brzydki jak małpa. I szalony.

- Opowiem ci o twojej matce, jeśli pozwolisz. A gdybyś chciała kogoś nienawidzić i przeklinać, to ją powinnaś nienawidzić, nie mnie.

Galila odwróciła się gwałtownie do okna, otworzyła je ruchem pełnym rozpacz i wychyliła się w pustkę nocy. Zaraz zacznie krzyczeć, pomyślał Matitiahu Damkow w popłochu, zacznie krzyczeć i okazja już się może nie powtórzyć. Krew uderzyła mu do głowy. Rzucił się ku dziewczynie, zatkał jej usta dłonią, wciągnął ją z powrotem do pokoju, zanurzył twarz w jej włosach, wargami poszukał jej ucha, znalazł je i powiedział.

9

Ostry chłód jesiennego powietrza przylepia się do zewnętrznych ścian domów, próbując wcisnąć się do środka. Z podwórka na zboczu wzgórza dobiegają porykiwania bydła i przekleństwa pasterzy. Może to jakaś krowa się cieli, wielka pochodnia rzuca światło na krew i błoto. Matitiahu Damkow ukląkł na podłodze i pozbierał porozrzucone przez swego gościa farby i pędzle. Galila wciąż stała w otwartym oknie, tyłem do pokoju, wpatrzona w ciemność. Potem przemówiła, nadal zwrócona plecami do mężczyzny.

- Nie wierzę - rzekła - to niemożliwe, a nawet nielogiczne, i nikt nie może tego udowodnić. To czysty obłąd. Jestem tego pewna.

Matitiahu Damkow spojrzał na plecy dziewczyny mongoidalnymi oczami. W owej chwili jego brzydota była absolutna. Skondensowana, przejmująca brzydota.

- Nie mam zamiaru cię przekonywać. Proszę bardzo. Będę milczał. Najwyżej zaśmieję się w duchu. Jeżeli o mnie chodzi, to możesz być córką Saszki albo nawet samego Ben Guriona\ Ja nic nie powiem. Nie powiem nic, tak jak mój kuzyn Leon. Kochał swojego syna, który był chrześcijaninem, a nie powiedział mu tego aż do chwili,

18 *Tam, gdzie wyją szakale*

kiedy ten jego syn zabił jedenastu policjantów, a potem siebie samego. Dopiero wtedy Leonowi przypomniało się, żeby nad grobem powiedzieć synowi „kocham cię”. Proszę bardzo.

Nagle bez ostrzeżenia Galila wybuchnęła śmiechem.

- Ty głupcze, ty nędzny głupcze, przypatrz mi się, przecież ja jestem blondynką, zobacz!

Matitiahu nie odpowiedział.

- Nie jestem twoja, na pewno, ponieważ mam jasne włosy; nie jestem ani twoja, ani Leona, mam jasne włosy i wszystko jest w porządku! Widzisz!

Mężczyzna skoczył ku niej, dysząc, jęcząc, na oślep torując sobie drogę. W pośpiechu przewrócił stolik, dygotał gwałtownie, a dziewczyna dygotała wraz z nim.

A potem wyrwała mu się i uciekła pod przeciwległą ścianę. On jednym kopnięciem odtrącił stolik na bok. Potknął się. Oczy nabiegły mu krwią i dźwięk przypominający charkot wydostał się z jego gardła. Nagle Galili przypomniała się twarz matki, jej drżące usta i łzy płynące po policzkach, i omdlewającą ręką odepchnęła mężczyznę od siebie. Jak porażeni, cofnęli się oboje, patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami.

- Ojciec - powiedziała Galila w zdumieniu, jak gdyby obudziwszy się w pierwszy zimowy poranek u kresu długiego lata, wyrzła przez okno i dodała:

- Deszcz.

10

Słońce wschodzi bez godności w naszej części świata. Z tanim sentymentalizmem ukazuje się ponad szczytami gór, dotykając naszych pól niepewnymi promieniami. Żadnej chwały, żadnych skomplikowanych sztuczek ze światłem. Czysto konwencjonalne piękno, które bardziej przypomina widokówkę niż prawdziwy pejzaż.

Jednakże będzie to już jeden z ostatnich takich wschodów słońca. Wkrótce nadciągnie jesień. Jeszcze kilka dni i rano obudzą nas odgłosy deszczu. Może też sypnąć grad. Słońce wzejdzie za zasłoną szaroburych chmur. Ci, którzy wcześniej wstaną, zapną płaszcze szczelnie pod szyję i wy

Tam, gdzie wyją szakale 19

tonią się ze swych domów, zabezpieczeni od sztyletów wiatru.

Ścieżka pór roku jest mocno wydeptana. Jesień, zima, wiosna, lato, jesień. Wszystko jest tak, jak było zawsze. Ktokolwiek by szukał trwałego punktu w przemijaniu czasu i w biegu lat, zrobi dobrze, jeśli wsłucha się w odgłosy nocy, których od wieków nic nie zmienia. To stamtąd do nas docierają.

1963

¹ Chamsin [arab. Chamsu: pięćdziesiąt] - gorący, suchy wiatr ze wschodu, który wieje przez pięćdziesiąt dni na wiosnę i pod koniec lata, niosąc pył pustynny i powodując burze piaskowe (przyp. tłum.).

² Kibuc [dosł. zgromadzenie, wspólnota] - dobrowolna wspólnota osadników oparta na zasadach wspólnej własności ziemi i środków produkcji, ochotniczej pracy, równych prawach i obowiązkach oraz zbiorowej odpowiedzialności materialnej jej członków. Powstanie kibuców /wiązane jest z ruchem syjonistycznym i osadnictwem żydowskim w Palestynie. Pierwszy kibuc Deganja został założony w północnej Gali lei w 1909 roku przez 24-osobową grupę imigrantów przybyłych z Rosji; do 1990 powstało 270 kibuców, skupiających w sumie ok. 125 tys. ludzi.

³ Wszystkie cytaty wierszy w przekładzie Ireny Kuran-Boguckiej.

⁴ Dawid Ben Gurion (1886-1973) - izraelski prawicowy polityk, działacz ruchu syjonistycznego, zwany „ojcem narodu”. W latach 1948-53 i 1955-63 był premierem i ministrem obrony Izraela (przyp. tłum.).

Koczownik i zmija

I

TTj) rzywiódł ich głód.

I Uciekali na północ od koszmaru głodu, gnając swoje zakurzone stada. Od września do kwietnia susza nie dała pustyni ani chwili wytchnienia. Less zamienił się w pył. Głód ogarnął obozowiska i przetrzebił stada.

Władze wojskowe obserwowały sytuację z bacznością. Niezależnie od pewnych wahań zdecydowały, że Beduinom należy udostępnić drogi wiodące na północ. Nie można było całej ludności - mężczyzn, kobiet i dzieci - tak po prostu skazać na głód.

Ogorzali i żyłaści członkowie pustynnych szczepów wytrwale wędrowali nieprzetartymi szlakami, a za nimi ciągnęło wycieńczone bydło. Posuwali się wąwozami ukrytymi przed wzrokiem mieszkańców miast. Nieprzerwanym potokiem parli na północ, okrążając z rzadka rozrzucone osady, szeroko otwartymi oczami spoglądając na zasiedlone ziemie. Ciemne stada rozbiegały się po złotawych ścierniskach, szarpiąc i żując mocnymi, mściwymi zębami. Zachowanie koczowników było ostrożne i powściągliwe; wystrzegali się badawczego wzroku. Unikali spotkań, próbowali zataić swoją obecność.

Kiedy mijano się ich na hałaśliwym traktorze, obsypując tumanami kurzu, skwapliwie zaganiali swoje zwierzę

Koczownik i żmija 21

ta, aby stworzyć wygodny przejazd, znacznie szerszy, niż było to konieczne. Przypatrywali się z dala, nieruchomi jak posągi. Skwarne powietrze zacierało obraz, nadając im jednolity wygląd: pasterz z kosturem, kobieta z dziećmi, stary człowiek o głęboko zapadniętych oczach. Niektórzy byli na wpół ślepi, a może tylko udawali ślepotę z jakiejś niejasno określonej przyczyny. Nieodgadnionej dla ludzi takich jak my.

Ich nędzne zwierzęta: grupki małych, wychudzonych stworzeń, potulnych, cichych i pokornych jak ich niemi opiekunowie, jakże różniły się od naszych dobrze utrzymanych owiec.

Tylko wielbłądy przejawiały zniecierpliwienie. Z wysokości swojej długiej szyi wodziły za człowiekiem zmęczonymi oczami, pełnymi pogardy i smutku. Ich spojrzenie zdawało się kryć w sobie odwieczną mądrość, a po skórze raz po raz przebiegało im dziwne drżenie.

Czasami można któregoś z nich zaskoczyć zniecacka. Wędrując przez pole, nagle napotykasz stojące bez ruchu, zobojętniałe stado, oszołomione południem, z nogami jakby wrośniętymi w spaloną ziemię. Pośród zwierząt leży uśpiony pasterz, ciemny niczym bazaltowy głaz. Podchodzisz i zakrywasz go swoim postrzępionym cieniem. Zdumiony, dostrzegasz jego szeroko otwarte oczy. W pojednawczym uśmiechu pasterz odsłania niemal wszystkie zęby. Niektóre są lśniące, inne spróchniałe. Poraża cię jego odór. Krzywisz się. Twój grymas godzi w niego jak uderzenie w twarz. Wstaje zwinnie, prostuje się i opuszcza ramiona. Spoglądasz na niego wzrokiem zimnym jak stal. On uśmiecha się szerzej i wydaje jakiś gardłowy dźwięk. Jego ubiór jest swoistym kompromisem: krótka, połatana europejska marynarka na białej pustynnej szacie. Mężczyzna przechyla głowę na bok. W jego spojrzeniu pojawia się uspokajający błysk. Jeśli nie zaczniesz go od razu besztać, on nagle wyciągnie lewą rękę i mówiąc szybko po hebrajsku, poprosi o papierosa. Jego głos ma jedwabiste brzmienie jak głos nieśmiałej kobiety. Gdy jesteś akurat wspaniałomyślny, bierzesz sam jednego papierosa, drugiego zaś rzucasz mu w zagłębienie dłoni. Z kolei

22 *Koczownik i żmija*

on, ku twemu zaskoczeniu, wydobywa z zakamarków swojej szaty pozłocaną zapalniczkę i podaje pełgający ogień. Przez cały czas uśmiech nie schodzi mu z warg. Ten uśmiech trwa zbyt długo, jest nieprzekonywający. Błysk słońca odbija się w ciężkim złotym pierścieniu, zdobiącym jego palec, i razi cię w przymrużone oczy. W końcu odwracasz się i odchodzisz swoją drogą. A kiedy po stu czy dwustu krokach spoglądasz za siebie, widzisz go stojącego tam nadal, ze wzrokiem wbitym w twoje plecy. Mógłbyś przysiąc, że wciąż się uśmiecha i że będzie się uśmiechał jeszcze długo.

A do tego to ich śpiewanie nocą. Od zachodu słońca aż po świt w nocnym powietrzu płynie przeciągłe, bolesne zawodzenie. Głosy przenikają ogrody i ścieżki kibucu, obarczając nasze noce niespokojnym ciężarem. Ledwie zacząłeś zapadać w sen, a już daleki łoskot bębnowy nadaje twojej drzemce rytm podobny do bicia nieczułego serca. Noce są gorące i parne. Rzadkie chmury pieszczą księżyc, sunąc po niebie jak karawana łagodnych wielbłądów, wielbłądów bez dzwonków.

Namioty koczowników zrobione są z ciemnych płacht. Nocą samotne bosonogie kobiety bezszelestnie krążą po okolicy. Nocą chude, złośliwe psy wybiegają z obozowiska Beduinów, rzucając wyzwanie księżycowi. Ich ujadanie doprowadza kibucowe psy do obłędu. Kiedyś nasz najlepszy pies dostał szału, zakradł się do kurnika i podusił wszystkie kurczęta. Strażnicy zastrzelili go nie dlatego, że byli okrutni. Nie mieli innego wyjścia. Każdy rozsądny człowiek musiałby usprawiedliwić ich postępowanie.

2

Można by sobie wyobrazić, że wtargnięcie koczowników wzbogaciło nasze powalone upałem noce o poetycki wymiar. Tak pewnie było w wypadku paru niezamężnych dziewcząt. Jednakże nam trudno się powstrzymać od wspomnienia wielu takich prozaicznych i w istocie nieestetycznych zakłóceń, jak choćby epidemia pryszczycy, niszczenie plonów czy plaga drobnych kradzieży.

Koczownik i żmija 23

Pryszczyca przywędrowała z pustyni, przywleczona przez ich zwierzęta, które nigdy nie były poddane właściwym badaniom medycznym. Jakkolwiek zastosowaliśmy liczne środki wczesnego zapobiegania, wirus zainfekował nasze owce i bydło, poważnie zmniejszając produkcję mleka i wybijając sporo naszych zwierząt.

Jeśli chodzi o wyrządzane na polach szkody, trzeba przyznać, że nigdy nie zdołaliśmy złapać żadnego koczownika na gorącym uczynku. Znajdowaliśmy jedynie ślady ludzi i zwierząt pomiędzy rzędami warzyw, na łąkach i w głębi starannie ogrodzonych sadów. A także poniszczone kanały nawadniające, wyrwane słupki graniczne, porzucone w polu narzędzia rolnicze oraz inne przedmioty.

Nie należymy do ludzi, którzy puszczają takie rzeczy płazem. Nie wierzymy w wyrozumiałość ani wegetarianizm. Odnosi się to zwłaszcza do naszych młodych mężczyzn. Pośród starych założycieli kibucu jest kilku wyznawców idei Tołstoja, i tym podobnych. Przyzwoitość powstrzymuje mnie przed rozważaniem w szczegółach pewnych wyizolowanych i wyjątkowych aktów odwetu, dokonanych przez kilku młokosów, których cierpliwość się wyczerpała, takich jak na przykład kradzież bydła z ich obozu, ukamienowanie chłopca koczowników czy też bezsensowne pobicie jednego z pasterzy. Na obronę sprawców ostatniego z wymienionych czynów muszę wyraźnie powiedzieć, iż pasterz, o którym mowa, miał denerwująco przebiegłą twarz. Był ślepy na jedno oko, miał złamany nos i ciekła mu ślina, a z jego ust - co do tego winowajcy zachowywali jednomyślność - wystawały długie, zakrzywione jak u lisa kły. Człowiek o takim wyglądzie musiał być zdolny do wszystkiego. I Beduini z pewnością nie zapomnieli tej lekcji. Jeden z najbardziej dokuczliwych aspektów stanowiły drobne kradzieże. Ktoś podbierał niedojrzałe owoce w naszych sadach, ktoś sięgał po zawory wodociągowe, ściągał z pól stosy pustych worków i zakradał się do kurników, nie mówiąc już o wynoszeniu skromnych kosztowności z naszych domków.

Ciemność też była tu winna. Nieuchwytni jak wiatr koczownicy przemykali przez osadę, unikając zarówno posterunków straży, jak i dodatkowych wartowników, któ

24 *Koczownik i żmija*

rych zaczęliśmy wystawiać. Niekiedy trzeba było koło północy jechać rozklekotanym dżipem lub traktorem, aby na jednym z odległych pól zakręcić zawory w kanałach nawadniających, a wtedy przednie światła chwytaly pierzchające cienie, czy to człowieka, czy nocnego zwierzęcia. Pewnego razu zdenerwowany wartownik otworzył ogień i w ciemnościach zdołał ustrzelić zabłąkanego szakala.

Nie trzeba dodawać, że sekretariat kibucu nie zachowywał milczenia w tej sprawie. Sekretarz Etkin wielokrotnie wzywał policjantów, którzy zjawiali się z psami do tropienia, psy jednak albo ich zwodziły, albo nie wypełniały zadania. Wyprowadziwszy swoich przewodników kilka kroków poza ogrodzenie kibucu, unosiły czarne nosy w górę i wyły dziko, gapiąc się niemądrze przed siebie.

Nieoczekiwane rewizje w podartych namiotach także nic nie ujawniły. Tak jakby sama ziemia postanowiła ukryć grabież, beczelnie naigrawając się z ofiar. W końcu przywódca szczepu w asyście pary podejrzanych osobników został doprowadzony do biura kibucu. Zniecierpliwieni policjanci popychali ich przed sobą, pokrzykując raz po raz: „Yallah, yallah”.

My, członkowie sekretariatu, przyjęliśmy przywódcę i jego ludzi uprzejmie i z szacunkiem. Poprosiwszy, żeby usiedli na ławce, zaproponowaliśmy im gorącą kawę, przygotowaną przez Geulę na specjalne życzenie Etkina. Stary człowiek odpowiedział z uprzedzającą grzecznością, obdarzając nas uśmiechem, który zachował od początku do końca przesłuchania. Wypowiadał swoje uwagi w starannym urzędowym hebrajskim.

To prawda, że kilku młodych ludzi z jego szczepu dopuściło się kradzieży. Dlaczegoż by miał temu zaprzeczać. Chłopcy jak to chłopcy, a świat stopniowo zmierza ku gorszemu. Ma zaszczyt błagać nas o wybaczenie, pragnie też zwrócić przywłaszczone przedmioty. Zagrabiona własność wbija zęby w ciało złodzieja, jak powiada przysłowie. Taka jest kolej rzeczy. Cóż człowiek może poradzić na popełdliwość młodości? Zatem głęboko ubolewa z powodu kłopotu i zamieszania, na jakie zostaliśmy narażeni.

To mówiąc, wsunął rękę w fałdy swojej szaty, skąd wyciągnął kilka śrubek błyszczących i kilka zardzewiałych,

Koczownik i żmija 25

sekator, jakieś ułamane ostrze noża, latarkę kieszonkową, zepsuty młotek i trzy przybrudzone banknoty - jako rekompensatę za nasze straty i niepokoje.

Etkin rozłożył ręce w zakłopotaniu. Z sobie tylko wiadomych powodów postanowił zignorować hebrajski naszego gościa i przejść na łamany arabski, pozostałość z okresu studiów czasu rozruchów i obłączenia. Rozpoczął swoje uwagi od śmiałego i jasnego twierdzenia na temat braterstwa narodów - co było kamieniem węgielnym naszej ideologii - oraz wartości dobrosąsiedzkich stosunków, którymi ludy Wschodu od dawna słusznie się szczyciły, zwłaszcza w owych dniach rozlewu krwi i bezpodstawnej nienawiści.

Należy oddać sprawiedliwość Etkinowi i otwarcie przyznać, że nie zawahał się ani trochę, wyliczając pełną i szczegółową listę aktów kradzieży, szkód i przewinień, o których nasz gość - niewątpliwie przez roztargnienie - w swoich przeprosinach nie wspomniał. Jeśli całe skradzione mienie zostanie zwrócone, a podobnym występkiem położy się raz na zawsze kres, to my całym sercem będziemy za tym, żeby otworzyć nową kartę w stosunkach między naszymi dwiema sąsiedzkimi społecznościami. A przyjacielska wizyta edukacyjna naszych dzieci w obozowisku Beduinów, wizyta z rodzaju tych, co to poszerzają horyzonty, niewątpliwie przyniesie im radość i pożytek. Nie padła przy tym wzmianka, że dzieci koczowników mogłyby złożyć rewizytę w naszych kibucowych domach w interesie pogłębiania wzajemnego zrozumienia.

Stary człowiek nie rozluźnił się ani nie zmienił wyrazu twarzy, zachowując niezmiennie ten sam uśmiech, kiedy z obfitością wyszukanych zwrotów zauważył, że panowie z kibucu nie potrafią udowodnić żadnych innych kradzieży ponad te, które on już potwierdził i za które uprzednio prosił o wybaczenie.

Zakończył zawilými błogosławieństwami, życzył nam zdrowia i długiego życia, liczego potomstwa i dostatku, po czym pożegnał się i odszedł, odprowadzony przez swoich dwóch bosonogich towarzyszy, spowitych w ciemne szaty. Wkrótce zniknęli, pochłonięci przez wadi¹ tuż za ogrodzeniem naszego kibucu.

26 *Koczownik i zmija*

Ponieważ policja okazała się nieudolna - i praktycznie zaniechała dochodzenia - kilku spośród naszych młodych mężczyzn zasugerowało nocny wypad, aby dać dzikusom nauczkę w języku, który byłby dla nich naprawdę zrozumiały.

Etkin odrzucił tę propozycję z niesmakiem, używając rozsądnych argumentów. Z kolei młodzi ludzie uraczyli Etkina epitetami, które przyzwoitość nakazuje mi pominąć milczeniem. Rzecz dziwna, Etkin nie zareagował na obelgi i zgodził się, aczkolwiek niechętnie, przedstawić ich wniosek sekretariatowi kibucu. Być może obawiał się, że mogliby wziąć sprawy w swoje ręce.

Pod wieczór Etkin przeszedł od pokoju do pokoju, zapraszając członków komitetu na nadzwyczajne zebranie o ósmej trzydzieści. Kiedy zjawił się u Geuli, opowiedział jej o planie młodych ludzi i o niedemokratycznym nacisku, jakiemu on sam został poddany, po czym poprosił, żeby przyszła na spotkanie z dzbankiem czarnej kawy i sporym zapasem dobrej woli. Geula odpowiedziała cierpkim uśmiechem. Oczy miała załzawione, ponieważ Etkin wyrwał ją z niespokojnej drzemki. Podczas gdy się przebierała, noc zapadła; wilgotna, gorąca i parna.

3

Wilgotna, parna i gorąca noc zapadła nad kibucem, wplątując się w zakurzone cyprysy i przygniatając swym ciężarem trawniki i krzewy ozdobne. Spryskiwacze zraszały spragnioną trawę wodą, która natychmiast zniknęła: pewnie wyparowywała, nie zdążwszy nawet dotknąć ziemi. Niecierpliwy telefon dzwonił na próżno w zamkniętym biurze. Ściany domów wydzielały wilgotne opary. Dzień był bezwietrzny i sztywna kolumna dymu unosiła się z kuchennego komina jak strzała, prosto w sam środek nieba. Od zatłuszczonych zlewozmywaków dobiegł krzyk. Jakieś naczynie się stłukło i ktoś krwawił. Spasiony kot domowy zabił jaszczurkę czy węża i teraz ciągnął swoją zdobycz ku nagrzanemu betonowej ścieżce, żeby pobawić się leniwie w gęstym, wieczornym słońcu. Rozklekotany traktor zadudnił w jednej z szop, krztusząc się, buchnął

Koczownik i żmija 27

smrodem oleju, załomotał, parsknął, aż w końcu zdołał wyruszyć z wieczornym posiłkiem dla drugiej zmiany, pracującej w pocie czoła na którymś z dalej położonych pól. W pobliżu krzaku bzu Geula dostrzegła butelkę pobrudzoną resztkami jakiegoś tłustego płynu. Kopnęła ją kilka razy, ale butelka zamiast pęknąć, potoczyła się ciężko pomiędzy krzewy różane. Geula podniosła kamień. Wycelowała w butelkę. Chciała ją rozbić. Chybiła. Zaczęła coś niewyraźnie pogwizdywać.

Geula była niską, energiczną, dobiegającą trzydziestki dziewczyną. Wprawdzie nie znalazła jeszcze kandydata na męża, trudno jednak było odmówić jej zalet, że wymienię tu choćby poświęcenie, z jakim oddawała się działalności społecznej i kulturalnej. Miała pociągłą, bladą twarz. Nikt nie mógł z nią konkurować w parzeniu mocnej kawy, którą można by wskrzesić umarłego, jakeśmy to określali. Kąciki jej ust opadały w dół, nadając twarzy wyraz goryczy.

W letnie wieczory, kiedy całą gromadą rozkładaliśmy się na trawniku, na rozpostartym kocu, w kłębach dymu papierosowego, opowiadając sobie dowcipy i wyśpiewując pod niebiosa wesołe piosenki, Geula znikwała w swoim pokoju i dopóty do nas nie dołączyła, dopóki nie przygotowała dzbanka wrzącej, mocnej kawy. Ona też zawsze pilnowała, żeby nie zabrakło nam herbatników.

To, co wydarzyło się między Geulą a mną, nie ma tu większego znaczenia, poprzestanę więc na kilku pobieżnych uwagach. Kiedyś chadzaliśmy razem wieczorami na spacer do sadów, prowadząc długie rozmowy. Było to bardzo dawno temu i niemal równie dawno temu się skończyło. Wymienialiśmy niekonwencjonalne opinie w kwestiach polityki lub też sprzeczaaliśmy się na temat najnowszych książek. Geula była surowym i często bezlitosnym krytykiem; mnie ogarniał zamęt. Nie lubiła moich opowiadań z powodu skrajnie spolaryzowanych sytuacji, tła i postaci, bez odcieni pośrednich między czernią a bielą. Ja próbowałem się tłumaczyć lub odpiierać zarzuty, ale Geula miała na wszystko gotowe argumenty, a myślała ogromnie metodycznie. Czasami kładłem jej pocieszająco rękę na karku, czekając, aż się uspokoi. Jednakże ona ni

28 *Koczownik i żmija*

gdy nie potrafiła się tak naprawdę odprężyć. Jeśli raz czy drugi oparła się o mnie, zawsze mówiła, że to z powodu rozerwanego sandała czy bólu głowy. I tak się rozeszliśmy. Po dziś dzień Geula wycina z czasopism moje opowiadania i układa je w tekturowym pudełku, które trzyma w szufladzie specjalnie do tego celu przeznaczonych.

Na urodziny kupuję jej zawsze nowy tomik poezji. Zakradam się pod jej nieobecność do pokoju i kładę książkę na stole, bez żadnej notatki czy dedykacji. Niekiedy siadamy koło siebie w stołówce. Nie patrzę jednak na nią z obawy, żeby nie napotkać ironicznego smutku w jej oczach. Latem, gdy wszystkie twarze pokrywa pot, trądzik na policzkach Geuli zaognia się, a ona sama sprawia wrażenie, jakby straciła już wszelką nadzieję. Z nastaniem jesiennych chłódów czasem z daleka wydaje mi się, że jest ładną i atrakcyjną dziewczyną. W takie dni Geula lubi chodzić o zmierzchu do sadów. Idzie sama i sama wraca. Koledzy nieraz zaczepiają mnie i ze złośliwym chrząkaniem pytają, czego ona tam szuka. Mówię im, że nie wiem. I naprawdę nie wiem.

4

Geula podniosła ze złością kolejny kamień, żeby cisnąć nim w butelkę. Mimo że udało się jej trafić, znowu nie usłyszała upragnionego dźwięku rozbijanego szkła. Kamień zawadził o butelkę, która zadźwięczała słabo, znikając pod krzakiem. Trzeci kamień, większy i cięższy niż poprzednie, został rzucony ze śmiesznie małej odległości: depcząc po sypkiej ziemi na klombie, dziewczyna ustawiła się dokładnie nad butelką. Tym razem nastąpił zgrzytliwy, suchy wybuch, który jednak nie przyniósł ulgi. Muszę się stąd wydostać.

Wilgotna, parna i gorąca noc zapadła, kłując skórę rozpalonym żarem jak tłuczonym szkłem. Geula zawróciła w stronę swojego pokoju i wrzuciwszy sandały do środka przez poręcz balkonu, boso powędrowała ku polnej drodze.

Grudki ziemi łaskotały ją w stopy. Od szorstkiego tarcia, które wyczuwała, zakończenia jej nerwów drgały lekkim podnieceniem. Za skalistym wzgórzem oczekiwały ją

Koczownik i żmija 29

cienie: sad w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Stanowczym ruchem poszerzyła szparę w płocie i wsunęła się do środka. W tym momencie ocknął się wieczorny wiaterek: ciepły powiew lata, bez określonego kierunku. Strudzone słońce toczyło się z wolna na zachód, gdzie miał wchłonąć je zakurzony horyzont. Ostatni traktor piął się już z powrotem do bazy, podskakując na wyboistej drodze, wiodącej z odległych działek. Bez wątpienia był to ten sam traktor, którym zawieziono kolację dla robotników drugiej zmiany. Wydawał się otulony dymem czy też letnią mgłą.

Geula schyliła się i wybrała z piachu kilka kamyków. Bezwiednie zaczęła rzucać jeden po drugim. Szeptem powtarzała fragmenty wierszy swoich ulubionych młodych poetów, to znów inne, które sama napisała. Zatrzymawszy się koło kanału nawadniającego, pochyliła się i zaczęła pić, tak jakby całowała zawór. Zawór był zardzewiały, kanał jeszcze nagrany, a woda ciepława i cuchnąca. Mimo to dziewczyna zniżyła głowę, pozwalając, aby woda popłynęła jej po twarzy, po szyi i za bluzkę. Ostry smak rdzy i mokrego kurzu wypełnił jej gardło. Zamknęła oczy i stała w milczeniu. Żadnej ulgi. Może kubek kawy. Ale najpierw sad. Teraz muszę iść.

5

Wonne sady ugiwały się pod ciężarem owocu. Gęstwina gałęzi łączyła się ponad rzędami pni, tworząc cieniste sklepienie. Nawodniona ziemia pod stopami zatrzymywała ukrytą wilgoć. Cienie na cieniach u podnóża splecionych drzew. Geula zerwała śliwkę, powąchała ją i zgmiotła. Wyciekł lepki, soczysty miąższ. Widok ten sprawił, że zakreśliło się jej w głowie. I ten zapach... Zgmiotła drugą śliwkę. Zerwała następną, którą pocierała o policzek tak długo, aż trysnął z niej sok. Potem klękawszy poszukała suchego patyka i zaczęła nim rysować na piasku różne kształty. Bezelowe linie i łuki. Ostre kąty. Kopuły. W sadzie rozległo się niewyraźne beczenie. Ledwie zdała sobie sprawę z pobrzękujących gdzieś dzwoneczków. Była bez reszty zatopiona w myślach. Koczownik stanął za plecami

30 Koczownik i żmija

Geuli jak bezszelestna zjawia. Grzebał w ziemi dużym palcem u nogi; przed nim kładł się jego cień. Lecz dziewczyna, olśniona powodzią dźwięków, nie widziała nic i nic nie słyszała. Jeszcze przez długi czas klęczała na piasku, nie przerywając rysowania. Koczownik czekał cierpliwie w absolutnym milczeniu. Niekiedy przymykał zdrowe oko, spoglądając przed siebie drugim okiem, które było ślepe. Wreszcie wyciągnął rękę i przesunął nią pieszczotliwie w powietrzu. Wraz z nim poruszył się na ziemi jego posłuszny cień. Geula spojrziała, skoczyła na równe nogi i krzyknawszy cicho, oparła się o najbliższy pień. Koczownik uśmiechnął się słabo i opuścił ramiona. Geula uniosła dłoń, dźgając powietrze swoim patykiem. Koczownik nie przestawał się uśmiechać. Zerknął na jej bose stopy. Głos miał spokojny, a hebrajski, którym przemówił, wyrażał wyjątkową delikatność:

- Która godzina?

Geula z całych sił wciągnęła powietrze w płuca. Rysy twarzy wyostrzyły się jej, spojrzenie zastygło. Odpowiedziała oschle i wyraźnie:

- Jest wpół do siódmej. Dokładnie.

Arab uśmiechnął się szerzej i lekko skłonił, jakby w uznaniu dla tak wielkiej uprzejmości.

- Bardzo dziękuję, panienko.

Zagrzebał bosy palec głęboko w wilgotny grunt, a grudki ziemi pełzały mu u stóp, zupełnie jakby pod nimi rył wystraszony kret.

Geula zapięła górny guzik bluzki. Plamy potu wyraźnie odznaczały się na tkaninie, zwłaszcza pod pachami. Rozdętymi nozdrzami dziewczyna łowiła odór swego spoconego ciała. Koczownik zamknął ślepe oko i spojrział w górę. Jego zdrowe oko błysnęło. Miał bardzo śniadą skórę, żywą i ciepłą. I głębokie bruzdy na policzkach. Nie był podobny do żadnego mężczyzny, jakiego Geula kiedykolwiek знаła, a i jego zapach, cera i oddech również były obce. Pod długim, cienkim nosem widniał zarys wąsów. Policzki jakby zapadały się w jamę ustną. Jego usta były drobne i delikatne, znacznie delikatniejsze niż jej własne. Jednakże mocny podbródek zdawał się wyrażać coś na kształt pogardy czy też buntu.

Koczownik i żmija 31

Jest odpychająco przystojny, przyznała w duchu Geula. Na natarczywy uśmiech koczownika, nieświadomie odpowiedziała szyderczym półuśmiechem. Z kieszeni ukrytej w pasie Beduin wydobył dwa pogniecione papierosy i położył je na wyprostowanej, ciemnej dłoni, którą wyciągnął ku niej gestem, jakim podaje się wróblowi okruszyny chleba. Geula przestała się uśmiechać i kiwnąwszy dwukrotnie głową, przyjęła jednego. Przeciągnęła papieros między palcami powoli, sennie, rozprasowując i wygładzając zagięcia, i dopiero wtedy włożyła go między wargi. Szybko jak błyskawica, zanim pojęła cel nagłego ruchu mężczyzny, drobny płomyk zatańczył tuż przed nią. Geula osłoniła zapalniczkę dłonią, chociaż w sadzie nie było wiatru, i przymykając oczy, zaciągnęła się głęboko. Koczownik również zapalił papierosa i skłonił się grzecznie.

- Bardzo dziękuję - powiedział swoim aksamitnym głosem.

- Dzięki - odpowiedziała Geula. - Dziękuję ci.

- Ty z kibucu? Geula kiwnęła głową.

- Doo-brze... - Wydłużona sylaba wymknęła się spomiędzy jego lśniących zębów. - To doo-brze.

Dziewczyna zerknęła na jego pustynną szatę.

- Nie jest ci w tym gorąco?

Mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany i zmieszany, jakby w poczuciu winy. Zrobił mały krok do tyłu.

- Wielkie nieba, wcale nie gorąco. Naprawdę nie. Dlaczego? Jest powietrze, jest woda... -I zamilkł.

Korony drzew pociemniały. Pierwszy szakał zwęszył nadchodzącą noc i wydał znużony skowyt. Sad wypełnił się tupotem drobnych, prędkich nóg. Nagle Geula zauważyła w pobliżu gromadę czarnych kóz, kręcących się niespokojnie w poszukiwaniu swego pana. Biegały cicho pośród drzew owocowych. Dziewczyna gwizdnęła ze zdziwienia.

- Co ty tu właściwie robisz? Kradniesz? Koczownik skulił się, jakby go trafiono kamieniem.

Załomotał głucho w piersi.

- Nie, ja nie kraść, wielkie nieba, naprawdę nie. - Tu dodał dłuższe zakłęcie po arabsku i znowu się uśmiechnął. Jego ślepe oko zamrugało nerwowo. W tej samej

32 *Koczownik i żmija*

chwili przybiegła jedna z wychudzonych kóz i zaczęła ocierać się o jego nogi. Odgonił ją kopniakiem, nadal żarliwie przysięgając:

- Ja nie kraść, naprawdę, na Allaha, ja nie kraść. Kraść nie wolno.

- Biblia zabrania - wycedziła Geula z zimnym, okrutnym uśmiechem. - Nie kradnij, nie zabijaj, nie pożądaj cudzej rzeczy, nie cudzołóż. Sprawiedliwych nie dosięgnie podejrzenie.

Arab zadrzał pod ciężarem tych słów i spuścił wzrok. Zawstydzony. Zmieszany. Niepewnie kopiąc stopą w piaszczystej ziemi. Postanowił się przypodobać. Zmrużył ślepe oko. Geulę momentalnie ogarnął niepokój: z całą pewnością było to porozumiewawcze mrugnięcie. A on nagle spoważniał. Przemówił miękkim, przeciągłym szeptem, zupełnie jakby się modlił:

- Piękna dziewczyna, naprawdę bardzo piękna dziewczyna. Ja, ja nie mieć jeszcze dziewczyny. Ja być jeszcze młody. Nie mieć dziewczyny. Yaaa! - zakończył gardłowym okrzykiem, skierowanym do zuchwałej kozy, która oparłszy przednie nogi o pień drzewa, łapczywie obgryzała liście. Zwierzę zwróciło na swego pana myślące, sceptyczne spojrzenie, potrząsnęło brodą i z powagą zajęło się przeżuwaniami.

Bez najmniejszego ostrzeżenia, z zadziwiającą zręcznością, pasterz wyskoczył w powietrze, złapawszy kozę za tylne nogi, uniósł ją ponad głowę i z przerażającym, dzikim charkotem cisnął bezlitośnie o ziemię. Po czym splunął i obrócił się z powrotem ku dziewczynie.

- Zwierzę - przeproszał. - Zwierzę. Co robić. Ono nie mieć rozum. Nie mieć dobre wychowanie.

Dziewczyna oderwała się od pnia, o który była oparta, i pochyliła się ku koczownikowi. Słodki dreszcz przebiegi jej wzdłuż pleców, chociaż głos w dalszym ciągu brzmiał chłodno i stanowczo.

- Jeszcze papierosa? - spytała. - Czy masz jeszcze papierosa?

Beduin odpowiedział z wyrazem udręki, niemal rozpacz. Przeprosił. Wyjaśnił szczegółowo, że nie ma już wię

Koczownik i żmija 33

cej papierosów, ani jednego, nawet zupełnie małego. Nic więcej. Wszystkie wypalone. Jaka szkoda. Z przyjemnością, z wielką przyjemnością dałby jej jednego. Nic nie zostało. Wszystkie wypalone.

Poturbowana koza z trudem stawiała na nogi. Stąpając ostrożnie, wróciła do drzewa; kątem oka obserwowała swego pana. Pasterz przyglądał się jej bez ruchu. Koza wspięła się w górę i oparłszy przednie kopyta o pień, znowu spokojnie zabrała się do chrupania. Arab podniósł z ziemi ciężki kamień i mocno się zamachnął. Geula chwyciła mężczyznę za ramię, chcąc go powstrzymać.

- Zostaw ją. No wiesz? Daj jej spokój. Ona nie rozumie. To tylko zwierzę. Bez rozumu, bez wychowania.

Koczownik ustąpił. Posłusznie odrzucił kamień. Wtedy Geula puściła jego ramię. A on raz jeszcze wyciągnął z pasa zapalniczkę. Smukłymi palcami bawił się nią w zamyśleniu. Zapaliwszy przypadkowo ogieniek, dmuchnął na niego pośpiesznie. Płomień lekko się spłaszczył, pochylił i zgasł. Gdzieś w pobliżu głośno i przenikliwie zawył szakal. Tymczasem pozostałe kozy, idąc za przykładem pierwszej, zaczęły szybko, niemal gniewnie przeżuwać.

Z obozowiska koczowników daleko na południu dobiegało słabe zawodzenie, a przytłumione bicie bębna przypominało tęskne wołanie. To zgromadzeni przy ognisku smagli mężczyźni wysyłali w niebo swoją pieśń na jedną nutę. Zebrawszy wszystkie siły, noc odpowiedziała melancholijnym cykaniem świerszczy. Na zachodzie gasły ostatnie błyski dnia. Sad zatonął w ciemnościach. Zewsząd dochodziły różnorodne dźwięki, szept wiatru, węszenie kóz, szelest zeschniętych liści. Geula ściągnęła wargi i zaczęła gwizdać jakąś prostą melodię. Koczownik przysłuchiwał się jej uważnie, z przechyloną ze zdziwienia głową, z otwartymi lekko ustami. Dziewczyna spojrzała na zegarek. Wskazówki zamigotały jadowitym, fosforyzującym blaskiem, ale nie dostrzegła godziny. Noc.

Arab odwrócił się do Geuli plecami, upadł na kolana i dotknąwszy czołem ziemi, zaczął żarliwie mamrotać.

- Nie masz dziewczyny - przerwała mu modlitwę Geu

34 *Koczownik i żmija*

la. - Jesteś jeszcze za miody.- Jej głos zabrzmiał głośno i obco. Ręce oparła na biodrach, oddychała równomiernie. Mężczyzna przestał się modlić i odwrócił ku niej śniadą twarz, mruczac coś po arabsku. Klęczał nadal, a jego poza wyrażała jakąś tłumioną radość.

- Jesteś jeszcze miody - powtórzyła Geula. - Bardzo młody. Masz może dwadzieścia lat. Może trzydzieści. Młody. Nie trzeba ci dziewczyny. Jesteś za młody.

W odpowiedzi mężczyzna wygłosił długą i uroczystą mowę w ojczystym języku. Z rękami wciąż opartymi na biodrach, Geula zaśmiała się nerwowo:

- Co się z tobą dzieje? - spytała ze śmiechem. - Dlaczego nagle mówisz do mnie po arabsku? Myślisz, że kto ja jestem? A w ogóle, czego ty tu szukasz?

Koczownik znowu odpowiedział w swoim języku. Tym razem nuta przerażenia pojawiła się w jego głosie. Zerwał się z kolan i zaczął się cofać miękkimi, cichymi krokami, jak od umierającego. Geula stała, dysząc ciężko i dygocząc. Jakaś pojedyncza, oderwana sylaba wyrwała się z ust pasterza: znak porozumienia między nim i jego kozami. Na ten dźwięk kozy przybiegły do swego pana, drobiąc nogami po dywanie zwiędłych liści, jakby rozdzierały tkaninę. Świerszcze umilkły. W ciemnościach kozy stłoczyły się beładnie, niby wystraszona, drżąca masa, po czym zniknęły w mroku, a wraz z nimi zniknął i pasterz.

Później samotna i drżąca Geula obserwowała samolot, który płynął po czarnym niebie ponad wierzchołkami drzew, dudniąc głucho i błyskając na przemian światłami w rytmie tak precyzyjnym jak rytm bębnow: czerwono, zielono, czerwono, zielono, czerwono. Noc zatarła wszystkie ślady. Zapach ognisk unosił się w powietrzu i zapach kurzu przyniesionego przez wiatr. I dopiero ten lekki powiew pośród drzew owocowych... Ogarnęła ją panika i krew zastygła jej w żyłach. Jej usta otworzyły się do krzyku, ale nie krzyknęła, tylko zaczęła biec; i biegła boso z całych sił ku domowi, potykała się, wstawała i biegła, jakby ją ktoś gonił, chociaż nie ścigało jej nic oprócz grania świerszczy.

Wróciła do swego pokoju i pamiętając o obietnicy danej Etkinowi, zaparzyła kawę dla wszystkich członków sekretariatu. Na dworze panował już wieczorny chłód, ale w domu ściany pokoju były nagrzane, a jej ciało rozpalone. Ubranie lepiło się do skóry, ponieważ biegła, a pachy napelniały ją wstrętem. Pryszczycze na twarzy pałały. Stała licząc, ile razy zagotuje się kawa - siedem razy, jak nauczył ją Ehud, jej brat, zanim zginął podczas jednej z wypraw odwetowych na pustyni. Z zaciśniętymi wargami liczyła, a czarny płyn unosił się i opadał, unosił się i opadał, kipiąc gwałtownie w momentach, gdy dochodził do punktu wrzenia.

Teraz już wystarczy. Muszę przygotować czyste ubranie na wieczór. I wziąć prysznic.

Co taki Etkin może wiedzieć o tych dzikusach. Wielki mi socjalista. Cóż on wie o Beduinach. Koczownik natychmiast wyczuje twoją słabość. Wystarczy powiedzieć mu dobre słowo albo się uśmiechnąć, a rzuci się na ciebie jak wściekłe zwierzę i będzie usiłował zgwałcić. Dobrze, że mu uciekłam.

W prysznicach odpływ był zatkany, a ławka pochlapana tłuszczem. Geula położyła czyste ubranie na kamiennej krawędzi. Nie dlatego drzę, że woda jest zimna. Drzę 7, obrzydzenia. Te jego czarne paluchy. I te jego zęby. A jak od razu sięgnął mi do gardła. I na dodatek kozy. Małe i chude jak dzieci, a takie silne. Tylko dlatego, że biłam i kąsałam, udało mi się uciec. Muszę namydlić brzuch, namydlić się cała raz jeszcze i jeszcze raz. Tak, niech chłopcy idą dziś w nocy prosto do ich obozu, niech im pogruhoczą te ich czarne kości, za to co mi zrobili. Teraz muszę już wyjść.

Wyszła z łazienki i ruszyła do swego pokoju, żeby wziąć kawę i zanieść ją do sekretariatu. Po drodze usłyszała świerszcze i śmiech, i przypomniała sobie, jak on klęczał, podczas gdy ona zatrwożona stała nieruchomo

36 *Koczownik i żmija*

w ciemnościach. Nagle zwymiotowała między kwitnące krzewy. Rozpłakała się. Kolana się pod nią ugięły. Usiadła na czarnej ziemi, żeby odpocząć. Przestała płakać. Lecz zęby ciągle jej szczękały z zimna czy może z żalu. Teraz już się nie śpieszyła, nawet kawa nie wydawała jej się wcale taka ważna; pomyślała sobie: jest jeszcze czas. Jest jeszcze czas.

Te samoloty krążące przez cały wieczór po niebie odbywały chyba ćwiczenia nocnych nalotów. Raz po raz z hukiem przelatywały pośród gwiazd, migając bez przerwy światłami - czerwono, zielono, czerwono, zielono, czerwono. Jak kontrapunkt niosło się w dali zawodzenie koczowników i bicie bębnow, uporczywe bicie serca: raz, raz, dwa. Raz, raz, dwa. I cisza.

8

Czekaliśmy na Geulę od ósmej trzydzieści niemal do dziewiątej. Za pięć dziewiąta Etkin powiedział, że nie ma pojęcia, co się mogło stać. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek się spóźniła czy w ogóle nie przyszła na zebranie; w każdym razie, czas najwyższy, byśmy zajęli się punktami porządku dziennego.

Rozpoczął od podsumowania faktów. Szczegółowo przedstawił zniszczenia, najwyraźniej spowodowane przez Beduinów, chociaż nie było na to konkretnych dowodów, a następnie wyliczył kroki, jakie zostały podjęte z inicjatywy komitetu. Odwołanie się do dobrej woli. Wezwanie policji. Wzmocnienie straży wokół osiedla. Tropienie śladów przez psy. Spotkanie z przywódcą szczepu. Trzeba przyznać, powiedział Etkin, że obecnie jesteśmy w impasie. Niemniej uważał, że powinniśmy zachować spokój i nie sięgać po radykalne środki, ponieważ nienawiść zawsze rodzi nienawiść. Należało koniecznie przerwać to błędne koło nieprzyjaźni. Dlatego z całą moralną siłą, na jaką go stać, wypowiada się przeciwko stanowisku -a zwłaszcza intencjom - pewnych młodych członków komitetu. Na zakończenie pragnie nam przypomnieć, iż konflikt pasterzy z oraczami pracującymi na rob jest tak stary jak cywilizacja ludzkości, co zdaje się potwierdzać

hi

Koczownik i zmija 37

Historia Kaina, który powstał przeciw Ablowi, bratu swemu. W świetle przyjętej przez nas doktryny społecznej jest to dowód, że powinniśmy wreszcie położyć kres tej odwiecznej wrogości, podobnie jak położyliśmy kres wielu innym niepożądanym zjawiskom. Decyzję musimy podjąć sami, a wszystko zależy od naszej postawy moralnej.

W sali panowała atmosfera pełna napięcia, a nawet niezgody. Rami dwukrotnie przerwał Etkinowi, a w pewnym momencie tak się zapędził, że aż użył brzydkiego słowa „brednie”. Etkin poczuł się dotknięty i oskarżył młodych członków komitetu o planowanie akcji terrorystycznych, mówiąc na koniec: „Nie pozwolimy tutaj na tego rodzaju rzeczy”.

Geula nie przyszła i dlatego nie było nikogo, kto by ostudził nasze wzburzenie. I nie było kawy. Między Rami a mną doszło do ostrej wymiany zdań. Chociaż należałem do młodszych mężczyzn, nie zgadzałem się z ich propozycjami. Podobnie jak Etkin, byłem przeciwny, żeby odpowiadać koczownikom przemocą - z dwóch powodów; i kiedy dopuszczono mnie do głosu, wspomniałem o obydwu. Przede wszystkim do tej pory nic naprawdę poważnego się nie wydarzyło. Może trochę kradzieży, a i te nie były takie pewne: za każde zniknięcie zaworu czy obcęgow, które kierowca traktora zostawił w polu, zawieruszył w warsztacie czy też zabrał przypadkiem ze sobą do domu, natychmiast winą obarczano Beduinów. Po drugie, nie popełniono żadnego gwałtu ani morderstwa. W tym miejscu Rami przerwał mi, pytając ze złością, na co ja właściwie czekam. Czy nie na jakiś drobny akt gwałtu, o którym Geula mogłaby pisać wiersze, a ja ułożyłbym opowiadanie? Zacerwieniłem się, gorączkowo szukając w myślach ciętej odpowiedzi.

Etkin, wytracony z równowagi naszym grubiaństwem, natychmiast odebrał nam obu głos i zaczął od początku wyjaśniać swoje stanowisko. Zapytał nas, jak by to wyglądało, gdyby gazety doniosły, że kibuc wysłał grupę młodych ludzi dla dokonania samosądu w celu wyrównania porachunków z Arabami z sąsiedztwa. Kiedy Etkin wypowiadał słowa o „grupie dokonującej samosądu”, Rami zrobił w kierunku swoich przyjaciół znaczący gest,

38 *Koczownik i żmija*

używany na boiskach sportowych. Na ten znak wszyscy jak jeden mąż wstali i z pogardą opuścili salę, pozostawiając Etkina, żeby sobie do woli wygłasza! swoją przemowę dla trzech starszych kobiet i jednego dawno emerytowanego członka Knessetu².

Po chwili wahania ja również wstałem i poszedłem za nimi. To prawda, że nie podzielałem ich zdania, ale jednocześnie zostałem pozbawiony prawa głosu w sposób arbitralny i obraźliwy.

9

Gdyby tylko Geula przyszła na zebranie i przyniosła swoją sławetną kawę, prawdopodobnie zdołałaby załagodzić gniewne nastroje. Możliwe też, że jej rozsądek pomógłby doprowadzić do jakiegoś kompromisu między sprzecznymi punktami widzenia. Lecz kawa stała, całkiem już zimna, na stole w jej pokoju. A sama Geula leżała pośród krzewów z tyłu za Izbą Pamięci wpatrzona w światła samolotów, wsłuchana w szmery nocy. Jakże pragnęła się pojednać i przebaczyć. Nie nienawidzić go i nie życzyć mu śmierci. Może powinna wstać i pójść do niego, odszukać go pośród wyschniętych wadi i przebaczywszy mu, nigdy już nie powrócić do domu. I jeszcze mu zaśpiewać. Ostre odłamki, przecinające jej skórę aż do krwi, były kawałkami butelki, którą o zmierzchu rozbiła tutaj kamieniem. A żywe stworzenie, prześlizgujące się między odpryskami szkła i grudkami ziemi, było węzem, zapewne jadowitym, a może żmiją. Gad wysunął rozwidlony język, a jego trójkątna głowa była zimna i uniesiona do góry. Oczy mu lśniły jak ciemne szkło. Nie mógł ich nigdy zamknąć, gdyż nie miał powiek. Nagłe ukłucie, może odłamek szkła. Była bardzo zmęczona. Ból zaś wydawał się słaby, niemal przyjemny. Niewyraźne dzwonięcie w uszach. Teraz spać. Poprzez gęstniejącą mgłę ze znużeniem obserwowała grupę młodych ludzi, idących przez trawnik ku polom i pustynnym wadi, żeby wyrównać porachunki z koczownikami. Nieśliśmy krótkie, grube pałki. Podniecenie rozszerzało nam źrenice. I krew tętniła nam w skroniach.

Koczownik i żmija 39

Daleko, w pociemniałych sadach stały czarne, zakurzone cyprysy, kołysząc się z łagodną, religijną żarliwością. Czuła się zmęczona i dlatego nie przyszła nas pożegnać. Jej palce pieściły piasek, a twarz miała bardzo spokojną i niemal piękną.

1963

¹ **Wadi - wyschnięta rozpadlina na pustyni (przyp. tłum.).** ¹
Knesset - jednoizbowy parlament Izraela (przyp. tłum.).

Tchnienie wiatru¹

1

Ostatni dzień Gedeona Szenhawa rozpoczął się olśniewającym wschodem słońca. Świt był łagodny, niemal jesienny. Błede błyski światła skrzyły się w ścianie chmur, szczelnie zamykającej horyzont od wschodniej strony. Nowy dzień chytrze ukrył swe zamiary, żadnym znakiem nie zdradzając fali ciepła, którą tulił do łona.

Szkarłat zajaśniał na szczytach owiewanych poranną bryzą. Potem przez ścianę chmur przebiły się promienie. Nastął dzień. Ciemne zakamarki migotały, budząc się pod dotknięciem dziennego światła. Na koniec powstała rozżarzona kula i przypuściwszy szturm na góry obłoków, złamała ich szeregi. Horyzont na wschodzie załśnił. A miękki szkarłat poddał się i umknął przed straszliwą, rozpaloną purpurą.

Na kilka minut przed wschodem słońca obozem wstrząsnęła pobudka. Gedeon wstał, bosy wyszedł z baraku i ciągle jeszcze senny, spojrzął na tężejące światło. Wciąż marząc o śnie, jedną szczupłą dłońią osłonił oczy, a drugą automatycznie zapinał mundur polowy. Doszły go już głosy i metaliczne dźwięki: to kilku ochoczych chłopaków czyściło broń przed poranną inspekcją. Ale Gedeon zwlekał. Wschód słońca poruszył w nim jakiś dręczący

Tchnienie wiatru 41

niepokój, a może lekką tęsknotę. Słońce dawno wzeszło, a on nadal stał zaspany, aż wreszcie ktoś go popchnął z tyłu, mówiąc, żeby się pośpieszył.

Wróciwszy do baraku, doprowadził do porządku łóżko polowe, wyczyścił karabin maszynowy, po czym zgarnął swoje przybory do golenia. Po drodze do łazienki, wśród bielonych wapnem eukaliptusów i rozwieszonych wszędzie napisów, nakazujących czystość i dyscyplinę, Gedeonowi raptem przypomniało się, że właśnie jest Święto Niepodległości², Piąty Dzień miesiąca Ijar³.1 że dziś jego pluton ma wziąć udział w paradnych pokazach spadochronowych w dolinie Jezreel. Wszedł do łazienki i w oczekiwaniu na wolne lustro mył zęby, rozmyślając o ładnych dziewczętach. Za półtorej godziny przygotowania zostaną zakończone, a pluton znajdzie się w powietrzu, w drodze do celu. Gromady podnieconych cywilów będą niecierpliwie czekać na ich skoki. I dziewczęta też tam będą. Na miejsce skoków wybrano okolicę w pobliżu Nof Harish, rodzinnego kibucu Gedeona, gdzie się urodził i gdzie dorastał aż do dnia, w którym wstąpił do wojska. Kiedy jego stopy dotkną ziemi, dzieciaki z kibucu obskoczą go ze wszystkich stron, krzycząc: „Gedeon, patrzcie, tutaj jest nasz Gedeon!”

Wcisnął się pomiędzy dwóch znacznie wyższych od siebie żołnierzy i zaczął mydlić twarz, usiłując się ogolić.

- Ależ upał - powiedział. Jeden z żołnierzy odparł:

- Jeszcze nie. Ale wkrótce będzie. A z tyłu inny żołnierz zaczął gderać:

- Pośpieszcie się. Nie zamierzacie chyba spędzić całego dnia na gadaniu.

Gedeon nie obraził się. Przeciwnie, z jakiegoś powodu słowa te wprawiły go w dobry nastrój. Osuszył twarz i wyszedł na plac apelowy. Tymczasem świetlisty błękit zmienił się w szarawą biel, w brudną poświatę chamsinu.

2

Szymson Scheinbaum już ubiegłej nocy przepowiedział bezbłędnie, że nadchodzi chamsin. Natychmiast po

42 *Tchnienie wiatru*

wstaniu z łóżka pośpieszył do okna, aby ze spokojną satysfakcją przekonać się, że po raz kolejny miał rację. Zamknął okiennice, chcąc uchronić pokój przed gorącym wiatrem; po czym umywszy twarz, owłosione ramiona i pierś, ogolił się i przygotował sobie śniadanie, kawę z bułką, które przyniósł poprzedniego wieczora ze stołówki. Szymson Scheinbaum nie znosił marnowania czasu, zwłaszcza podczas najbardziej wydajnych godzin porannych: azłówek wychodzi, idzie do stołówki, ucina pogawędkę, przegląda gazetę, omawia ostatnie wiadomości, i już połowa ranka mija. Zawsze więc poprzestawał na kubku kawy z bułką. Dziesięć po szóstej, zaraz po radiowym przeglądzie wydarzeń, ojciec Gedeona Szenhawa zasiadał do pracy. Tak latem, jak i zimą, bez żadnych wyjątków.

Usiadł przy biurku i przez jakiś czas wpatrywał się w mapę kraju, wiszącą na przeciwległej ścianie. Usilnie próbował sobie przypomnieć natarczywy sen, który nękał go nad ranem, tuż przed przebudzeniem. Lecz sen mu się wymknął. Szymson postanowił nie tracić już ani minuty i zabrać się do pracy. To prawda, że dzisiaj przypadało święto, ale najlepszym sposobem świętowania jest praca, nie zaś zaniedbywanie obowiązków. Zanim nadejdzie pora, żeby pójść popatrzeć na spadochroniarzy - i na Gedeona, który prawdopodobnie będzie pośród nich - pozostawało kilka godzin na pisanie. Kiedy się ma siedemdziesiąt pięć lat, człowiek nie może sobie pozwolić na roztrwonienie choćby jednej chwili, zwłaszcza wobec tak wielu, niepokojąco wielu spraw, o których trzeba jeszcze napisać. A czasu pozostało tak mało.

Nazwisko Szymsona Scheinbauma nie wymaga dodatkowych komentarzy, Hebrajski Ruch Pracy wie, jak należy honorować swoich ojców-założycieli i dlatego imię Szymsona Scheinbauma od kilku dziesięcioleci otoczone było nimbem trwałej sławy. Przez całe dekady duszą i ciałem walczył o spełnienie wizji swojej młodości. Niepowodzenia i rozczarowania nie zniszczyły ani nie osłabiły jego wiary, wręcz przeciwnie, wzbogaciły ją o nutę mądrego smutku. Im lepiej rozumiał słabość innych i ich ideologiczne odstępstwa, tym zacieklej starał się poko

Tchnienie wiatru 43

nać własne słabości. Surowo je wykorzeniał, żyjąc stosownie do własnych zasad z bezwzględną dyscypliną i nie bez pewnej ukrytej radości.

W tej chwili, pomiędzy godziną szóstą a siódmą rano w dniu Święta Niepodległości, Szymson Scheinbaum nie jest jeszcze pogrążonym w żałobie ojcem. Lecz jego rysy doskonale pasują do tej roli. Na pobrużdżonej twarzy gości przenikliwy, namaszczonego wyraz człowieka, który widzi wszystko, choć nie okazuje żadnej reakcji. A stalowe oczy wyrażają pełną ironii melancholię.

Siedzi przy biurku wyprostowany, z głową pochyloną nad notatkami. Łokcie spoczywają swobodnie. Biurko zrobione jest z surowego drewna, jak i cała reszta mebli, które są funkcjonalne i bez ozdób. Wyełuda to raczej na celę klasztorną niż na pokój w parterowym domku, w zasiedzonym kibucu.

Ten ranek nie będzie zbyt produktywny. Raz po raz myśli Szymsona Scheinbauma wędrują do snu, który mignął i zagaśł u kresu nocy. Musi uchwycić ten sen, a wtedy będzie mógł o nim zapomnieć i skupić się na pracy. Był tam jakiś gumowy wąż, tak, i jakby złote rybki czy coś w tym rodzaju. Kłótnia z kimś. Wszystko bez sensu. A teraz do pracy. Ruch Poalej Syjon⁴ sprawia wrażenie, iż był od samego początku budowany na ideologicznej sprzeczności, której nigdy nie zdołano pokonać, maskując ją jedynie za pomocą słownej ekwilibrystyki. Jednakże jest to sprzeczność tylko pozorna i jeśli ktoś ma nadzieję odkryć ją w celu podważenia lub zaatakowania naszego ruchu, nie wie, o czym mówi. A oto prosty dowód.

Bogate doświadczenie życiowe Szymsona Scheinbauma nauczyło go, jak bardzo arbitralna, jak pozbawiona czucia jest owa ręka, kierująca kaprysami naszego losu, zarówno losu jednostki, jak i całej zbiorowości. Trzeźwość umysłu Szymsona Scheinbauma nie pozbawiła go szczerości, która cechowała go od młodości. Najbardziej niezwykłą i godną podziwu jego zaletą jest niczym niezmacona prostota, pielęgnowana na wzór naszych szlacheckich, pobożnych przodków, których wiedza nie zdołała zniszczyć wiary. Scheinbaum nigdy nie pozwolił na to,

44 Tchnienie wiatru

aby j^eg^o czyny oderwały się od słów. Chociaż niektórzy przywódcy naszego ruchu w pogoni za karierą polityczną całkowicie zrezygnowali z pracy fizycznej, on nie chciał opuścić swojego kibucu. Odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek pracy czy stanowiska poza kibucem, a na nominację do Generalnego Kongresu Robotników zgodził się z wielką niechęcią. Jeszcze kilka lat temu jego dni były równo podzielone pomiędzy pracę fizyczną i intelektualną: trzy dni ogrodnictwa, trzy dni teorii. Piękne ogrody Nof Ha-rish są w wielkiej mierze dziełem jego rąk. Wszyscy pamiętamy, jak sadił, przycinał i szczepił, podlewał i okopywał, nawoził i przesadzał, pielł i karczował. Jeśli chodzi o jego status głównego teoretyka ruchu, nie uważał, aby to go zwalniało z obowiązków, które musiał spełniać każdy szeregowy pracownik kibucu: trzymał straż nocną, dyżurował w kuchni, pomagał przy żniwach. Nigdy cień podwójnego wartościowania nie padł na drogę życia Szymusza Scheinbauma; *to człowiek, który stanowi zespoloną jedność wizji i jej realizacji, który nie wie, co to niedbalstwo czy słabość woli* - napisał o nim w gazecie przed kilku laty, z okazji jego siedemdziesiątych urodzin, sekretarz ruchu kibucowego.

Prawda, były chwile przesywającej rozpacz. Bywały też chwile głębokiego rozgoryczenia. Szymusz Scheinbaum wie jednak, jak takie chwile zmieniać w tajemne źródło niespożytej energii. Zapamiętał do czynu zawsze napępiały go słowa ulubionej piosenki marszowej:

*Na szczyt gór stromych się wspinamy,
Tam świt nowego dnia czeka nas,
Za nami dni wczorajsze pozostały,
Nieprędko jutra nadejdzie czas.*

Żeby tylko ten głupi sen chciał się wyłonić z cienia i jasno ukazać, mógłby go wyrzucić z umysłu i wreszcie skoncentrować się na pracy. Czas ucieka. Gumowy wąż, gambit w szachach, jakieś złote rybki, wielka kłótnia, ale jaki to wszystko ma związek?

Przez wiele lat Szymusz Scheinbaum mieszkał sam. Całą energię wkładał w pracę ideologiczną. Dla tego dzieła życia poświęcił ciepło domu rodzinnego. W zamian za to

Tchnienie wiatru 45

aż do późnej starości zdolai zachować młodzieńczą świeżość i serdeczność. Dopiero gdy skończył pięćdziesiąt sześć lat, nieoczekiwanie poślubił Raję Grynszpan i spłodził Gedeona, ale wkrótce potem ją porzucił, by wrócić do swej działalności. Jednakże nie można świętoszkowato udawać, iż przed małżeństwem Szymson Scheinbaum wiodł egzystencję mnicha. Miał osobowość, która przyciągała kobiety, podobnie jak przyciągała jego uczniów. Był jeszcze całkiem młody, kiedy gęsta czupryna mu posiwiiała, a ogorzała od słońca twarz pokryła siatka atrakcyjnych linii i zmarszczek. Jego barczyste plecy, mocne ramiona, brzmienie głosu - zawsze ciepłe, pełne sceptycyzmu i rozwagi - a także jego samotność, wszystko to sprawiało, że kobiety lgnęły do niego jak trzepotliwe ptaki. Plotka przypisywała jego lędzwiom co najmniej jednego urwisa z kibucu, a i gdzie indziej krążyły podobne opowieści. Lecz my nie będziemy się nad tym zbytnio rozwodzić.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Szymson Scheinbaum uznał, że czas najwyższy spłodzić syna i spadkobiercę, który kontynuowałby jego dzieło i zachował nazwisko. I tak zdobył Raję Grynszpan, drobną dziewczynę, która się jąkała i była od niego o trzydzieści trzy lata młodsza. W trzy miesiące po cichym ślubie w wąskim gronie rodzinnym, urodził się Gedeon. I zanim kibuc otrząsnął się ze zdumienia, Szymson odesłał Raję z powrotem do jej dawnego pokoju i ponownie poświęcił się swojej idei. Epizod ten wywołał rozmaite pogłoski i - prawdę powiedziawszy - poprzedzony był bolesnymi wyrzutami sumienia samego Szymsona Scheinbauma.

Muszę się wreszcie skoncentrować i pomyśleć logicznie. Tak, teraz sobie przypominam. Wtargnęła do mojego pokoju, wołając, abym natychmiast tam poszedł i skończył z tym skandalem. O nic nie pytałem, tylko pobiegłem za nią. Ktoś miał czelność wykopać sadzawkę na trawniku przed stołówką, na co ja aż zawrzałem z oburzenia, ponieważ nikt nie zezwolił na podobne zmiany, na jakąś tam ozdobną sadzawkę przed stołówką, zupełnie jak przed dworem polskiego dziedzica. Krzyczałem. Na kogo, tego nie było widać wyraźnie. W sadzawce pływały złote rybki. I jakiś chłopiec

4. Tam, gdiie wyją.

46 Tchnienie wiatru

napełniał ją wodą za pomocą czarnego gumowego węża. Postanowiłem więc od razu na miejscu położyć kres temu całemu przedstawieniu, ale chłopiec nie chciał mnie słuchać. Zacząłem iść wzdłuż węża, aby dotrzeć do kranu i zamknąć dopływ wody, zanim ktokolwiek uzna tę sadzawkę za *fait accompli*. Szedłem i szedłem, aż nagle uświadomiłem sobie, że chodzę w kółko, a wąż wcale nie jest podłączony do kranu, tylko po prostu biegnie z powrotem do sadzawki i stamtąd czerpie wodę. Co za bzdury. Dość tego. Geneza ruchu Poalej Syjon winna być rozumiana bez uciekania się do dialektyki, należy brać ją dokładnie słowo w słowo.

3

Po separacji z Rają Grynszpan Szymson Scheinbaum nie zaniebyszał obowiązków mentora wobec swego syna, nie wypierał się też odpowiedzialności. Od chwili ukończenia przez chłopca sześciu czy siedmiu lat, obdarzał go hojnie całym ciepłem swej osobowości. Jednakże Gedeon okazał się w pewnym sensie rozczarowaniem: nie był to materiał, z którego budowano dynastie. W dzieciństwie stale pochlipywał. Było to ociężałe, nierozgarnięte dziecko, które przyjmowało razy i obelgi, nie odwzajemniając się tym samym; dziwne dziecko, najchętniej bawiące się papierkami od cukierków, zeszlými liśćmi i jedwabnikami. Począwszy od dwunastego roku życia, miał nieustannie złamane serce z powodu dziewcząt w różnym wieku. Wiecznie usychający z miłości, publikował w młodzieżowej gazecie smętne wiersze i złośliwe parodie. Śniady, łagodny młodzieniec, o niemal kobiecej urodzie, miał zwyczaj przemierzania ścieżek kibucu w uporczywym milczeniu. Nie błysnął w pracy, nie odznaczył się w życiu społecznym. Powolny w mówieniu, bez wątpienia równie wolno myślał. Jego wiersze były, zdaniem Szym-szona, niepoprawnie sentymentalne, parodie zaś jadowite, ale pozbawione śladu natchnienia. Nie można zaprzeczyć, że przyzwisko „Pinokio” pasowało do niego jak ulał. A denerwujący uśmiech, którym ustawicznie wykrzywiał twarz, wydawał się Szymsonowi przygnębiająco dokładną kopią uśmiechów Raji Grynszpan.

Tchnienie wiatru 47

Aż nagle osiemnaście miesięcy temu Gedeon zadziwił swojego ojca. Zjawił się, prosząc o pisemne pozwolenie na zaciągnięcie się do spadochroniarzy - ponieważ był jedynym synem, wymagało to zgody na piśmie obojga rodziców. Dopiero gdy Szymson Scheinbaum przekonał się, iż nie był to jeszcze jeden głupi kawał syna, przyrzekł mu dać takie pozwolenie. A wówczas dał je z przyjemnością: był to na pewno pomyślny zwrot w rozwoju chłopca. Zrobią tam z niego mężczyznę. Niech jedzie. Dlaczego nie.

Tymczasem gwałtowny sprzeciw Raji Grynszpan nie spodziewanie pokrzyżował plany Gedeona. Nie, ona nie podpisze dokumentu. W żadnym wypadku. Nigdy.

Szymson wybrał się nawet któregoś wieczora do jej pokoju, żeby ją prosić, żeby ją przekonywać, żeby na nią krzyczeć. Wszystko na próżno. Ona nie podpisze. Bez żadnego uzasadnienia, po prostu nie podpisze i już. Chcąc więc umożliwić chłopcu wstąpienie do wojska, musiał Szymson Scheinbaum uciec się do przebiegłych sztuczek. Napisał prywatny list do samego Jolka, prosząc

o osobistą przysługę. Pragnął, aby pozwolono jego synowi zgłosić się na ochotnika. Matka jest po prostu emocjonalnie nie zrównoważona. Chłopiec będzie pierwszorzędnym spadochroniarzem. Szymson weźmie na siebie pełną odpowiedzialność. A tak się składa, że nigdy dotąd nie prosił o żadną osobistą przysługę. I nigdy więcej nie poprosi. Był to pierwszy i ostatni raz w całym jego życiu. Błaga Jolka, aby zobaczył, co da się zrobić w tej sprawie.

W końcu września, kiedy w sadach zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki jesieni, Gedeon Szenhaw został przyjęty do jednostki spadochronowej.

Poczawszy od tego czasu, Szymson Scheinbaum pilniej niż kiedykolwiek zajął się pracą teoretyczną, która jest jedynym prawdziwym znakiem, jaki człowiek może pozostawić na tym świecie. Szymson Scheinbaum wycisnął niezatarte piętno na Hebrajskim Ruchu Pracy. Do starości wciąż mu jeszcze daleko. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat jego włosy są nadal gęste, a mięśnie twarde

1 mocne. Wzrok ma czujny a umysł jasny. Donośny, oschły, lekko ochrypnięty głos w dalszym ciągu czyni cuda wśród

48 *Tchnienie wiatru*

kobiet w różnym wieku. Zachowanie jego jest powściągliwe, sposób bycia skromny. Nie trzeba dodawać, że korzeniami tkwi głęboko w ziemi Nof Harish. Nie znosi zebrań i formalnych ceremonii, nie mówiąc już o uczestnictwie w komisjach i oficjalnych spotkaniach. Dzięki dziełom, które wyszły spod jego pióra, wpisał swoje imię na listę honorową naszego ruchu i naszego narodu.

4

Ostatni dzień Gedeona Szenhawa rozpoczął się olśniewającym wschodem słońca. Chłopakowi przyszło na myśl, że w tym upale można by nawet zobaczyć, jak parują kropelki rosy. Daleko na wschodzie na górskich szczytach płonęły wróżebne znaki. Był to dzień świętowania, świętowania niepodległości i spadochronowych skoków na tak dobrze znane rodzime pola. Przez całą ostatnią noc Gedeon śnił o mrocznych, jesiennych lasach pod niebem północy, o wspaniałym zapachu jesieni, o ogromnych drzewach, których nie potrafił nazwać. Przez całą noc blade liście opadały na baraki w obozie. Nawet rano po przebudzeniu północny las ze swymi bezimiennymi drzewami nie przestawał szeptać mu do ucha.

Gedeon uwielbiał ten cudowny moment swobodnego spadania pomiędzy skokiem z samolotu a otwarciem się spadochronu. Próżnia pędzi pod górę z szybkością błyskawicy, porywiste prądy powietrza liżą ciało, przyprawiając o zawrót głowy z rozkoszy. Niebezpieczna, szaleńcza prędkość gwizdze i wyje, aż całe ciało drży od niej, rozpalone do czerwoności igielki kłują zakończenia nerwów, a serce łomocze. Nagle podczas tego pędu z wiatrem, otwiera się czasza spadochronu. Spadanie ulega gwałtownemu zahamowaniu. Pasy ujmują skoczka ze statecznym spokojem niczym mocne, męskie ramię; pod pachami daje się wyczuć ich podtrzymującą siłę. Szalony dreszcz ustępuje miejsca przyjemności bardziej statecznej. Ciało kołysze się z wolna w powietrzu, płynie niepewnie, dryfuje przez chwilę na lekkim wietrze; nigdy nie można dokładnie przewidzieć, w którym miejscu stopy dotkną ziemi - czy na zboczu tego wzgórza, czy po tamtej stronie, w pobliżu

Tchnienie wiatru 49

gajów pomarańczowych - i człowiek opada powoli jak zmęczony wędrowny ptak, spoglądając na dachy, drogi i krowy na łące; tak powoli, jakby miał wybór, jakby podejmował samodzielną decyzję.

A potem jest już ziemia pod stopami, można więc wykonać wyuczone salto, które ma osłabić wstrząs lądowania. W ciągu kilku sekund trzeba oprzytomnieć. Uspokaja się rozpędzona krew. Wymiary powracają do normy. Jedynie dumne znużenie nadal przepelnia serce aż do chwili, kiedy wszyscy dołączają do dowódcy i pochłonie ich ożywiony rytm przegrupowania.

Tym razem wszystko to ma się wydarzyć nad Nof Harish.

Starsi ludzie uniosą w górę wilgotne, zimne dłonie i przesunąwszy czapki na czubek głowy, będą próbowali wypatrzeć Gedeona pośród kołyszących się na niebie szarych punkcików. Dzieciaki będą biegać po polach, również czekając w podnieceniu na lądowanie swego bohatera. Matka wyjdzie ze stołówki i stanie, spoglądając w górę i mamrocząc coś do siebie. Szymson opuści na chwilę swoje biurko, może wyniesie krzesło na ganek i będzie się przyglądał całemu pokazowi, pełen melancholijnej dumy.

A potem kibuc ugości całą jednostkę. W stołówce zostaną ustawione dzbany z lemoniadą, połyskujące od chłodnego potu, i będą skrzynki jabłek, a stare kobiety upieką pewnie ciasteczka, które ozdobią napisami z lukru.

O szóstej trzydzieści słońce wyrosło ze swego wielobarwnego kaprysu i z surową bezwzględnością wzbilo się ponad szczyty gór na wschodzie. Gęsty żar zawisł ciężko nad całą sceną. Błaznane dachy obozowych baraków rozbłysły oślepiającym blaskiem. Ściany zaczęły wydzielać przygniatające, duszne opary, napełniając nimi wnętrza budynków. Szosą, która wiodła wzdłuż ogrodzenia kibu-cu, posuwała się ruchliwa procesja autobusów i ciężarówek: to mieszkańcy wsi i miasteczek ciągnęli już do miasta, aby obejrzeć defiladę wojskową. W tumanach kurzu ledwie można było rozróżnić ich białe koszule; z oddali dobiegały urywki żywiołowej piosenki.

Spadochroniarze zakończyli poranny przegląd. Rozkazy dnia, podpisane przez szefa sztabu, zostały odczytane

50 Tchnienie wiatru

i wywieszane na tablicach informacyjnych. Na świąteczne śniadanie podano jajko na twardo na listku sałaty w wianuszku z oliwek.

Gedeon, z opadającymi na czoło ciemnymi włosami, zanucił z cicha smętną piosenkę. Koledzy zawtórowali mu chórem. Tu i ówdzie ktoś zmienił słowa, przerabiając je na komiczne, a nawet nieprzyzwoite. Wkrótce piosenki hebrajskie ustąpiły miejsca gardłowemu, niemal rozpaczliwemu arabskiemu zawodzeniu. Plutonowy, przystojny jasnowłosy oficer, którego bohaterskie czyny opiewano wieczorami przy obozowych ogniskach, wstał i powiedział:

- Wystarczy.

Żołnierze umilkli i dopiwszy pośpiesznie tłustawą kawę, ruszyli ku pasom startowym. Tutaj nastąpiła kolejna zbiórka: oficer dowodzący operacją zwrócił się do swoich ludzi z serdecznym słowem, nazywając ich „solą ziemi”, po czym wydał rozkaz wsiadania do oczekujących samolotów.

Komendanci eskadry stali w drzwiach samolotów, sprawdzając każdy pas i każdą sprzączkę. Sam dowódca operacji krążył wśród żołnierzy, poklepując ich po ramieniu, żartując, doradzając, zagrzewając do czynu, zupełnie jakby szykowali się do bitwy i mieli stawić czoło prawdziwemu niebezpieczeństwu. Na klepnięcie po ramieniu Gedeon odpowiedział przelotnym uśmiechem. Był szczupły, niemal ascetyczny i bardzo opalony. Sławny jasnowłosy oficer mógłby zapewne dostrzec swoim bystrym okiem błękitną żyłkę, pulsującą mu na szyi.

Tymczasem upał wtargnął do cienistych magazynów, zdobywając bez oporu ostatnie twierdze chłodu i rozpalając wszystko szarym żarem. Dano znak. Silniki zawyły gardłowym rykiem. Spłoszone ptaki pierzchły z pasów startowych. Samoloty zadrzały i ruszyły ciężko do przodu, nabierając rozpędu, bez którego wzbicie się w powietrze nie byłoby możliwe.

5

Muszę tam pójść, żeby uścisnąć mu rękę. Powziąwszy tę decyzję, Scheinbaum zamknął swój notatnik. Miesiące służby wojskowej z pewnością wzmocni

Tchnienie wiatru 51

ty chtopca. Trudno uwierzyć, ale wygląda na to, że nareszcie zaczyna on dojrzewać. Musi się jeszcze nauczyć, jak sobie radzić z kobietami. Trzeba, żeby raz na zawsze skończył z nieśmiałością i sentymentalizmem: takie cechy powinien pozostawić słabej płci i zająć się wyrabianiem w sobie męstwa. A jakie postępy zrobił w szachach. Wkrótce będzie poważnym rywalem dla swego starego ojca. Może nawet pewnego dnia mnie pokona. Ale jeszcze nie teraz. Byle tylko się nie poddał i nie ożenił z pierwszą lepszą dziewczyną, która mu ulegnie. Musi uwieść jedną czy dwie, zanim wpadnie w małżeńskie sidła. Za kilka lat powinien dać mi kilkoro wnucząt. Całą gromadę wnuków. Dzieci Gedeona będą miały dwóch ojców: mój syn będzie się troszczył o ich byt, mnie natomiast pozostawi troskę o ich poglądy. Drugie pokolenie wzrastało w cieniu naszych osiągnięć, dlatego jest takie zagubione. To kwestia dialektyki. Jednakże w trzecim pokoleniu powstanie cudowna synteza, dzieło uwieńczone powodzeniem: spontaniczność rodziców w połączeniu z duchem dziadków. Wspaniałe dziedzictwo, wykrystalizowane z powikłanej genealogii. Lepiej zanotuję to zdanie, może się kiedyś przydać. Czuję wielki smutek, myśląc o Gedeonie i jego przyjaciółach: noszą w sobie tyle płytkiej rozpacz, nihilizmu, cynicznej ironii. Nie potrafią kochać całym sercem, ale też nie potrafią całym sercem nienawidzić. Ani entuzjazmu, ani pogardy. Nie do mnie należy potępianie rozpacz samej w sobie. Od wieków rozpacz jest bliźniaczą siostrą wiary, lecz tylko rozpacz prawdziwa, męska i żarliwa, nie zaś ta ich czułościowa, poetyczna melancholia. Siedź spokojnie, Gedeonie, przestań się drapać i skończ z tym obgryzaniem. Pragnę ci przeczytać cudowny ustęp z Bren-nera⁵. W porządku, możesz sobie stroić miny. Wobec tego, nie będę czytał. Proszę bardzo, wyrośnij na Beduina, skoro tego chcesz. Lecz jeśli nie poznasz Brennera, nigdy nie pojmiesz tego, czym naprawdę jest rozpacz ani czym jest wiara. Nie znajdziesz tutaj smętnych poematów o szakalach schwytych w pułapkę ani o kwiatach jesieni. U Brennera wszystko przeniknięte jest żarem. Miłość na równi z nienawiścią. Być może wy sami nigdy nie spotkacie się twarzą w twarz ani ze światłem, ani z ciemnością,

52 *Tchnienie wiatru*

natomiast wasze dzieci - tak. Z zawilej genealogii wyłoni się dziedzictwo pełne chluby. I nie pozwolimy, aby trzecie pokolenie było karmione i psute cklivymi wierszami, pisanymi przez dekadencjne poetessy. Lecz oto właśnie nadlatują samoloty. Odłożymy Brennera z powrotem na półkę i przygotowujemy się, by dla odmiany ojciec mógł być z ciebie dumny, Gedeonie Scheinbaum.

6

Scheinbaum przemaszerował zdecydowanym krokiem przez trawnik i wszedł na betonową ścieżkę, kierując się ku zaoranemu polu na południowo-zachodnim krańcu ki-bucu, gdzie wyznaczono miejsce na lądowisko. Po drodze przystawał co jakiś czas przy rabatach kwiatowych, aby wyrwać zabłąkany chwast, skryty pod kwitnącym krzewem. Jego małe, stalowe oczka zawsze z niesłychaną wprawą wykrywały chwasty. Jakkolwiek ze względu na swój wiek kilka lat temu wycofał się z pracy w ogrodach, aż do śmierci jednak nie przestanie bezlitośnie przeszukiwać klombów, polując na niepożądanych intruzów. W takich chwilach zawsze myślał o młodym człowieku, o czterdzieści lat od siebie młodszym, który przejął jego funkcję ogrodnika i był zadowolonym z siebie, lokalnym akwarelistą. Odziedziczył pięknie utrzymane ogrody, które teraz na naszych oczach miały wydać plon.

Gromada podekscytowanych chłopców przebiegła mu drogę. Byli bez reszty pochłonięci drobiazgowym sporem na temat typów samolotów, krążących nad doliną. Ponieważ biegli, spór przybrał postać głośnych, przerywanych sapaniem okrzyków. Szymson złapał jednego z nich za połe koszuli, zmusił do zatrzymania się i zbliżywszy twarz do twarzy wyrostka, rzekł:

- Ty jesteś Zaki.

- Zostawcie mnie w spokoju - zawołał chłopak. Scheinbaum mówił dalej:

- Po co te krzyki? Samoloty; tylko to wam w głowach, co? A takie bieganie przez klomby, chociaż są tam napisy: „Nie deptać”; czy to jest w porządku? Myślicie, że wolno wam robić wszystko, na co macie ochotę? Nie ist

Tchnienie wiatru 53

nieją już żadne zasady? Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię. I odpowiadaj jak należy albo...

Lecz Zaki wykorzysta! potok słów, żeby jednym szarpnięciem oswobodzić się z uchwytu starca. Umknąwszy w krzaki, wykrzywi! się jak małpa i wywali! język.

Scheinbaum zacisnął usta. Pomyślał przez chwilę o starości, ale natychmiast odrzucił tę myśl i mruknął:

- W porządku. Zajmiemy się tym później. - Zaki, czyli inaczej Azariasz. Szybkie obliczenia wykazały, że musi mieć co najmniej jedenaście, a może już dwanaście lat. Chuligan. Szczeniak.

Wysportowani chłopcy zajmowali właśnie dogodny punkt obserwacyjny na szczycie wieży ciśnień, skąd widać było dolinę jak długa i szeroka. Scheinbaumowi scena ta skojarzyła się z malarstwem rosyjskim. Przez moment kusilo go, żeby także wspiać się na górę i dołączyć do młodych ludzi, bo stamtąd mógłby swobodniej przyglądać się pokazom. Jednakże myśl o mającym nastąpić męskim uścisku dłoni sprawiła, że nie przerywając miarowego marszu, dotarł aż na skraj pola. Tu przystanął na szeroko rozstawionych nogach, z rękami założonymi na piersiach, z gęstą czupryną białych włosów, opadających malowniczo na czoło. Wyciągnął szyję i nieruchomym wzrokiem śledził dwa samoloty transportowe. Jego twarz z mozaiką zmarszczek wzbogaciła się o osobliwą mieszaninę dumy, zamyślenia i szczypty opanowanej ironii. A ze swymi krzaczastymi, siwymi brwiami wyglądał jak święty z prawosławnej ikony. Tymczasem samoloty zakończyły pierwsze okrążenie i ten, który leciał na czele, zbliżył się ponownie do pola.

Szymson Scheinbaum zaczął coś cicho pomrukiwać. W piersi kołatała mu stara rosyjska melodia. Pierwsza grupa skoczków ukazała się w otworze z boku samolotu. Drobne, ciemne kształty rozsypały się w przestrzeni, jak nasiona rzucane przez rolnika na rycinie z pionierskich czasów.

W tym momencie Raja Grynszpan wysunęła głowę przez kuchenne okno i zaczęła wymachiwać trzymaną w ręku chochlą, zupełnie jakby strofowała korony drzew. Twarz miała rozognioną i zaczerwienioną. Była cała spo

54 *Tchnienie wiatru*

ona, a skromna sukienka przylgnęła jej do mocnych, owłosionych nóg. Sapiąc, podrapała się paznokciami wolnej ręki po rozczochranych włosach, a potem odwróciła się gwałtownie i krzyknęła do pozostałych kobiet, pracujących w kuchni:

- Prędko! Podejdźcie do okna! Tam, w górze jest Ge-di! Gedi w niebie!

I równie nagle zamilkła.

Podczas gdy pierwsi skoczkowie płynęli między niebem a ziemią łagodnie jak garść piór, nadleciał drugi samolot, aby wyrzucić grupę Gedeona Szenhawa. Spadochroniarze stali we władze blisko siebie, jeden za drugim; ich stłoczone ciała tworzyły napiętą, przepoconą masę. Wreszcie nadeszła kolej Gedeona: zacisnął zęby, objął kolana ramionami i wyskoczył niczym z łona matki w jasne, rozgrzane powietrze. Przeciągły, dziki okrzyk radości wyrwał mu się z gardła, kiedy zaczął spadać. Ujrzał znajome miejsca swego dzieciństwa nadbiegające ku niemu, kiedy spadał, ujrzał dachy i wierzchołki drzew i uśmiechnął się z serdecznym pozdrowieniem, kiedy spadał ku winnicom i betonowym ścieżkom, ku szopom i połyskliwym kanałom, z radością w sercu, kiedy spadał. Nigdy w życiu nie zaznał takiej wszechogarniającej, do szpiku kości przenikającej miłości. Wszystkie mięśnie miał napięte, a przez żołądek przepływało mu pulsujące mrowienie, które podchodziło wzdłuż kręgosłupa aż do nasady włosów. Wrzeszczał z miłości jak opętany, wbijając paznokcie niemal do krwi w zaciśnięte dłonie. Wtem pasy naprężyły się i uchwyciły go pod pachami. Jego klatka piersiowa została ujęta w mocny uścisk. Przez chwilę poczuł się tak, jak gdyby niewidzialna ręka ciągnęła go z powrotem do samolotu, w sam środek nieba. Cudowne uczucie spadania ustąpiło miejsca powolnemu, łagodnemu kołysaniu, które przypominało huśtanie kolebki albo pływanie w ciepłej wodzie. Nagle ogarnęła go straszna panika. Jak oni tam w dole mnie rozpoznają? Czy uda im się dostrzec swego jedynego syna w tym gąszczu białych spadochronów? Jak zdołają wypatrzeć mnie jednym swym spojrzeniem pełnym niepokoju i miłości? Matka i Tato, ładne dziewczęta i małe dzieci, i wszyscy inni. Nie mogę tak po

Tchnienie wiatru 55

prostu zniknąć w tłumie. Przecież to ja, to mnie właśnie kochają.

Wówczas Gedeonowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Uniósł dłoń i pociągnął za sznur na ramieniu, otwierający zapasowy spadochron, używany w sytuacjach awaryjnych. W tej samej chwili nad Gedeonem otworzyła się druga czasza, sprawiając, że zwolnił gwałtownie, jak gdyby siła ciężenia utraciła nad nim władzę. Zdawało się, że płynie sam w próżni, jak mewa albo samotna chmura. Ostatni jego towarzysze wylądowali już na sypkiej ziemi i właśnie składali swoje spadochrony. Jedynie Gedeon Szenhaw wciąż wisiał w powietrzu jak zaczarowany, z dwiema ogromnymi czaszami rozpostartymi ponad głową. Szczęśliwy, odurzony, rozkoszował się utkwionymi w sobie spojrzeniami dziesiątek oczu. Tylko w nim. W jego cudownym odosobnieniu.

Jak gdyby chcąc jeszcze przydać temu widowisku świetności, od zachodu zerwał się mocny, niemal zimny wiatr, który zaczął przeorywać gorące powietrze, igrając we włosach widzów i lekko znosząc ku wschodowi ostatniego ze spadochroniarzy.

7

Tłumy zgromadzone w dalekim mieście z okazji parady wojskowej powitały z westchnieniem ulgi nagły poryw wiatru od morza. Czyżby oznaczał on koniec fali upałów? Chłodny, słonawy zapach pieścił rozpalone ulice. Wkrótce wiatr przybrał na sile. Gwizdał gwałtownie w koronach drzew, zginał sztywne kręgosłupy cyprysów, targał igłami sosen, wzbijał tumany kurzu, zacierając widok pokazów spadochronowych. Dostojnie, jak olbrzymi samotny ptak, Gedeon Szenhaw płynął na wschód, ku szosie.

Krzyk przerażenia, który wyrwał się jednocześnie z setek gardeł, w żaden sposób nie mógł dotrzeć do chłopca: śpiewając głośno w ekstatycznym transie, nie przestawał z wolna się kołysać w kierunku przewodów wysokiego napięcia, rozciągniętych między potężnymi słupami. Ludzie spoglądali z trwogą na zawieszzonego w powietrzu żołnierza i na linię wysokiego napięcia, która z pewnością

56 *Tchnienie wiatru*

siebie prostotą przecinała dolinę z zachodu na wschód. Pięć równoległych przewodów, uginając się pod własnym ciężarem, grało z cicha w porywach wiatru.

Oba spadochrony Gedeona zaplątały się w górny przewód. Po paru sekundach na przewodzie poniżej wylądowały jego stopy. Ciało zawisło przechylone ukośnie do tyłu. Pasy ścisnęły mu mocno klatkę piersiową i ramiona, uniemożliwiając upadek na miękką zaoraną ziemię. Gdyby nie to, że izolowały go grube podeszwy wojskowych butów, chłopak zostałby porażony śmiertelnie w momencie zderzenia. W tej sytuacji przewód zaprotestował przeciwko niezwykłemu ciężarowi, przypiekając jedynie podeszwy butów. Drobnie iskierki migotały i strzelały pod stopami Gedeona, który oburącz kurczowo ścisnął klamry pasów. Oczy miał wytrzeszczone i szeroko otwarte usta.

Niewysoki oficer, spocony z wrażenia, błyskawicznie wyskoczył ze skamieniałego tłumu i krzyknął:

- Nie dotykaj przewodów, Gedi! Odchyl ciało do tyłu i trzymaj się od nich jak możesz najdalej!

Ciasno zbity, ogarnięty paniką tłum zaczął powoli przesuwać się na wschód. Rozległy się krzyki. Rozległ się lament. Scheinbaum uciszył wszystkich ostrym tonem i nakazał zachowanie spokoju. Dudniąc stopami po sypkiej ziemi, biegiem dotarł na miejsce i odepchnąwszy na bok oficera i ciekawskich gapiów, polecił synowi:

- Szybko, Gedeonie. Rozluźnij pasy i skacz. Ziemia jest tu miękką. To całkiem bezpieczne. Skacz.

- Nie mogę.

- Nie sprzeczasz się. Rób, jak powiedziałem. Skacz.

- Nie mogę, Tato, nie mogę tego zrobić.

- Co to znaczy, nie możesz. Rozluźnij pasy i skacz, zanim prąd cię zabije.

- Nie mogę, pasy są splątane. Powiedz im, żeby natychmiast wyłączyli prąd, Tato, bo mi się buty palą.

Kilku żołnierzy próbowało powstrzymać tłum, odwieść ludzi od dawania różnych dobrych rad i zrobić więcej miejsca pod linią wysokiego napięcia. Bez przerwy powtarzali, jak zakłęcie:

- Tylko bez paniki, tylko bez paniki.

Tchnienie wiatru 57

Chłopczy z kibucu kręcili się w pobliżu, robiąc jeszcze większe zamieszanie. Nie pomagały napomnienia ani ostrzeżenia. Dwóch rozgniewanych spadochroniarzy zdołało pochwycić Zakiego, który dla kawału wspinał się na pobliski słup, parskaniem, gwizdami i głupimi minami starając się przyciągnąć uwagę gapiów.

Wtem niewysoki oficer krzyknął:

- Nóż! Masz nóż przy pasku. Wyciągnij go i przetnij pasy!

Jednakże Gedeon albo nie mógł, albo nie chciał tego słyszeć. Zaczął głośno szlochać.

- Ściągnij mnie na dół, Tato, bo prąd mnie porazi, powiedz im, żeby mnie stąd ściągnęli, sam nie dam rady zejść.

- Przestań chlipać - uciał krótko jego ojciec. - Powiedziano ci, żebyś użył swego noża do przecięcia pasów. A więc rób, jak ci powiedziano. I przestań chlipać.

Chłopak usłuchał. Nadal szlochał głośno, ale spróbował wymacać nóż i dosięgnąwszy go, zaczął przecinać jeden pas po drugim. Panowała absolutna cisza. Tylko co jakiś czas rozlegał się szloch Gedeona: dziwny, przenikliwy dźwięk. W końcu pozostał ostatni pas, który go trzymał, a którego nie miał odwagi przeciąć.

- Przetnij go - wrzeszczały dzieciaki piskliwie - przetnij go i skacz. Zobaczymy, jak ci to pójdzie.

A Szymoszon dodał zrównoważonym tonem:

- No, na co jeszcze czekasz?

- Nie mogę tego zrobić - poskarżył się Gedeon.

- Oczywiście, że możesz - oświadczył jego ojciec.

- Prąd - zatkał chłopak. - Czuję prąd. Ściągnijcie mnie na dół, prędko.

Oczy Szymoszona nabiegły krwią, kiedy ryknął:

- Ty tchórze! Wstydu nie masz!

- Ale ja nie mogę tego zrobić, skręcę kark, to za wysoko.

- Możesz i musisz to zrobić. Jesteś wariat, tak właśnie, wariat i tchórz.

Grupa samolotów odrzutowych przeleciała ponad głowami ludzi w drodze na pokazy powietrzne nad miastem. W starannym szyku pędziły z łoskotem na zachód jak sfo

58 *Tchnienie wiatru*

ra dzikich psów. Kiedy samoloty zniknęły, cisza wydała się dwakroć bardziej intensywna. Nawet Gedeon przestał płakać. Nóż wypadł mu z rąk. Ostrze wbiło się w piach u stóp Szymszona Scheinbauma.

- Dlaczego to zrobiłeś? - krzyknął niewysoki oficer.

- Nie chciałem - jęknął Gedeon. - Po prostu sam mi się wyśliznął.

Szymшон Scheinbaum schylił się, wygrzebał z ziemi kamyk, po czym wyprostował się i rzucił nim z wściekłością w plecy syna.

- Pinokio, ty mokra szmato, ty nędzny tchórz! W tym momencie wiatr od morza ucichł.

Upał powrócił, by wszystko wokół zdławić z podwójną siłą. Rudy, piegowaty żołnierz szepnął sam do siebie:

- Boi się skoczyć, idiota, a przecież zginie, jeśli zostanie tam w górze.

Na te słowa brzydka chuda dziewczyna rzuciła się w środek tłumu i otworzyła szeroko ramiona:

- Skacz w moje objęcia, Gedi, nic ci się nie stanie.

- Warto by wiedzieć - zauważył jakiś starszy człowiek w roboczym ubraniu - czy ktoś miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby zatelefonować do elektrowni i poprosić ich o wyłączenie prądu. - Odwrócił się i spojrzał na zabudowania kibucu. Kiedy w chwilę później z gniewem żwawo maszerował pod górę niewielkiego wzniesienia, nagle wstrząsnęła nim długa seria strzałów oddanych gdzieś w pobliżu. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że to do niego strzelano od tyłu. Lecz natychmiast domyślił się, co zaszło: to dowódca plutonu, przystojny, jasnowłosy bohater, próbował przeciąć przewody za pomocą karabinu maszynowego.

Bez powodzenia.

Tymczasem z zagrody nadjechała rozklekotana ciężarówka. Wyładowano z niej drabiny i nosze, a z szoferki wysiadł niemłody doktor.

W tym samym momencie Gedeon najwyraźniej podjął nagłą decyzję. Jednym energicznym kopnięciem odepchnął się od dolnego przewodu, sypiącego niebieskimi iskrami, zrobił salto, po czym zawisł głową w dół na jedynym pasie, bijąc przypalonymi butami w powietrzu, niespełna pół metra od przewodu.

Tchnienie wiatru 59

Trudno było mieć całkowitą pewność, ale wyglądało na to, że jak dotąd Gedeon nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. A teraz chwiał się bezsilnie do góry nogami, jak martwe jagnię na rzeźniczym haku.

Widok ten wywołał w gapiących się dzieciakach histeryczną radość. Rozkaszlały się ze śmiechu. Zaki klepał się po kolanach, krztusząc się i trzęsąc konwulsyjnie. Podskakiwał przy tym i skrzeczał jak złośliwa małpa.

Cóż takiego ujrzał Gedeon Szenhaw, co kazało mu raptownie wyciągnąć szyję i zawtórować rozbawionym chłopcom? Być może dziwaczna pozycja zmąciła mu umysł. Twarz nabiegła mu krwią, język wysunął się z ust, gęste włosy zwisały w dół. I tylko nogi wyrzucił wysoko w górę, w niebo.

8

Druga grupa odrzutowców przeorała niebo ponad głowami: tuzin stalowych ptaków, wyrzeźbionych z okrutną pięknnością, połyskujących w blasku słońca. Leciały w szyku uderzeniowym. Ich furia wstrząsnęła ziemią. Zmierzały na zachód, wprost na zachód, a za nimi podążała głęboka cisza.

Tymczasem doktor usiadł na noszach, zapalił papierosa i spoglądając niepewnie na zgromadzonych ludzi, żołnierzy i rozbrykane dzieciaki, mruknął pod nosem:

- Zobaczymy, jak to się wszystko potoczy. Co ma się stać, to się stanie. Ależ dzisiaj gorąco.

Gedeon raz po raz wybuchał absurdalnym śmiechem. Młócił nogami, zakreślając niezdarne kółka w zakurzonej powietrzu. Krew odpłynęła z odwróconych kończyn i zebrała się w głowie. Oczy zaczęły mu wychodzić na wierzch. Świat powoli ciemniał. Zamiast szkarłatnego blasku pod powiekami tańczyły mu teraz fioletowe plamy. Wysunął język. Dzieciaki odebrały to jako drwinę.

- Pinokio do góry nogami - wrzasnął przeraźliwie Zaki. - Dlaczego nie przestaniesz tu na nas zezować, a zamiast tego nie spróbujesz pospacerować na rękach?

Scheinbaum zamachnął się, chcąc uderzyć urwisa, ale cios trafił w próżnię, ponieważ chłopak uskoczył w bok. Sta

60 *Tchnienie wiatru*

rzec skinał na jasnowłosego dowódcę plutonu, po czym odbyli krótką naradę. Gedeonowi nie zagrażało niebezpieczeństwo, gdyż nie stykał się bezpośrednio z przewodami elektrycznymi, ale trzeba go czym prędzej ratować. Ta komedia nie może się ciągnąć w nieskończoność. Drabina nie na wiele się zda: chłopak był za wysoko. Czy nie dałoby się w jakiś sposób dostarczyć mu z powrotem tam na górę jego noża, a następnie namówić go, żeby przeciął ostatni pas i skoczył na rozciągnięte płótno. W gruncie rzeczy, było to proste, rutynowe ćwiczenie w szkoleniu spadochronowym. Najważniejsza rzecz to działać szybko, bo sytuacja była upokarzająca. Nie wspominając o czeredzie wyrostków. Niewysoki oficer zdjął koszulę i zawinął w nią nóż. Gedeon wyciągnął do dołu ramiona, próbując złapać zawiniątko, ale wysliznęło mu się z rąk i spadło na ziemię bezużyteczne. Dzieciaki parsknęły śmiechem. Dopiero po dwóch kolejnych nieudanych próbach Gedeonowi udało się pochwycić koszulę i wydobyć nóż. Palce miał zdrętwiałe i ciężkie od nabiegłej krwi. Nagle przycisnął ostrze do rozpalonego policzka, rozkoszując się chłodnym dotknięciem stali. Było to cudowne uczucie. Otworzył oczy i ujrzał odwrócony świat. Wszystko wyglądało komicznie: ciężarówka, pole, jego ojciec, wojsko, dzieci, a nawet nóż, który trzymał w ręce. Wykrzywił twarz do gromady chłopców, zaśmiał się głucho i pomachał do nich nożem. Chciał coś powiedzieć. Gdyby tak mogli sami siebie zobaczyć, jak biegają wkoło, do góry nogami, niczym wystraszone mrówki, na pewno śmialiby się razem z nim. Lecz śmiech przeszedł w ciężki kaszel; Gedeon zakrztusił się i oczy zasły mu mgłą.

9

Błazeństwa wiszącego do góry nogami Gedeona napełniły Zakiego demoniczną radością.

- On płacze - krzyknął z okrucieństwem. - Gedeon płacze, patrzcie, widać jego łzy. Pinokio bohater. O, jak chlipie ze strachu. Wszystko widać, wszystko widać.

Po raz kolejny pięść Szymszona Scheinbauma chybiła, trafiając w próżnię.

- Żaki - zdołał wyrzeźbić Gedeon głuchym, nabrzmia

Tchnienie wiatru 61

łym z bólu głosem - zabiję cię, uduszę, ty bękarcie. - Nagle zachichota! i umilkł.

Sytuacja była okropna. Chłopak sam nie chciał przeciąć ostatniego pasa, a doktor obawiał się, że jeśli pozostanie dłużej w tej pozycji, to całkiem prawdopodobne, iż straci przytomność. Należało koniecznie znaleźć jakieś inne wyjście. Nie można było pozwolić, żeby to przedstawienie trwało cały dzień.

Cieżarówka z kibucu podjechała hałaśliwie przez zaorane pole i zahamowała w miejscu wskazanym przez Szym-szona Scheinbauma. Dwie drabiny złączono pośpiesznie ze sobą, tak aby mogły sięgnąć na żadaną wysokość, po czym pięć par krzepkich ramion ustawiło je na dachu ciężarówki. Sławny jasnowłosy oficer rozpoczął wspinaczkę. Kiedy jednak dotarł do miejsca złączenia, dało się słyszeć złowieszcze skrzypienie i drewno zaczęło się wyginać od ciężaru i wysokości. Oficer, dość masywny mężczyzna, zawahał się przez moment. Uznał, że musi się wycofać i mocniej związać drabiny. Zszedł na ciężarówkę, otarł spocone czoło i powiedział:

- Czekaście, niech pomyślę.

Właśnie wtedy w mgnieniu oka, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, mały Zaki wspiał się na drabinę, minął złączenie i jak szalona małpa wskoczył na sam szczyt. Wtem w garści błysnął mu nóż - skąd, u licha, go wziął? Zaczął się zмагаć z naprężonym pasem. Wszyscy wstrzymali oddech: wydawało się, że urągał prawu ciężenia, niczego się nie trzymając, na nic nie zważając, kiedy tak podskakiwał na najwyższym szczeblu, zwinny, gibki, zadziwiająco sprawny.

10

Upał prażył wiszącego spadochroniarza niemiłosiernie. Oczy zasły mu mgłą. Prawie nie oddychał. W ostatnim przeblysku świadomości ujrzał tuż przed sobą swego brzydkiego brata i poczuł na twarzy jego oddech. Zwietrzył jego zapach. Dostrzegł jego ostre, wystające zęby. Okropny strach przejął Gedeona, zupełnie jakby patrząc w lustro, ujrzał nagle potwora. Koszmarna zjawia pobudzi-

5. Tam, gdzie wyją

62 *Tchnienie wiatru*

la w nim resztkę sit. Wierzgnął! w powietrzu, wziął! zamach, zdoła! się odwrócić, uchwycić za pas i podciągnąć w górę. Z wyprostowanymi ramionami rzucił się na przewód wysokiego napięcia i ujrzał błysk. Gorący wiatr nie przestawał dławić doliny. A trzecia grupa odrzutowców napełniła całą przestrzeń hukami.

11

Status ojca w żałobie otacza mężczyzną świętą aurą cierpienia. Jednakże Szymson Scheinbaum nie myślał o tej aurze. Oszołomiona, milcząca gromada eskortowała go w drodze do stołówki. Miał absolutną pewność, że w takiej chwili jego miejsce jest przy Raji.

Po drodze zobaczy! małego Zakiego, rozpromienionego, mimowolnego bohatera. Otaczała go młodzież: w końcu omal nie uratował Gedeona. Szymson położył trzęsącą się rękę na głowie chłopca, próbując coś powiedzieć. Głos odmówił mu posłuszeństwa, wargi zadrżały. Niezdarnie pogłaskał rozczochraną, zakurzoną czuprynę. Nigdy dotąd tego nie uczynił. Kilka kroków dalej starcowi pociemniało w oczach i osunął się zemdlony na klomb kwiatów.

Kiedy Święto Niepodległości zbliżało się ku końcowi, chamsin ucichł. Świeży podmuch od morza ostudził parujące ściany. Nocą gęsta rosa pokryła trawniki.

Co zwiastuje błądy krąg wokół! księżycyca? Zazwyczaj zapowiada nadejście chamsinu. Jutro bez wątpienia upał powróci. Jest maj, potem będzie czerwiec. Nocą wiatr błądzi pośród cyprysów, próbując je ukoić po kolejnych falach upału. Tak to już jest z wiatrem, że zrywa się i ustaje, a potem znowu zaczyna wiać. To nic nowego.

1962

¹ **Hebrajskie słowo „Ruah” ma wielorakie znaczenia: wiatr, dusza, intelekt, duch, żeby wspomnieć tylko o kilku. W tym opowiadaniu odnosi się ono także do ideologicznych przekonań starego człowieka.**

Tchnienie wiatru 63

Tytuł zapożyczony ze Starego Testamentu z Księgi Koheleta 11,5 (przypis wg przekł. angielskiego).

² Święto Niepodległości jest świętem ruchomym (zależnym od faz księżyca), przypada w kwietniu lub w maju piątego dnia miesiąca Ijar i upamiętnia rocznicę proklamowania niepodległości państwa Izrael w 1948 r. (przyp. tłum.).

'Ijar - miesiąc w kalendarzu hebrajskim, liczący 29 dni i przypadający na kwiecień-maj (przyp. tłum.).

'Poalej Syjon - dosł. robotnicy Syjonu, właśc. Żydowska Socjalno-Demokratyczna Partia Robotnicza „Robotnicy Syjonu” utworzona w 1905 r. w Królestwie Polskim; od 1918 działała na obszarze całego państwa pol., głównym celem programowym była budowa niepodległego państwa żydowskiego na zasadach socjalistycznych, z uwzględnieniem ortodoksji wiary (przyp. tłum.).

⁵ Josef Chaim Brenner (1881-1921) - żydowski pisarz i publicysta, tworzący w języku hebrajskim, pochodził z Ukrainy, w 1909 emigrował do Palestyny, przetłumaczył na język hebrajski „Zbrodnię i karę” Dostojewskiego. Zginął w czasie pogromu dokonanego przez Arabów.

'*Fait accompli* (franc.) - fakt dokonany.

Nim przyszedł jego czas

i

Byk byi mocny i gorący w noc swojej śmierci. Tej nocy zarżnięto byka Samsona. O świcie, koło piątej, tuż przed porannym udojem, przyjechał z Nazaretu handlarz mięsem i zabrał go szarą furgonetką. Porcje surowego mięsa zawisły na zardzewiałych hakach w sklepach rzeźniczych Nazaretu. Bicie kościelnych dzwonów pobudziło roje much, które ruszyły do ataku na mięso byka, z brzęczeniem dokonując zielonej zemsty.

Później, o ósmej rano, zjawił się stary Effendi z radiem tranzystorowym w ręku. Przybył, aby kupić skórę Samsona. I przez cały czas w zagłębieniu jego dłoni rozgłośnia RamaUah wygrywała amerykańską muzykę. Była to jakaś dzika melodia, jeden z tych nieznośnie ponurych kawałków jazzu. Zawodzącym tonom towarzyszyły dzwony kościelne. Kiedy utwór się skończył, dobito targu. Skóra byka została sprzedana. Cóż zamierzasz uczynić, o czcigodny Raszydzie Effendi, ze skórą potężnego byka Samsona? Zrobię z niej ozdoby, cenne przedmioty, pamiątki dla bogatych turystów i kolorowe obrazki, malowane na płatach skóry: oto uliczka, gdzie mieszkał Jezus, oto warsztat ciesielski, a w nim Józef, tutaj aniołki uderzają w dzwon, głosząc narodziny Zbawiciela, tam królowie przychodzą, by pokłonić się przed żłóbkiem, a tu Dzieciątko ze świetlistą

Nim przyszedł jego czas 65

aureolą nad czołem; wszystko na autentycznym pergaminie, na prawdziwej skórze byka; misterna ręczna robota ożywiona artystyczną wizją.

Potem Raszyd Effendi poszedł do kafejki Zaima, aby spędzić ranek przy stoliku do trik-traka. Z radiem wygrywającym wesołą muzyczkę w dłoni. Ze skórą martwego byka w torbie leżącej u jego stóp.

A wiatr w Nazarecie, ciężki od zapachów, targał dzwony i wierzchołki drzew i szarpał haki w sklepach rzeźni-czych, aż mięso byka wydawało szkarłatny jęk.

2

W pełni sił byk Samson napełniał dumą serce kibucowego pasterza, ten najlepszy byk w całej dolinie. Gdyby nie to, że jego potencja znikła, Josz nie przyszedłby nieoczekiwanie nocą, aby poderżnąć mu gardło.

Samson spał, stojąc ze zwieszoną głową. Para jego oddechu mieszała się z zapachem lepkiego, bydlęcego potu. Światło latarki kieszonkowej omiotło klatkę piersiową zwierzęcia i spoczęło na jego szyi. Byk nic nie przeczuwał.

Zatruta przynęta, pomyślał Josz. Z ciemności dobiegało wycie szakali. Późną jesienią zbłąkany szakal zakradł się do obory, wściekły czy oszalały z głodu, i ugryzł Samsona w nogę. Samson zabił go jednym kopnięciem, ale jad tego ukąszenia zniszczył potencję byka. Tak oto został przypieczętowany los najgroźniejszego byka w dolinie Jezreel.

Łagodnie, ze spokojem Josz uchwycił dłonią szczękę byka i uniół ciemny łeb. Byk oddychał głęboko. Jego oczy drgnęły, niemal zamrugwały. Josz przycisnął ostrze noża do gardła Samsona. Nozdrza byka rozdeły się gwałtownie, a przednia noga kopnęła kupę gnoju na klepisku. Nadal nie otwierał oczu. I nie otworzył ich jeszcze przez dłuższy czas - aż do chwili, kiedy ostrze przebiło mu skórę, ciało i żyłę szyjną.

Najpierw pojawiło się kilka drobnych, niepewnych kropli. Byk wydał stłumiony jęk niepokoju i zakołysał łbem, tak jak strząsa się natrętną muchę albo wyraża

66 Nim przyszedł jego czas

gwałtowny sprzeciw w jakiejś kwestii. Potem ukazał się słaby, cienki strumyczek, jak od zwykłego zadrapania.

- No, tak - odezwał się Josz. Samson machnął ogonem po ubłoconym zadzie i rozdrażniony wciągnął głęboko powietrze.

- No, dalej, jazda - rzekł Josz i wsadził rękę do kieszeni. Papieros, który pojawił się w jego ustach, był wilgotny i jakby przybrudzony. Co opętało Josza, żeby zgasić zapalną na czole umierającego byka? Płomień znikł i znowu zrobiło się ciemno. Byk zaczął jęczeć z bólu, ale zaraz umilkł, zrobił dwa niepewne kroki do tyłu, odwrócił głowę i spojrzał na mężczyznę.

Kiedy Samson podnosił swój wspaniały łeb, krew blu-znęła z rany i popłynęła czarnym strumieniem, pieniać się w świetle latarki. Josz poczuł niesmak i zniecierpliwienie.

- No, naprawdę - powiedział.

Widok tryskającej krwi podrażnił mu pęcherz. Coś powstrzymało go od oddania moczu w obecności konającego byka. Lecz jego cierpliwość sięgała kresu, palił nerwowo i gniewnie. Samson umierał bardzo powoli. Spływająca krew była ciepła i lepka. Byk osunął się na przednie nogi, potem nieśpiesznie się położył, pochylonymi rogami bodąc na oślep w daremnym poszukiwaniu ofiary.

Oczy byka umarły, ale skóra nadal drgała. Potem skóra znieruchomiała i tylko jedna przednia noga uderzała w słomę jak laska ślepego. Noga przestała się poruszać i wszystko ucichło. Ogon trzepnął raz i jeszcze raz, niczym dłoń w geście pożegnania. A kiedy cała krew wypłynęła. Samson zwinął się w kłębek, tak jakby pragnął umrzeć w pozycji płodowej.

- No, no - mruknął Josz.

Potem pasterz dopalił papierosa, opróżnił pęcherz, odwrócił się na pięcie i poszedł do małej kuchni, gdzie Ze-szka pełniła nocny dyżur. Zeszka, porzucona żona Dova Sirkina, dała Joszowi gliniany kubek ciepłego, słodkiego mleka. Była starą, pomarszczoną kobietą, z zapadniętymi jak u sowy oczami. Gliniany kubek był duży i ciężki. W ruchach Zeszki przebijała jakaś gniewna irytacja. Ciało miała skurczone i wyschnięte. Para unosiła się z kubka, a na powierzchni mleka pływał tłusty kożuch.

Nim przyszedł jego czas 67

3

Każdej nocy aż do brzasku Zeszka siedzi w ciasnej kuchence, gdzie przygotowuje się specjalne pożywienie dla niemowląt i chorych dzieci. Kanciastą twarz opiera na kolanach, które ściska ramionami jak zamknięty scyzoryk. Co godzina Zeszka narzuca długi, szorstki płaszcz i idzie na obchód żłobka. Tu naciągnie koc, tam zamknie okno, nie lubi ona jednak tego nowego pokolenia dzieci; ma poczucie, że teraz wszystko jest zbyt dobre; dzieci, rodzice, wszystko oprócz całkowitego spokoju.

Tymczasem siedzi na ławce, nie poruszając się, nie myśląc, jak gdyby na ziemi niczyjej, na granicach snu. Ale nie śpi. Gdy któreś dziecko zapłacze czy zakaszle w oddali, ona toruje sobie po omacku drogę, głaszcze je i uspokaja słowami:

- Pssst, no, już teraz dosyć. Albo:
- No, już dosyć. Spokojnie. A do siebie mówi:
- Niech i tak będzie.

Od owego dnia, dawno temu, w którym Dov Sirkin opuścił swoją rodzinę i swój kibuc, Zeszka stawała się coraz bardziej zgorzkniała. Żle mówiła o kibucu, a już szczególnie o niektórych osobach. Robimy, co możemy, żeby zachować cierpliwość. Kiedy jej starszy syn, Ehud, został zabity podczas krwawego wypadu odwetowego, trzeba jej było pilnować z obawy, że postrada zmysły. Przychodziliśmy wtedy kolejno siadywać z nią wieczorami. Wysłaliśmy ją nawet na kurs rękodzieła. A skoro przyszło jej do głowy bezczelnie zażądać, aby pozwolono jej pełnić regularne nocne dyżury przy jednoczesnym zwolnieniu z wszelkich innych obowiązków, nie domagaliśmy się przestrzegania naszych zasad, tylko powiedzieliśmy:

- A jakże! Proszę bardzo! To wyjątkowy przypadek, postanowiono więc spełnić twoje życzenie. Ale prosimy, pamiętaj... I tak dalej.

Gdyby Samson zdecydował się umrzeć z dzikim krzykiem, a nie z jękiem rezygnacji, Zeszka na pewno poki

68 Mm przyszedł jego czas

walaby głową, mówiąc: „W porządku” albo: „I na tym koniec”. Jednakże Samson postanowił umrzeć spokojnie i Josz wypił mleko, które dla niego przygotowała, po czym wyszedł bez słowa, nie przytoczywszy żadnej ze swych opowieści z dawnych czasów. Bywało, że zostawał dłużej i nawet opowiadał dowcipy. Tej nocy przyszedł, wypił mleko i zniknął w ciemności.

A później aż do białego rana słychać było już tylko szakale.

Wszystkie te wybuchy płaczu, te napady śmiechu... Niekiedy można było pomyśleć, że to jakieś dziecko pali się żywcem gdzieś w pobliżu. A znów innym razem brzmiało to zupełnie tak, jakby lubieżni mężczyźni, przylgnąwszy do rozpustnicy, popychali ją to w tę, to w tamtą stronę, drapiąc i lezcząc, aż zaczynała krzyczeć i śmiać się, a oni jej wtórowali. Wtedy Zeszka także się śmiała, mrużąc pod nosem:

- Tak jest, doskonale!

O piątej lub piątej piętnaście na długo przed ukazaniem się słońca, kiedy niebo blednie, a góry od wschodu spowija upiorna poświata Zeszka idzie spać do swojego pokoju. Po drodze zatrzymuje się przy kwaterach młodszych członków kibucu, puka głośno do drzwi Geuli i krzyczy:

- Czas wstawać. Już dobrze po piątej. Dzień dobry. Wstawaj!

Geula Sirkin, jedyne już żyjące dziecko Zeszki i Dova, budzi się pełna nienawiści i wstaje, żeby obmyć twarz pod kranem z zimną wodą. Potem biegnie do stołówki, a jeśli ktoś zawoła: „Jak się masz, Geulo”, ona czasem odpowie sennie, ze znużeniem: „Świetnie. W porządku”. Dotarłszy do kuchni, włącza duże dzbany elektryczne i szykuje kawę dla robotników. Paznokcie ma połamane, ręce szorstkie i pokaleczone, a wokół kącików ust rysują się bruzdy goryczy. Jej chude nogi są blade i porośnięte czarnym włosiem. To dlatego zawsze nosi spodnie, a nie spódnice czy sukienki. I chociaż dawno już skończyła dwadzieścia lat, na jej policzkach wciąż widnieją młodzieńcze pryszczki. Zazwyczaj też czytuje nowoczesną poezję.

Nim przyszedł jego czas 69

Kawa w wielkich dzbanach, myśli Geula, to obrzydliwe świństwo. Prawdziwą kawę robi się w specjalnym arabskim naczyniu. Ehud rzadko spędza! urlop w domu, ale każda jego wizyta wzbudzała zachwyty wśród niezamężnych dziewcząt. A zdarzało się, że również wśród mężatek. Kawę zaparzał niczym pradawny guślarz, który odprawia czary, wypowiadając szeptem magiczne zaklęcia, Niekiedy wybuchał nagłym śmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Co wy wiecie, cóż wy możecie wiedzieć o grozie ognia dział przeciw czołgowych skierowanych prosto w twarz?” Lecz był człowiekiem małomównym. Śmiał się więc tylko i pytał, po co wszyscy tak się przy nim gromadzą, zupełnie jakby nie mieli własnych domów, jakby nie mieli nic do roboty. A jego oczy były pełne śmierci na długo przedtem, zanim zginął. Nie opuścił kibucu, ale też w nim nie mieszkał; służbę wojskową przedłużano mu z roku na rok, on sam zaś stał się legendarną postacią tak w armii, jak i w przygranicznych osiedlach; miał dwadzieścia trzy lala, kiedy powierzono mu dowództwo batalionu. Włóczy! się po kraju w wystrzępionym mundurze i sandałach, z karabinem maszynowym, który zabrał zabitemu Syryjczykowi. Uczestniczy! we wszystkich wypadach odwetowych - nie opuści! ani jednego. Pewnego razu, mimo że poważnie chory na zapalenie płuc, poszedł i wysadził w powietrze posterunek policji w Bet Ajar. Kiedy indziej, podczas nocnej wyprawy w okolice Hebronu, sam jeden złapał Isę Tubasiego, zabójcę rodziny Ja-niw z moszawu¹ Bet Hadas. Wróciwszy z tej samotnej misji, powiedział swojej siostrze Geuli: „Zabiłem jego i sześciu innych. Musiałem”.

Gdy dzbany z kawą zaczynają parować, a Geula pali na czczo pierwszego papierosa, szakale z doliny rozbiegają się do swoich legowisk. Zapach krwi Samsona nappełnił ich noc niepokojem. Szakale z doliny to słabe stworzenia o zaślinionych pyskach i szalonych oczach. Ich łapy stąpają niepewnie, a ogony drgają. Co jakiś czas któryś z nich wpada w obłęd z głodu czy triumfu, a wtedy zakrada się do zagrody, gdzie szarpie i gryzie, póki nie zostanie zastrzelony przez strażnika. I tylko przejmujący skowyt jego towarzyszy ze stada przechodzi w szyderczy chichot.

70 Nim przyszedł jego czas

Niegdyś Dov Sirkin podkiadał szakalom zatrute przynęty, zastawiał też małe pułapki, które sam robił według własnego pomysłu. „Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”, mawiał. A potem Dov postanowił opuścić kibuc i swoją rodzinę i wyruszyć na wędrowkę po kraju. Powiedział do żony: „Mężczyzna powinien postarać się o to, aby ślady, które zostawia po sobie, miały znaczenie nawet po jego śmierci; w przeciwnym razie w ogóle nie warto się rodzić”.

Zgodnie z rozkazami naczelnego dowództwa naszym żołnierzom nie wolno się było wycofać z terytorium nieprzyjaciela, dopóki wszyscy ranni i zabici nie zostali uprzednio ewakuowani. Jak to się stało, że nie zabrano zwłok Ehuda? Dwie komisje śledcze przeprowadziły dochodzenie w tej hańbiącej sprawie, na koniec udzieliwszy nagany komu trzeba. Przez trzy noce Ehud leżał na ziemi niczyjej. Żołnierze nieprzyjacielscy próbowali zabrać ciało, chcąc zapewne wystawić je na widok publiczny w jednym ze swoich miast i w ten sposób złagodzić upokorzenie porażki w tej bitwie, jak zresztą i w wielu innych. Doprowadzeni do szału z gniewu i wstydu koledzy Ehuda starali się udaremnić zamiary przeciwnika za pomocą ciężkiego, nieprzerwanego ognia od strony naszej granicy. Siły wroga także trzymały zwłoki zabitego pod obstrzałem, nie pozwalając jego towarzyszom ich odzyskać. Noc po nocy przyjaciele Ehuda ryzykowali życie, czołgając się przez zapomniany przez Boga i ludzi teren, naszpikowany zaroślami i minami, ale za każdym razem zmuszani byli do odwrotu. Na domiar złego nieprzyjaciel zamontował silne reflektory, które rozpraszały ciemności. Dopiero czwartej nocy, i to za cenę sześciu ofiar, towarzyszom Ehuda udało się odnaleźć jego ciało - na przekór wszelkim niebezpieczeństwom, pomimo rozkazu, by zaniechać dalszych prób. Zanieśli go do obozu, a stamtąd do jego domu, i powiedzieli: „Ehudzie, nasz przyjacielu, ty byś nas nie opuścił nawet za cenę własnego życia, tak i my nie opuściliśmy ciebie. Spoczywaj w pokoju”.

Szakale jednak zdążyły poszarpać mu twarz i zdeformować piękny, mocny podbródek. Gdy Dov Sirkin pojawił się na pogrzebie syna, wyglądał na śmiertelnie chorego. Zeszka nie odezwała się do niego ani słowem, a i on

Nim przyszedł jego czas 71

też się do niej nie odezwał. Próbował rozmawiać z Geulą, ale ta milczała zawzięcie.

Czarna jak smoła, spieniona kawa bulgocze w parujących dzbanach. Niech zagotuje się siedem razy, decyduje Geula Sirkin, równo siedem razy. Wargi ma zaciśnięte. Zęby ma zaciśnięte. Usta jak zakrzywiony sztylet.

4

O szóstej rano od strony szopy na traktory rozlega się warkot silników: to robotnicy z kibucu wyruszają w doliny na pokryte rosą pola. O ósmej niebo jest już całkowicie rozświetlone, a jego kolor z błękitnego staje się brud-nobiały. Traktory, kanały nawadniające, narzędzia rolnicze, wszelkie metalowe przedmioty zaczynają parzyć. Wyciągasz rękę, żeby dotknąć coś czy wziąć, a odpowiedzią jest rozżarzona do białości nienawiść. Zardzewiałe zawory bulgoczą, wyrzucając z siebie odłamki żelaza.

Przed laty Dov Sirkin zarządzał wszystkimi sadami. Śpiewając ekstatycznie z radości, nagi do pasa, niczym nóż przecinał rzędy drzew, pędząc na koniec sadu, gdzie krzykiem upominał i ponaglał zbieraczy, po czym zaraz zniknął, by równie niespodziewanie wyskoczyć po drugiej stronie. Miał potężne ramiona, a klatkę piersiową i tors jak niedźwiedź: ciemne i twarde.

W letnie wieczory wędrował po sadach, niosąc na ramionach jasnowłosego chłopczyka o smukłych, delikatnych kończynach i ładnych, dziewczęcych rysach twarzy. Dov przyzwyczał synka, by podrzucony bez ostrzeżenia, wlatywał w górę aż po wierzchołki drzew, a następnie opadał w mocne ramiona swego ojca, nawet nie pisnąwszy ze strachu.

„Mężczyzna musi być silny i pewny siebie”, mawiał, chociaż wiedział, że słowa te nie są jeszcze dla chłopca zrozumiałe. „Zabicie niewinnej ofiary jest najbardziej odrażającą zbrodnią w świecie. Ale jeszcze gorzej, kiedy to ty stajesz się tą niewinną ofiarą. Z ciebie, Ehudzie, wyrośnie bardzo silny mężczyzna. Tak silny, że nikt nie odważy się pierwszy wyzwać cię do walki ani skrzywdzić, dzięki czemu ty też nie będziesz musiał ranić innych.

72 Nim przyszedł jego czas

A teraz robi się ciemno i pójdziemy do domu. Nie, nie razem. Ty idź sam przez wadi, ja wrócę inną drogą. Musisz się nauczyć, że nie wolno ci się obawiać ciemności. Tak, idąc przez wadi, spotkasz różne stworzenia, ale to one będą się ciebie bać; pod warunkiem, że ty nie okażesz im swego lęku. No, ruszaj".

Sad składa się z sektorów, każdą odmianę oddziela od następnej porządna bruzda. Jabłka Aleksandra Wielkiego, duże i bez aromatu. Jabłka Galii. Soczyste Złote Delicje. A dalej drzewa brzoskwińowe, których omszałe owoce pachną upajająco. I ciemne śliwki, i budząca melancholię guavy, a potem znowu kolejny sektor jabłoni z gatunku o nazwie Niezrównane. To właśnie Dov Sirkin wytyczał ongiś działki i sadił młode drzewka. Ten sad nigdy by nie powstał, gdyby nie Dov Sirkin i jego upór. Klócił się, wygrażał i siłą zmuszał założycieli kibucu, żeby akceptowali jego plany. W dwóch wypadkach popełnił błąd, a wtedy oni mu dowodzili, że jest szalony i że powinien zrezygnować, on zaś dwukrotnie karczował i sadił od nowa. Dwadzieścia lat upłynęło, odkąd porzucił swoje sady, rodzinę i kibuc i wyruszył na włóczęgę po kraju. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby pozostawić jakiś list.

Pokolenia szakali przeminęły od tego czasu, ale młode idą w ślady swoich ojców i nic się nie zmienia. Każdej nocy kolejne pokolenie napełnia rozległą, szarą przestrzeń odgłosami lamentu i triumfu, krzykiem pogardy, złości i rozpacz.

Po odejściu Dova Sirkina kibuc zawrzał głośnym oburzeniem: w tamtych czasach ten, kto opuszczał kibuc, był zazwyczaj człowiekiem słabego charakteru, nie zaś jego główną podporą. A jeśli na opuszczenie kibucu decydował się któryś z takich właśnie jak Dov filarów, to najpierw zwracał się do zgromadzenia, walił pięścią w stół i mówił prawdę prosto w oczy, ujawniając bezwzględnie i dobitnie całe zepsucie moralne, jakie kryło się za fasadą, po czym siadał i wysłuchiwał przemówień, w których bezwzględnie i dobitnie wyrażano wszystko, co sądzono o nim i jego motywach. Lecz Dov wymknął się bez żadnej dyskusji, bez oskarżeń czy wyjaśnień: zniknął pewnego dnia o świcie i nie wrócił ani wieczorem, ani nazajutrz. Odszedł.

Nim przyszedł jego czas 73

Z czasem nasz gniew ucichł. Pozostało zdumienie. Pozostało wzruszenie ramionami: odszedł, niech więc sobie idzie. Zналиśmy go nie od dziś. To było do przewidzenia.

A kiedy na dodatek rozeszła się plotka na temat jakiejś dziewczyny z Meksyku, ponoć wędrowniej artystki, wszystko stało się jasne. Kibuc przejął na siebie odpowiedzialność za Zeszkę i jej dzieci. Ehud już jako czternastoletni chłopak samodzielnie skonstruował obrotowy bęben do dojenia krów, dzięki któremu udało się unowocześnić nasze mleczarstwo. Ukończywszy szesnaście lat, porzucił szkołę i zaczął chodzić na wyprawy w góry. Już chyba w owym czasie potrafił przemykać się przez linię frontu i powracać stamtąd bez zdrażenia. Kochał się za stodołą z dziewczętami z oddziałów szkoleniowych, starszymi od siebie o cztery, pięć lat. Po wstąpieniu do wojska trochę się ustatkował. Mając dwadzieścia trzy lata, został majorem, a jego imię znane już było w całym kraju. Tylko Geula sprawiała nam kłopoty. Nie licząc Zeszki.

Dov pojechał najpierw do Hajfy, gdzie pracował w dokach portowych, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy; opuszczając kibuc, miał sześćdziesiąt dwa piastry w kieszeni. Z Hajfy przeniósł się do kopalni minerałów w No-womiejsku u wybrzeży Morza Martwego. Podróżował po całym Izraelu, był też podobno za granicą, aż w końcu wszelki ślad po nim zaginął. W ostatnich latach - a wiemy to z wiarygodnego źródła - Dov Sirkin osiadł w Jerozolimie i został nauczycielem geografii w niższych klasach szkoły średniej. Pierwszy atak serca zmusił go do zwolnienia tempa. Po drugim zrezygnował z pracy i pozostał w domu. Jego twarz poszarzała.

5

Dov Sirkin był u siebie. W środku nocy. Siedział na krześle nieruchomy i wyprostowany, nie mrugając ani nie ziewając. Szkicował mocnymi pociągnięciami.

Druga w nocy. Żółte światło nagiej żarówki jarzyło się nad jego głową. Kawałek gipsu oderwał się od sufitu i spadł na stare drewniane krzesło. Pokój Dova był starannie posprzątany. Każdy przedmiot leżał dokładnie tam,

74 *Nim przyszedł jego czas*

gdzie Dov zdecydował się go umieścić dwa lata przed Deklaracją Niepodległości². Pomimo pedantycznego porządku wewnątrz sprawiało wrażenie, jakby wypełniała je rażąco nieharmonijna zbieranina mebli. W kombinacji niedopasowanych elementów panował chaos: było skrajne niedopasowanie między lekkimi, przezroczystymi firankami a antyczną komodą, pomiędzy owalnym stołem z czasów jerozolimskiej arystokracji sefardyjskiej³ a ciemną szafą

O nogach rzeźbionych na kształt dziwacznych, prehistorycznych stworzeń. Łóżko pokrywała jaskrawa kapa z cienkiego jedwabiu, w czerwone i niebieskie kwiaty. Nad owym chaosem wisiał ciężki kandelabr. Z kąta pokoju wielka donica wysuwała na wszystkie strony pokręcone węże kaktusa, a pośrodku, przy ozdobnym biurku ze złotymi i srebrnymi okuciami, siedział Dov Sirkin i szkicował.

Skończywszy kreślenie cyrkiem, sięgnął po linijkę. Następnie odłożył linijkę z powrotem na swoje miejsce

I zaczął ostrzyć ołówek. Za mocno przyciskał i dwa razy ułamał czubek. Dov uznał, że konieczny jest jakiś kompromis. Ze stosu kolorowych kredek wybrał czerwoną i czarną.

Przed laty Dov był robotnikiem portowym w Hajfie, potem brygadzystą w fabryce, żołnierzem Beduińskiej Kawalerii Królewskiej⁴, handlarzem broni w Ameryce Południowej z polecenia izraelskiego podziemia, oficerem sztabu podczas Wojny o Niepodległość, konsultantem do spraw rozwoju w rejonie Negewu, a w końcu nauczycielem geografii, która wówczas wciąż jeszcze oznaczała dosłownie rysowanie Ziemi.

Siedział pochylony, ze spuszczoną głową. Twarz wyrażała chłód, jak gdyby była oszczędnie wykonanym dziełem, w którym każdy detal zdradza zamysł. Z jego rysów przebijała wstrzemięźliwość, czysta, skoncentrowana wstrzemięźliwość, bez cienia skąpstwa czy radości. Jedynie brwi zarysowane były na wielką skalę, jakby naigrawały się z kwadratowego czoła, z którego bruzd wyrastały. Kredka zaskrzypiała na kartce wyrwanej z zeszytu do matematyki.

I tylko ta cisza, cisza wyludnionego przedmieścia Jerozolimy o jałowej godzinie przedświt, cisza, co snuła się

Nim przyszedł jego czas 75

po ulicach i obrywała igły z wierzchołków sosen w ogrodach. Zerwane igły szeleściły lekko, wydając odgłos, który przenikał przez szczelnie zaciągnięte żaluzje, który przenikał do szpiku kości. W ciemnościach na balkonowych poręczach koty jeżyły sierść ze strachu. Dov odwrócił głowę, żeby spojrzeć na drzwi.

W porządku. Zamknięte. Zamknięte na klucz.

Gdzieś w oddali szczeknął krótko szakał, tak jak pierwszy skrzypek w orkiestrze, który podaje ton muzykom strojącym swoje instrumenty. Wiele lat upłynęło od jednej jedynej wizyty Ehuda w tym mieszkaniu: właśnie odbywał się w Jerozolimie jakiś kongres młodzieży, a może obóz dla miłośników archeologii, i młody człowiek sam zdobył adres, przyjechał i został przez dwa dni. To znaczy, najpierw zjawiał się po północy z jakąś dziewczyną i uśmiechając się blado, powiedział ojcu, że jutro wszystko mu wytłumaczy; po czym oboje natychmiast zasnęli w ubraniach. Kiedy nazajutrz rano Dov obudził się koło szóstej, już ich nie było, leżała tylko kartka: *Wielkie dzięki. Do zobaczenia. PS: Wszystko w porządku.* Następnej nocy przyjechał z dwiema dziewczynami. Miał też przy sobie kilka kawałków starej ceramiki. Do trzeciej nad ranem naprawiał w łazience ciekącą rurę od ciepłej wody, a potem dołączył do dziewcząt, które spały w śpiworach na balkonie. O świcie odjechał, a jedynym śladem, jaki pozostawił, była naprawiona rura.

Cztery lata później spotkali się przelotnie w Beer-Sze-wa i Ehad niemal obiecał znowu go odwiedzić. „Którejś nocy latem” - powiedział. „Teraz zabieram tych biednych oberwańców na przeszkolenie na wzgórzach Adullam, muszę przerobić podwórzowe koty na tygrysy. Na pewno będziesz zaskoczony, jeśli kiedyś pojawię się w środku nocy, żeby pogadać i wziąć prysznic”. Dov nie uwierzył! w tę obietnicę i nie oczekiwał, że letnią nocą usłyszy kroki. Pod koniec tamtego lata Dov Sirkin otrzymał list z kondolencjami od dowódcy oddziału spadochronowego, w którym pośród innych zwrotów pochwalnych znalazły się słowa: „Szczęsny ów ojciec, który...” Potrząsnął głową, usiłując odpędzić natrętne myśli i skoncentrować się na swoim rysunku. Był zmęczony, ale zarazem przyzwyczajono

76 *Nim przyszedł jego czas*

ny do samodyscypliny. Dzwony kościołów za murami Starego Miasta, za granicą jordańską, zaczęły rozmawiać z kościołami w Betlejem, także po tamtej stronie linii zawieszenia broni. Dzwony Betlejem wydzwaniały w odpowiedzi: „Tak, tutaj, tak, tutaj On się narodził”. Dzwony zaś ze wschodniej Jerozolimy śpiewały: „A tutaj umarł On i tutaj powstał z martwych”.

6

Dov odłożył obie kredki, czarną i czerwoną. Za pomocą cyrkla wytyczył staranne półkole. Następnie wziął niebieską kredkę i przez blisko kwadrans bez przerwy rysował.

Na kartce papieru nabierał kształtów gigantyczny port. Błękitne wody przepływały od jego szarych oczu do dłoni i dalej wzdłuż palców do kredki, która połykała krateczki na papierze, aż niemal cała strona pokryła się błękitem. Falochrony portu Dova były szersze od najszerszych falochronów, keje dłuższe niż jakiegokolwiek nabrzeża zbudowane ludzką ręką, dźwigi potężniejsze od największych dźwigów na świecie. Magazyny zaś tak wysokie jak cisza, która wpychała swoje ciemne palce przez szpary żaluzji w oknach Dova Sirkina. Kompleks szos, połączeń drogowych, mostów, tuneli i tras dojazdowych wil się jak kłębowisko węży. Żółte maszyny wypluwały gigantyczne snopy iskier. Stalowe platformy i gumowe pasy transmisyjne umożliwiały rozładowanie całych gór towarów z olbrzymich statków. A wszystko narysowane było z precyzyjnym zachowaniem perspektywy architektonicznej, w odpowiedniej skali; obłąkańczy ogień uwieczniony w bursztynowych kryształach matematyki. I gdyby tak największy statek świata pokusił się o rzucenie kotwicy pośród nabrzeży Dova w jego porcie jerozolimskiej nocy, wyglądałby jak żuk wspinający się na kiel słońca.

Niebieska kredka zabarwiła całą zatokę, a potem delikatnie rozproszyla wodę po sieci kanałów. Na klatce schodowej rozległy się jakieś kroki. Ktoś ciężko oparł się o balustradę. Skrzypnięcie. I cisza.

Dov zerwał się z krzesła, podbiegł do okna i sprawdził rygle w żaluzjach. Były zamknięte. W szparach ukazała się

Nim przyszedł jego czas 77

pusta ulica. Kładły się na niej promienie samotnej gwiazdy, przechodząc z krawędzi dachów ku balustradom balkonów, od pojemników na śmieci po korony cyprysów, od Miejskiego Biura Informacji do budki telefonicznej, ze szczytu kamiennych stopni po pęknięcia w chodniku. Niema skorupa pokrywała ziemię. Opadały błękitne mgły. Albo rosa.

Kolejny kawałek tynku oderwał się od sufitu, większy niż poprzedni. Drobne płatki wapna, rozsypane na narzucie, wyglądały jak bielizna rozwiązłej kobiety. Kroki na schodach ucichły. Może nieznajomy zszedł teraz na parter. Panowała cisza, żadnego odgłosu przekręcania klucza w zamku czy dzwonka do drzwi. Zapewne stoi bez ruchu, przyglądając się odrapanym drzwiom, a może śledząc nazwiska mieszkańców na skrzynkach na listy. Dov zacisnął zęby. Jego szczęki zwały się jak pięść. Wstał, schował swój plan jerozolimskiego portu do szuflady w antycznej komodzie i wrócił do biurka, Wyrwał świeży arkusz papieru milimetrowego, usiadł i zaczął rysować mapę górzystej krainy.

7

Był cały szary: szare oczy, twarz i włosy. Tylko koszule nosił najchętniej błękitne, z gatunku popularnego wśród młodych sportowców, i sandały w stylu biblijnym. Pod koszulą skrywał się mocny, muskularny i owłosiony tors. Na pierwszy rzut oka dzięki swej posturze robotnika portowego Dov sprawiał wciąż wrażenie człowieka w świetnej formie. Jedyne serce mu dokuczało, ale tego nie było widać. Jesienią miał skończyć sześćdziesiąt lat.

Szkicował mapę górzystej krainy. Zielony wóz patrolowy policji przemknął w dół ulicy, rozdzierając ciszę, która jednak natychmiast powróciła i zeszyła rozdarcie chłodną, powolną ręką. Samochód odjechał na południe, ku stromym uliczkom w pobliżu stacji kolejowej. Linia de-markacyjna okalała wielką Jerozolimę z trzech stron. Na północ i na wschód od tej linii rodziła się odmienna Jerozolima. Na południu leżało Betlejem, a jeszcze dalej wznosiły się zapomniane przez Boga wzgórza Hebronu, u ich stóp zaś trwała, na wieki, pustynia.

S. Tam, gdzie wyją

78 Nim przyszedł jego czas

Dov rysował krainę czarnych, bazaltowych gór. Góry zwieńczył ośnieżonymi szczytami, dość wysokimi, aby mogły przebić haftowaną gwiazdami, jedwabną kopułę. Rysował skalne potwory i ostre sztylety kamieni, wierzchołki jak wzniesione nagie miecze i dzikie jary, przecinające spiętrzone łańcuchy górskie. Tu i ówdzie widniały złowrogie nawisy, w każdej chwili grożące zasypaniem przepaści niekończącymi się kaskadami roztrzaskanych skał. Kaniony i wąwozy wycięte w otchłani szaleństwa. Przyczajone labirynty i wulkaniczne grotty, groźna zapowiedź jakiejś odmiennej ciszy.

W końcu przestał rysować i spojrzał na kartkę. Jego szczęki były szare. Wziąwszy ze stołu czerwoną kredkę, zabrał się za wpisywanie wysokości swoich gór. Ich podnóża mogłyby sztydzić ze szczytów Alp.

8

Nękany głodem i zimnem, a może żalem, jeden z betlejemskich szakali zaczął gorzko zawodzić. Zanosząc się przewrotnym, złośliwym śmiechem, odpowiedziały mu stada szakali z wyżyn Bet Zafafa, z Zur Bahar, ze wzgórza Mar Elias. Wiatr ucichł, jakby nasłuchując z wyteżoną uwagą.

Schody znowu zaskrzypiały. Dov poczuł dreszcz w całym ciele. Palce mu pobielewały. Nieznajomy wspiał się ciężko na kolejny stopień, potem na następny i jeszcze na następny, zakaszłał, wreszcie przystanął. A bezruch śmierci ponownie ogarnął dom, ulicę i miasto. Tym razem Dov pobiegł do kuchni. Zamknąć okno. Sprawdzić żaluzje. Nie gasić światła.

Jeszcze do niedawna uczył geografii w młodszych klasach państwowego liceum. W ciągu tego czasu setki uczniów przeszły przez jego ręce. Młodzi szanowali jego szarość, byli posłuszni jego szaremu głosowi. Krążyły wśród nich przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści na temat starzejącego się już nauczyciela, który był niegdyś czołową postacią w podziemiu i jednym z założycieli ruchu kibucowego. Kiedy ścisnął kredkę, jego palce wydawały się silne i stanowcze. Potrafił jednym mocnym pociągnięciem ręki narysować linię, cienką i tak

Nim przyszedł jego czas 79

prostą, że nie można by jej poprawić przy pomocy żadnej linijki na świecie. Czasami próbował zabawiać swoją klasę: jego dowcipy były kiepskie, nijakie. A znów kiedy indziej w jego zachowaniu pojawiał się nieoczekiwane swego rodzaju powściągliwy patos i oczy błyskały mu ożywieniem. Uczniowie odbierali to jako gniew; ów przebłysk gasł i znikał równie nagle, jak się pojawiał.

Kilka razy do roku wkładał ubranie khaki, brał plik map i sztywny wojskowy plecak, który niezmiennie wzbudzał zawiść w sercach jego uczniów, i prowadził szkolną gromadę na pieszą wędrowkę. W swoim wycieczkowym stroju przedstawiał dziwną i prawie ekscentryczną postać: zniszczony skafander z mnóstwem kieszeni i sprzączek, wysokie buty i staroświecki pistolet maszynowy, zwany przez niego tomiganem⁵. Z uczniami klas średnich wspinał się najczęściej na szczyty wzgórz Naftali, natomiast starszych licealistów prowadził zazwyczaj przez Mały Krater ku Ścieżce Skorpiona i dalej, do Meszaru.

Pewnego razu podczas jednej z tych wypraw grupa Dova została zatrzymana w Beer-Szewa. Przedstawiciel władz wojskowych nakazał im zmienić trasę i nie przechodzić przez pustynię Paran. Ze względów bezpieczeństwa. W szerokim rozumieniu tego słowa; bez wnikania w szczegóły. Oficer był szczupły i wysoki, z kręconymi włosami, bosi i małowówny, a mundur miał szokująco niedbały. Cztery lata minęły, odkąd Dov widział go po raz ostatni. Cztery lata od czasu, kiedy to młody człowiek przyjechał do Jerozolimy na jakiś kongres i dwie noce spędził w mieszkaniu Dova. Pierwszej nocy pojawił się z dziewczyną i nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją swemu ojcu przedstawić; następnej nocy były z nim dwie dziewczyny. Dov pamięta! ich urodę, miękkość głosu, stłumiony śmiech dochodzący ze śpiworów nad ranem. Teraz nie wiedział, jakich słów mógłby użyć, ani nawet czy właściwe słowa w ogóle istnieją. Jego uczniowie zgromadzili się wokół niego i szczupłego oficera, a tymczasem on nie miał nic do powiedzenia.

- W każdym razie - odezwał się Ehud, cedząc słowa, tak jakby był zbyt odrętwiały, żeby poruszyć ustami

80 *Nim przyszedł jego czas*

i przemówić bardziej zrozumiale - w każdym razie, jeśli

0 mnie chodzi, to najlepiej by było, żebyście zawrócili.

I tak mamy dość kłopotów. Nie trzeba nam tutaj dzieciaków szkolnych ani ich nauczycieli. Ale biorąc pod uwagę fakt, że dotarliście już tak daleko, możecie równie dobrze przejść jeszcze kawałek. Idźcie prosto do Ej-latu, zaśpiewajcie tam sobie to wasze *Hej, ho, na południe!*, a potem wracajcie do domu. A nie traćcie czasu po drodze!

Nauczyciel przygarbił się. Był wyższy i mocniej zbudowany od aroganckiego oficera. Podczas Wojny o Niepodległość służył jako oficer sztabu na obszarze Negewu w randze podpułkownika. Lecz w owej chwili nie mógł rozmawiać o tych sprawach ani ze swoimi uczniami, ani z tym sennym młodzieńcem, który stał przed nim, żując coś, może gumę, a może własny policzek.

- Wiem - mruknął - nie musisz mi mówić. Wiem. - Słońce Beer-Szewy wyciskało mu pot wszystkimi porami ciała. - Znam ten teren o wiele lepiej niż ty. Walczyłem tutaj, w Negewie, kiedy ty sięgałeś mi ledwie do pasa.

- W porządku - odpowiedział oficer o kręconych włosach. - Świetnie, w porządku, tylko nie zacznij mi teraz snuć swoich wspomnień. Jeśli znasz teren, możesz przestać marnować mój czas. Mam i bez tego zbyt wielu natrętnych turystów. Do widzenia.

- Chwileczkę - zaczął Dov z gniewem - jedną chwileczkę, bardzo proszę. Słuchaj no, za moich czasów oczyszczono by okolicę z terrorystów w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ludzie, co się z wami dzieje? Pozwalacie prowokatorom włóczyć się po Negewie, jakby to był bazar w Bagdadzie. Nie masz powodu, żeby być takim arogantem. Może byś tak zrobił coś, zamiast uganiać się za dziewczętami?

Uczniowie stali w osłupieniu. Nawet Ehud zaniemówił. Odwrócił się. Cień uśmiechu przemknął mu po wargach i zaraz zniknął.

- Słucham?

- To tylko... miałem na myśli, że moglibyśmy o tym porozmawiać, sami w cztery oczy. Nie teraz. Może wpadłbyś kiedyś do mnie? Właściwie czemu nie?

Nim przyszedł jego czas 81

- Rzeczywiście, dlaczego by nie? Którejś nocy latem-odpowiedział. - Teraz zabieram tych moich biednych obrwańców na krótkie przeszkolenie na wzgórzach Adul-lam. Trzeba przerobić podwórzowe koty na tygrysy. Pewnie byłby to prawdziwy szok dla ciebie, gdybym zjawił się kiedyś w środku nocy, żeby wziąć prysznic i przespać się parę godzin, co?

Później, kiedy lato minęło, życzeniu Dova stało się zadość i mógł zobaczyć po raz ostatni smukłego oficera

0 bujnej czuprynie. Zaszła w nim jednak pewna zmiana. Duma zniknęła z obojętnych warg. Połowę twarzy wyzarły mu nocne drapieżniki.

Podczas każdej takiej wycieczki Dov Sirkin podnosił głos - tylko nieznacznie jednak - i płynnie wygłaszał krótki wykład na temat uprawy tarasowej w Galilei albo eksportu minerałów i towarów do Afryki i Azji przez cieśniny Morza Czerwonego. Wzrok miał ostry jak igła cyrkla. Niekiedy zatrzymywał raptownie zmęczoną, znudzoną grupę i wskazując na nieme ruiny, opowiadał jakąś historię. Albo pokazywał piechurom niepozorny kopiec

1 mówił: „Kryje się tutaj pewna tajemnica”. Zdarzało się, że na pustyni wypatrzył szkielet wielbłąda, hieny lub szakala. Albo źródło, którego niedoświadczony podróżnik w żaden sposób by nie znalazł, nawet gdyby umierał z pragnienia dwadzieścia kroków od niego.

Po powrocie z tych wypraw Dov Sirkin miał zwyczaj prosić nauczyciela języka hebrajskiego, aby mu wypożyczył zeszyty, w których uczniowie opisywali swoje wrażenia - tysiąc wersji tysiąca najdrobniejszych szczegółów. Nawet w najbardziej banalnym sprawozdaniu Dov znajdował coś interesującego. Niekiedy zadawał sobie trud przepisania pewnych fragmentów wypracowań do własnego dziennika, zanim nie zwrócił zeszytów nauczycielowi hebrajskiego i zanim nie schował swojego dziennika do dolnej szuflady brunatnej komody w stylu berlińskim.

Geula przyjeżdżała zazwyczaj raz do roku, w przeddzień Święta Niepodległości. Po uroczystościach zawsze wracała do kibucu. Przez całą noc i następny ranek siedziała samotnie na balkoniku Dova, z drżącymi ustami

82 *Nim przyszedł jego czas*

przyglądając się sztucznym ogniom, które wybuchały na niebie nad Jerozolimą i na niebie ponad górami i pustynią, słuchając przemówień wykrzykiwanych przez głośniki daleko na głównych arteriach miasta, paląc jednego papierosa za drugim i obserwując młodych ludzi, jak śpiewali okolicznościowe pieśni. Nazywała ojca po imieniu, Dov. Nigdy nie mówiła mu o sobie ani o matce i bracie. Czasem tylko wszczyniała dyskusję na temat Ben Gu-riona czy polityki umiarkowania i powściągliwości, stanowiącej przeciwieństwo polityki zemsty i doraźnego odwetu. Altermann był według niej bardzo polskim poetą, niepoprawnie zafascynowanym narzędziami władzy, zakochanym w śmierci. Dov starał się usilnie wciągnąć ją do rozmowy, zrozumieć, wywrzeć wpływ, ale Geula prosiła, by jej nie przeszkadzał; chciała słuchać muzyki tanecznej, dochodzącej z placu Terra Sancta, i wyobrażać sobie daleką zabawę. Podczas pogrzebu Dov powiedział jej: „Musisz, musisz mi uwierzyć, kiedy mówię, że nie miałem pojęcia. Bo i skąd miałbym wiedzieć?”

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i odeszła. Oczy jej były suche. Zęby zaciśnięte. A usta jak zakrzywiona arabska szabla.

Po tym wydarzeniu Geula przestała odwiedzać Dova i już nigdy więcej nie zjawiała się w jego mieszkaniu w Jerozolimie.

9

Dov skończył swój szkic górzystego kraju i zaczął rysować rwącą rzekę, niepodobną do żadnej innej rzeki na powierzchni ziemi. Wyciął olbrzymi kanał, dodał sieć dorzeczy, sporządził skomplikowaną płataninę pochyłości, zboczy, grobli, zbiorników i jezior, dołączył wymiary. Opracował także zawiły schemat obliczania kątów nachylenia, wytrzymałości nawierzchni dróg, ciśnienia wody w stosunku do odporności grobli, nośności skał, stabilności dna jeziora, ciśnienia prądów i wiatrów, akumulacji zwietrzałego piasku. Jakąś godzinę wcześniej odgłos kroków na klatce schodowej ucichł. Teraz znowu powrócił. Ktoś wchodził po schodach, powoli, bardzo ociężale, opierając

Nim przyszedł jego czas 83

się o trzeszczącą, starą poręcz. Zawai serca przyszedł pod koniec roku szkolnego. Między pierwszym a drugim atakiem ciągnęły się długie miesiące krańcowo złego samopoczucia i okropnych koszmarów nocnych; był sam na pustyni, sam na tratwie pośrodku oceanu, sam w samolocie, nie mając zupełnie pojęcia o tym, jak obsługiwać stery, jak lądować albo jak uniknąć zderzenia z górami, które z każdą sekundą coraz bardziej się zbliżały. Dov uznał, że musi zrezygnować. Przestał uczyć i odciął się od świata w swoim pokoju. Nikt nie ingerował w utarty rytm jego dnia i nocy; lekkie posiłki, powolny spacer w zamyśleniu, wieczorna gazeta, muzyka, praca przy biurku aż do świtu, poranny sen, a w południe jogurt, chleb i filiżanka herbaty z cytryną.

Żył z emerytury. Oprócz tego robił niekiedy zdjęcia pejzaży, oryginalne i chyba dość artystyczne, które wysyłał do jednego z tygodników. Niestety, fotografie te niemal zawsze drukowano na marnym papierze u dołu szesnastej strony, pomiędzy przepisami kulinarnymi i rozwiązaniem krzyżówki. Ich piękna można się było jedynie domyślać z przybrudzonej plamy i podpisu w rodzaju: *Klasztor w miasteczku Ein-Kerem wieczorem, fot. D. Sirkin.*

Wszystkie te reprodukcje trafiały ostatecznie do starego, solidnego albumu Zeszki. Tydzień po tygodniu jedną po drugiej wycinała z czasopism niewyraźne ilustracje i przyklejała gęstym klejem domowej roboty do czarnych stron swojego albumu. Podczas tego zajęcia wzrok jej błyszczał jakimś dziwnym zachwytem. Wokół zapadniętych oczodołów zbiegały się zmarszczki zimnej przebiegłości. Za jej plecami nazywamy Zeszke niezbyt życzliwie: „Sowa”.

Codziennie rano, po ukończeniu całonocnej pracy a przed pójściem do łóżka, Dov Sirkin stawał w oknie i spoglądał na wschód, obserwując, jak słońce wynurza się spoza gór Moab i rzuca białe ognie na powierzchnię Morza Martwego, jak wbija swe promienie niczym włócznie w stoki nagich gór, powalając bez litości ściany cienistych klasztorów, obarczonych dzwonami. Zaczynał się dzień.

W południe, po przebudzeniu i posiłku złożonym z herbaty, chleba, jogurtu i oliwek, siadywał na swym balkoni

84 Nim przyszedł jego czas

ku pośród kaktusów i uschniętych roślin doniczkowych, wpatrzony w ulicę. Ulica była kręta, domy w ogródkach miały kamienne ściany i zardzewiałe żelazne kraty w każdym oknie. Wzdłuż chodnika stały długie szeregi pojemników na śmieci. Pod wieczór Dov wychodził na spacer i podczas tych wędrówek niekiedy fotografował jakiś zaskakujący widok. Czar nadchodzącej nocy, krzyki dzieci w oddali, brzęczenie radia w sąsiednim domu, wszystko to budowało w nim uczucie spokoju. Na kolacje, na które chodził do małej spółdzielczej knajpki, zamawiał zawsze to samo: sałatkę z bakłażanów, jajko smażone z piklami, jogurt, a do tego kawę z mlekiem.

Nocami szkicował. We wszystkich szufladach jego kredensu leżały rysunki i fotografie, modele z gipsu, szczegółowe arytmetyczne obliczenia, dotyczące właściwości surowców, kosztów rozbudowy, technik budowlanych, sprzętu, siły roboczej, synchronizacji harmonogramów projektów konstrukcyjnych i komunikacyjnych, zintegrowanych systemów, zasad geometrycznych i architektonicznych, wyrażanych liczbowo i na wykresach. Były tam również rozkłady jazdy pociągów szybszych niż najszybsze pociągi na świecie, kręte tory kolejowe zanurzające się w gigantycznych tunelach, wyciętych w podłożu skalnym urojonych łądów. Aleje o tysiącach fontann, skąpane w olśniewającym blasku, skrzyżowania dróg w miastach marzeń, których nigdy nie było i które nigdy nie miały powstać. Wspaniałe wieże niebotycznych miast, wznoszące się ponad zarys górskich szczytów i spoglądające w dół, na morskie zatoki, gdzie błękitne grzywacze rozbijały się o próg milczenia.

10

O czwartej nad ranem wiatr wyruszył na przechadzkę po ulicach. Zerwawszy pokrywę z zardzewiałego śmietnika, zaczął ją podrzucać na asfaltowej jezdni i kamiennych stopniach.

Lekkie, energiczne kroki zbliżyły się do drzwi mieszkania. Przez dwie godziny nieznajomy krążył pomiędzy parterem a mieszkaniem Dova. Teraz nagle zaczął się

Nim przyszedł jego czas 85

śpieszyć. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nie miał czasu do stracenia. O co chodzi, pali się czy co, gderał Dov.

Wstał zgarbiony i potykając się, ruszył ku drzwiom.

Kiedyś w pokoiku na skraju kibucu Dov zamyka! szczelnie okiennice, a potem okno, i zaciąga! firanki, zatraskując ciszę wewnątrz pokoju, a noc z jej ciemnością pozostawiając na zewnątrz. Siadał na dywanie i budowa! dla swoich dzieci wieżę z klocków: wznosi! ją coraz wyżej i wyżej, śmiejąc się, dowcipkując, kiadąc klocek na klocek, aż sięgała mu do pasa, aż sięgała mu do ramion, a rozchichotane dzieci przyglądały się z niedowierzaniem, bez tchu, pełne oczekiwania, że w końcu, jak zawsze, lawina runie. Z kanapy dochodziło postukiwanie drutów Zeszki, spokojnie dokonujących swego dzieła. W pokoju unosił się aromat kawy i zapach czyściutko umytych dzieci. Z zewnątrz, spoza ścian, okiennic i firanek, dobiegała płaczliwa skarga szakali. Geula śmiała się i Ehud się śmiał, i Dov także uśmiechał się spokojnie sam do siebie, jakby chcia! powiedzieć: „Dobrze”.

Szakale to żałosne stworzenia, ślina im kapie, a we wzroku czai się szaleństwo. Ich kroki są ciche, ogony drgają. Oczy strzelają iskrami przebiegłości czy może rozpaczy, uszy sterczą. W otwartych pyskach połyskują białe zęby, piana cieknie im po szczękach.

Podniecone, skradają się ostrożnie. Nozdrza mają miękkie i wilgotne. Żaden z nich nie ośmielił się podejść do świateł umocowanych na zewnętrznym ogrodzeniu, Krążą dokoła, wciąż dokoła, gromadząc się jakby w oczekiwaniu na jakiś ponury rytuał. Co noc pierścień szakali grasuje wokół kręgu cieni, opasującego wyspę światła, Aż do brzasku ich zawrodozenie wypełnia ciemności, a ich głód uderza falami o jaśniejącą wyspę i jej ogrodzenie, Co pewien czas jednak któryś z nich popada w obłąd i z wyszczerzonymi zębami wdziera się do twierdzy przeciwnika, porywa kurczęta, kasa konie i bydło, póki strażnik nie zastrzeli go celną serią ze średniej odległości. A wtedy jego bracia pogrążają się w żałości, wyjąc z przerażenia, niemocy i wściekłości w przeczuciu nadchodzącego dnia.

90 Nim przyszedł jego czas Dzień nadejdzie. Albo noc.

Powoli, jak czarno odziani księża podczas ceremonii pogrzebowej, zbliżą się do zwłok młodego mężczyzny leżących na ziemi niczyjej. Ich zwinne kroczki zdają się pieścić, a nie tratować, pylisty grunt. Z pysków cieknie im ślina. Najpierw utworzą krąg, w pewnym oddaleniu, i będą delikatnie węszyć. Następnie jeden z nich podejdzie do ciała i pochyliwszy się, zacznie je badać koniuszkiem nosa. Liźnięcie, a może rozstrzygające zwietrzenie. Podejdzie następny i kłami ostrymi jak brzytwa rozerwie bluzę. Trzeci, czwarty i piąty przyjdą chleptać krew. Potem pierwszy wyda zduszony chichot. Najstarszy z nich odgryzie kęs ciała lśnącymi, zakrzywionymi zębami. A całe stado zawtóruje gromkim śmiechem.

Odwieczna klątwa dzieli mieszkańców domów od tych, którzy żyją w górach i wąwozach. Zdarza się niekiedy w środku nocy, że dobrze odżywiony pies domowy usłyszy głos swego przekłętego brata. Głos ten jednak nie dochodzi z mrocznych pól: znenawidzony wróg psa gnieździ się w jego własnym sercu.

- Ehud - wyrzekł Dov, chwytając za klamkę u drzwi.

Najpierw pojawił się lekki kaszel. Potem dreszcz. Wielkie znużenie. Napad dreszczy. Szuranie nogami. Usiądź. Połóż się. Upadnij. Ból był ostry i uparty jak katolicki mnich, który po tysiącokroć powtarza wciąż te same niezrozumiałe słowa.

Stado szakali ze wzgórz Betlejem zaniósło się chichotem. Odgłos tego chichotu przebiegł po pustych ulicach nocy przez Ramat Rachel, Talpiot, Bakah, przez Niemiecką Kolonię i Kolonię Grecką, przez Talbiah, po czym wspiał się jak małpa po rynnie domu i wcisnął do środka tysiącem wyszczerbionych odłamków. Kiedy powstał kibuc, wierzyliśmy, że naprawdę możemy zapisać nową kartę, pewnych rzeczy nie da się jednak naprawić i muszą pozostać niezmienione, jak były od początków czasu. Powiedziałem: „Człowiek może wiele dokonać, jeśli tego pragnie z całego serca”. Lecz wówczas nie wiedziałem, że bezcelowe jest pozostawianie odcisków palców na powierzchni wody. Ja jestem ostatni, moje dziecko, i wcale się nie śmieję.

Pierwsze pęknięcia ukazały się na wschodzie ponad Górą Oliwną i pomiędzy dwiema wieżami. Nocny ptak wydał krzyk nienawiści. Jakaś czerwona moc nadciągnęła ukradkiem, by precyzyjnie się przez szczeliny żaluzji od wschodniej strony. Chmary oszalałych ptaków zaczęły rozdzierać ciszę.

A potem nastał dzień. Sprzedawcy nafty zaintonowali swoje śpiewy. Na drodze pojawiły się dzieci idące do szkoły. Ze straganów pełnych warzyw podniosły się żółtawe zapachy. Gazeciarze zaczęli ogłaszać swoje wielkie nowiny. Z piskiem opon ulicą przejechał samochód ministra. Otwierano sklep za sklepem, podciągając żelazne żaluzje jak mrugające oczy.

Wokół kramu z antykami zgromadził się tłum turystów z wypiekami na twarzach. Panowała atmosfera podniecenia. Pośród błyskotek na ladzie rozłożono święte obrazki, malowane na pergaminie, wszystkie wspaniałej, ręcznej roboty; prawdziwa skóra, mocna i starożytna, utrzymuje Raszyd Effendi.

Jakże wzniosłe są dalekie dzwony klasztorów. Jak niegodne uwagi, jakże dzikie i zasługujące na pogardę są owe szakale, które na czyste przesłanie dzwonów odpowiadają pokrętnym śmiechem. Kieruje nimi przewrotność, niepoprawna przewrotność, złośliwa i bluźniercza.

1962

¹ **Moszaw - rodzaj farmy w Izraelu, składającej się z indywidualnych dzierżaw, wspólnie uprawianych (przyp. tłum.).**

¹ **Deklaracja Niepodległości - 14 maja 1948 r. rząd brytyjski wycofał swoje wojska i administrację (po wygaśnięciu mandatu), a żydowska Tymczasowa Rada Państwa proklamowała utworzenie państwa Izrael (przyp. tłum.).**

³ **Sefardim - Sefardycy, inaczej Spaniolowie, Żydzi wypędzeni z Hiszpanii i Portugalii przez inkwizycję w latach 1492-97; znaleźli schronienie w północnej Afryce, Italii i państwie osmańskim, a głównym ich ośrodkiem stały się Saloniki; posługiwali się językiem ladino,**

88 Nim przyszedł jego czas

który wywodził się ze średniowiecznego dialektu hiszpańskiego; od Se-fardii, będącej dawną nazwą Hiszpanii. Żydzi z Hiszpanii i Portugalii sprzed inkwizycji oraz ich potomkowie (przyp. tłum.).

'Chodzi o króla Jordanii Abdallaha Ibn Husajna (1882-1951) (przyp. tłum.).

" Tomigan - od oryginalnej nazwy „Tommy gun”, którą określano potocznie broń produkcji amerykańskiej typu Thompson (przyp. tłum.).

Jesienią prowokacje się nasiliły. Dalsza powściągliwość nie miała sensu. Nasza jednostka otrzymała rozkaz przekroczenia nocą granicy i zaatakowania Dar an-Nashef,

- Dzisiejszej nocy gniazdo morderców zostanie zmiecione z powierzchni ziemi - oświadczył nasz dowódca tym swoim głębokim, spokojnym głosem - i cała Równina Przybrzeżna będzie mogła znowu swobodnie odetchnąć.

Żołnierze odpowiedzieli radosnym okrzykiem. Icchak krzyczał najgłośniej ze wszystkich.

Bielone wapnem baraki głównego obozu wyglądały czysto i jasno. Pracowici zaopatrzeniowcy już się mocowali ze stalowymi drzwiami do magazynu broni. Z ciemności na światło dzienne wnoszono moździerze i ciężkie karabiny maszynowe i układano je w równych prostokątach na skraju placu apelowego.

Dogasały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wkrótce na wschodzie zanikła linia oddzielająca szczyty gór od zwieszających się nad nimi zwałów chmur. Grupka oficerów sztabowych w starannie zapiętych bluzach naradzała się nad mapą rozłożoną na ziemi i obciążoną na rogach kamieniami. Studiowali teren w świetle latarki kieszonkowej, dyskutując przyciszonymi głosami. Nagle jeden z mężczyzn odłączył się od grupy i ruszył w stronę sali odpraw: był to Rosenthal, szczupły i jak zawsze nieskazi

90 Klasztor trapistów

teinie ubrany; mówiono, że był synem znanego fabrykanta cukierków. Po chwili rozległ się głos wołający w ciemności:

- Itamar, chodźże tu, robi się późno. A inny głos odpowiedział:
- Idź do diabła. Zostaw mnie w spokoju.

Batalion szykował się do sprawdzenia gotowości do wymarszu. Z boku placu, twarzą do żołnierzy, którzy podchodzili sennie na miejsce zbiórki i ustawiali się nierównymi trójkami, tkwiła hałaśliwa gromadka ludzi z oddziałów kwatermistrzowskich. Ci nie wyglądali wcale na sennych. Przeciwnie, rozmawiali gorączkowym szeptem, pokazując coś palcami i śmiejąc się z zażenowaniem, a może złośliwie. Jeden z nich, sanitariusz o nazwisku Nahum Hirsch, bez przerwy pocierał policzki: ogolił się w pośpiechu i teraz piekła go skóra podrażniona drobnymi skaleczeniami. Zdjął okulary i spoglądając na oddziały bojowe, opowiedział jakiś żart, który jednak nie rozbawił kolegów. Nahum Hirsch powtórzył dowcip innymi słowami. Nadal nikt nie pojął jego sensu; może był zbyt subtelny, żeby go mogli zrozumieć. Kazali się Hirschowi zamknąć, Umilkł więc. Ale noc nie zamierzała milczeć: zaczęła rozbrzmiewać wszelkiego rodzaju hałasami. Z odległego sadu dochodził do nas odgłos pompy nawadniającej, która swoim turkotem jakby dzieliła czas na równe, symetryczne kwadraty. Potem generator rozpoczął monotonne, uporczywe mruczenie, a wzdłuż ogrodzenia okalającego obóz rozbłysły reflektory. Nagłe światło zalało również plac apelowy, sprawiając, że postacie żołnierzy i ich broń zrobiły się śnieżnobiałe.

Daleko na wschodzie od podnóża gór podniosła się smuga światła nieprzyjacielskiego szperacza i rozpoczęła niecierpliwą, bezcelową wędrówkę po niebie. Raz i drugi promieniowi świetlnemu udało się złowić ślad spadającej gwiazdy i zaćmić jej poświatę swoim blaskiem. Oddziały bojowe zgromadziły się na pożegnalnego papierosa. Niektórzy, zaciągawszy się głęboko dymem po raz ostatni, gasili już niedopałki o gumowe obcasy ciężkich butów. Inni starali się palić jak najwolniej. Konwój ciężarówek z przygaszonymi światłami podjechał do placu i stanął, nie gasząc silników. Dowódca powiedział:

Klasztor trapistów 91

- Dziś w nocy zetrzemy w pył Dar an-Nashef i przywrócimy trochę spokoju na Równinie Przybrzeżnej. Zaatakujemy w dwóch kolumnach i z dwoma oddziałami straży tylnej. Postaramy się spowodować jak najmniej ofiar wśród ludności cywilnej, ale kamień na kamieniu nie zostanie w tym gnieździe morderców. Każdy żołnierz ma działać dokładnie według instrukcji. W razie nieprzewidzianego rozwoju wypadków albo jeśli któryś z was zostanie odcięty od reszty, użyjcie szarych komórek, które Bóg wam dał, a ja wyostrzyłem. To wszystko. Uważajcie na siebie. I niech żaden nie pije mi zimnej wody, jak się spoci. Obiecałem waszym matkom, że będę się wami opiekował. No, a teraz w drogę.

Oddział odpowiedział mu postukiwaniem klamer na-ramiennych rzemieni. Nie czekając na sygnał, wszyscy zaczęli lekko podskakiwać w miejscu, starając się wychwycić wszelki brzęk metalu czy chlupot wody w manierce nie dość szczelnie napełnionej. Następnie chłopcy z kwatermistrzostwa przeszli między rzędami, niosąc cynowe naczynia z sadzą. Przystawali kolejno przed żołnierzami, a oni zanurzali palce w sadzy, żeby ją sobie roz-smarować na policzkach, czole i brodzie: gdyby podczas czołgania się do celu światło reflektorów nieprzyjaciela wyłowiło którąś twarz, sadza miała zamaskować spoconą skórę. Sanitariusz Nahum Hirsch pomyślał, że przypominało to jakiś pradawny obrzęd wtajemniczenia, a ludzie niosący sadzę wyglądali jak kapłani.

Batalion ruszył z wolna w stronę ciężarówek. Dziewczęta - urzędniczki, maszynistki i sanitariuszki - rzuciły się ku żołnierzom, rozdając cukierki i gumę do żucia. Ic-chak objął niedźwiedzimi ramionami adiutantkę Brurię w pasie, podniósł ją i zakręciwszy szerokim kołem w powietrzu, ryknął:

- A dopilnujcie, dziewczyny, żeby nasz koniak czeka! na powitanie, bo inaczej nie dostaniecie nic ładnego na pamiątkę!

Rozległ się śmiech. I znowu cisza.

Nahum Hirsch miał ochotę wybuchnąć gniewem czy niechęcią, śmiech jednak wziął w nim górę, więc roześmiał się wraz ze wszystkimi i w duchu śmiał się wciąż

92 *Klasztor trapistów*

jeszcze, kiedy żołnierze zaczęli wsiadać do ciężarówek, które czekały na nich z przyćmionymi światłami.

2

W tej samej chwili nieprzyjaciel wystrzelił w niebo trzy wyraziste rakiety: czerwoną, zieloną i fioletową. Dar an-Nashef skuliło się u podnóża gór, dygocząc ze strachu. W wiosce wygaszono wszystkie światła. Ciemność winy, a może przerażenia, zawisła nad chatami. Tylko promień reflektora wciąż badał niebo, jakby tam właśnie kryło się niebezpieczeństwo. Tymczasem nasz oddział zwiadowczy posuwał się przez gęste sady ku skrzyżowaniu dróg, które trzeba było zablokować, żeby nie przepuścić posiłków nieprzyjaciela.

Ludzie z oddziałów kwatermistrzowskich, wszyscy ci, którzy nigdy dotąd nie brali udziału w żadnej akcji i z tego powodu Icchak przezwiał ich *Les Miserables*, zaczęli się gromadzić wokół ciężarówek, z zakłopotaniem obserwując żołnierzy z oddziałów bojowych. Próbowali rozweselić ich żartami. Nahum Hirsch objął ramieniem małego Joni-cza i klepnąwszy go po plecach, szepnął:

- Owca w wilczej skórze, co?

Miało to zabrzmieć ironicznie, ale głos go zawiódł i w słowach zadźwięczał jad.

Jonicz nie należał do oddziałów bojowych, tylko do jednostki kwa ter mistrzowskiej. Był uciekinierem z Jugosławii, któremu udało się przeżyć; małym, smutnym człowieczkiem, obsługującym żołnierzy z naszej jednostki za kontuarem w kantine. Często wołaliśmy na niego „Biszkoptowy Brygadier”. Twarz miał zniekształconą i wykrzywioną ustawicznym grymasem. Prawą stroną ust zawsze się uśmiechał, tak jakby uważał, że wszystko jest nieskończenie śmieszne; lewa była ponura jak śmierć. Powiadano, że to Niemcy tak zdeformowali mu twarz w jakimś obozie pracy czy też podczas selekcji. A może jugosłowiańscy partyzanci jednym uderzeniem złamali mu podbródek lub szczękę, tym sposobem zmuszając go, by wreszcie przestał ich irytować swoją nieszczęsną dolą żydowską.

Klasztor trapistów 93

Dlaczego tym razem zdecydowano się wybrać do oddziałów bojowych właśnie małego Jonicza, dopuszczając go do udziału w ataku na Dar an-Nashef? Może uznano go za coś w rodzaju maskotki? Jego drobne ciało wyglądało absurdalnie, niemal żałośnie w rzemieniach podniszczonego oporządzenia. Najwyraźniej któryś z oficerów dostrzegł swoisty, wyrafinowany humor w przydzieleniu Jonicza do oddziału bojowego. Podczas walki Jonicz miał służyć jako osobisty goniec komendanta jednostki, a jego zadaniem miało być utrzymywanie stałego kontaktu z dowódcami oddziałów pomocniczych. Powiedziano mu: - Będziesz musiał ganiać jak cholera, chłopcze. Wyobraź sobie, że biszkopty są tutaj, klient po tamtej stronie, ktoś czeka na swoją wodę sodową, a jeszcze ktoś chce papierosów i zapalek.

Nahum Hirsch rzekł:

- Jonicz, idziesz na bitwę jak mały brat Samsona i wcale nie rozumiesz, że wszyscy stroją sobie tutaj z ciebie żarty. Całe szczęście, że Arabowie nie mogą zobaczyć, kto to taki nadchodzi, żeby dać im łupnia.

Jonicz odwrócił się do niego, a wówczas Nahum ujrzał wykrzywiony półusmiech i przednie zęby, wystające spod zajęczej wargi. Cofnął się o krok.

W tym momencie w pobliżu sosnowego lasu gwałtownie zahuczały silniki czołgów, aż ziemia zadrżała, Czołgi nie miały brać bezpośredniego udziału w ataku na Dar an-Nashef, tylko obsadzić górskie przełęcze w oczekiwaniu na dalszy, choćby odległy, rozwój wypadków. Ryk potężnych silników sprawił, że wszystkie serca zaczęły mocniej bić. Dano sygnał i konwój ruszył ku ujściu wadi, Tam zgodnie z rozkazem żołnierze mieli wysiąść z transporterów i przejść pieszo przez gęstwinę drzew owocowych, po czym przekroczyć granicę, kierując się ku peryferiom Dar an-Nashef od północnego i południowego zachodu. Dziewczęta machały rękami na pożegnanie, życząc im szczęścia.

Nahum odszedł z placu apelowego. Usiadł pod pobielonym eukaliptusem. Drobne kawałki wapna osypywały się z pnia drzewa, kilka z nich zapiekło go w spocone czoło. Jak zwykle myślami zwrócił się ku mężczyznom i ko-

7. Tam, gdzie wyją.

95 *Klasztor trapistów*

bietorn, a nie ku innym istotom, których peina jest ciemność. Wkrótce jednak odgłosy nocy zakłóciły tok jego rozmyślań.

3

Nasz oddział mógł się poszczycić znakomitym dowódcą i wielu odważnymi oficerami, ale naszą prawdziwą dumą był Icchak. To on był królem. Nie tylko Bruria go kochała, znosząc jego humory w milczeniu. Wszyscy go kochaliśmy. Przepadał za dokuczaniem każdemu: żołnierzom, dziewczętom, nawet Brurii. Mówiła mu: „Jesteś wstrętny, przestań!”, lecz słowa te spływały z jej warg gorące i wilgotne, tak jakby naprawdę chciała zawołać: „Jeszcze, jeszcze!” On zaś lubił ją obrażać, wręcz poniżać, w obecności całego batalionu, począwszy od naszego dowódcy, a na ostatnim człowieku z kwatermistrzostwa kończąc, takim choćby jak Jonicz, Nahum Hirsch czy ktokolwiek inny. Stale pokrzykiwał na Brurię, mówił, że ma go zostawić w spokoju, że ma przestać za nim latać przez cały dzień, lecz przychodzić tylko nocą, a tak w ogóle, to trudno mu zrozumieć, po co ona się go tak trzyma, zupełnie jakby była jego matką albo on jej ojcem: znudziła mu się, miał jej po dziurki w nosie.

Kiedy nie mogła już dłużej znieść tych obelg, szła do sali odpraw, by szukać pocieszenia u Rosenthala, oficera operacyjnego. A niech mówią Icchakowi, i co z tego, że będzie zazdrosny; wcale o to nie dbała, zasłużył sobie. Rosenthal nie traktował jej tak jak Icchak. Nie był typem faceta, który by zadzierał jej spódnicę albo wkładał rękę za bluzkę, kiedy w pobliżu stali kierowcy i zaopatrzeniowcy. Jego zaloty były trochę jak z filmu, starał się jej zaimponować, mówiąc po angielsku z lekkim amerykańskim akcentem. Był smukły i muskularny, ubierał się nienagannie, a komplementy prawil równie zgrabnie, jak grał w tenisa. Nieraz, siedząc z Brurią w sali odpraw, tłumaczył dla niej na hebrajski teksty z pisemek pornograficznych, które brat przywoził mu z Europy. Nie ośmielał się jednak jej tknąć, a może nie chciał; a jeśli kiedykolwiek do tego dochodziło, był delikatny i uprzejmy. Bruria

Klasztor trapistów 96

w końcu zawsze pokornie wracała do Icchaka, lamentując, płaszcząc się, niemal błagając o karę, i wszystko znowu było jak dawniej. Cały batalion wyczekiwał dnia, kiedy zazdrość Icchaka wreszcie wybuchnie i dojdzie do otwartej rozprawy z oficerem operacyjnym o łagodnym głosie. Prawdę powiedziawszy, Icchak wprowadził nas w zdumienie, nie okazując nawet cienia zazdrości o Bru-rię; śmiał się tylko i mówił, żeby szła do diabła, a jego zostawiła w spokoju, bo niedobrze mu się robi na jej widok, w ogóle ma ich wszystkich powyżej uszu. I niech ona w końcu przestanie tak za nim łaźić po całych dniach.

Po każdej akcji odwetowej imię Icchaka rozbrzmiewało szerokim echem w wyższych sferach wojskowych. Dwukrotnie pokazano go w „Kronice”, a raz jego zdjęcie pojawiło się na okładce tygodnika wojskowego. To on podczas całonocnego marszu odkrył Wężowy Szlak, prowadzący na południe od Jerozolimy przez Pustynię Judejską i terytorium nieprzyjacielskie aż do Ein Gedi u brzegów Morza Martwego. To także on wyrównał dawne porachunki z Beduinami ze szczepu Arab al-Attata. Sam dowódca dywizji nazwał go kiedyś duchowym bratem wojowników króla Dawida, naszym adullańskim potomkiem Gedeonitów i Jeftetytów. W czasie jednej z akcji Icchak wtargnął w pojedynek do groty, gdzie okopały się całe tuziny nieprzyjacielskich żołnierzy. Tak ich przeraził swoim mrozącym krew w żyłach dzikim wrzaskiem, że pierzchali przed nim w popłochu, on szalał pośród mrocznych rowów strzeleckich, rzucając ręczne granaty. Ośłupiałe ze zdumienia i strachu, oddziały przeciwnika jak zahipnotyzowane poddały się pod naporem ognia jego karabinu maszynowego. I jak sam do tej groty skoczył, tak sam jeden się z niej wynurzył zdyszany, z rozwianym włosiem, krzycząc i wymachując karabinem nad głową.

Icchak zapuścił bujną, rozwichrzoną brodę. Włosy miał gęste, matowe i zawsze jakby przykurzone. Zarost zaczynał mu się na skroniach, gdzie prawie stykał się z krzaczastymi brwiami, a dalej schodził wzdłuż policzków i szyi, sięgając niedźwiedzich kudłów, które pokrywały mu tors i ramiona, a może nawet i całe ciało.

97 Klasztor trapistów

Czasami w blaszanej kabinie natryskowej Icchak zniecka zaskakiwał Nahuma Hirscha. Sanitariusz wycierał się pośpiesznie i uciekał, nie zwracając uwagi na pozostałe pod pachami mydło. Wszyscy bowiem dobrze wiedzieli, że Icchak nigdy nie przepuści okazji dokuczenia magazynierom, kierowcom czy sanitariuszom, swoim największym wielbicielom, tym wszystkim, których nazywał *Les Miserables*. A z drugiej strony, nieraz zadziwił ich dowodami nieoczekiwanej wspaniałomyślności. A to ofiarował jednemu z zaopatrzeniowców pistolet zabitego oficera syryjskiego, to znów brał któregoś na stronę i rozmawiał z nim jak z równym sobie, gawędząc o polityce i dziewczynach i wprawiając nieboraka w oszołomienie swoją szczerością.

Pomiędzy męskimi i żeńskimi prysznicami znajdowała się cienka ścianka działowa z połatanej blachy. Chłopcy z jednostki kwatermistrzowskiej porobili w niej otworki i całe godziny spędzali na podglądaniu dziewcząt, zwłaszcza w dni wolne od służby. Często Icchak dla zabawy przyciskał do tej ścianki swoje nagie cielsko, aż blacha trzeszczała i skrzypiała. Po drugiej stronie przepierzenia rozlegały się dziewczęce piski ze strachu czy podekscytowania. Wtedy Icchak wybuchał niepohamowanym śmiechem, a wszyscy zgromadzeni po obu stronach ścianki głośno mu wtórowali.

Kiedyś zdarzyło się, że kopiąc piłkę na obozowym boisku, Icchak skręcił sobie nogę w kostce. Pokuśtykał do punktu medycznego, gdzie zastał Nahuma Hirscha w trakcie wycinania fotosów rozebranych dziewcząt z zagranicznego czasopisma. Nahum zbadał kostkę, aby mieć całkowitą pewność, że to tylko zwichnięcie, a nie złamanie. Icchak jak zawsze niczym się nie przejmował. Nawet kiedy palce młodego człowieka zaczęły obmacywać nogę coraz wyżej, a on sam drżał przy tym na całym ciele, Icchak nic nie zauważył, tylko bez przerwy dowcipkował. W końcu Nahum zabandażował mu kostkę, ściskając ją przy tym niemiłosiernie. Icchak jęknął cicho z bólu, ale wydawało się, że nadal nic nie podejrzewa. Uśmiechnął się, podziękował sanitariuszowi za opatrunek i wyciągnął rękę. Nahum włożył swoje palce w olbrzymią łapę. Icchak

Klasztor trapistów 98

zaczaj je ściskać z przerażającą siłą. Fale cierpienia, dumy i rozkoszy przepłynęły przez ciało młodego sanitariusza. Icchak wzmacnił uścisk. Nahum poddał się błogim dreszczom bólu, chociaż na jego twarzy widniał jedynie grzeczny uśmiech, jakby mówił: „Ja tylko zabandażowałem ci kostkę, to był mój obowiązek”. Wówczas Icchak rozluźnił uścisk i wypuścił dłoń Nahuma. Powiedział:

- Kto wie, może zabierzemy cię na następną akcję. Nadszedł czas, żeby zrobić z ciebie sanitariusza polowego, co?

Słodkawy zapach gumy do żucia owionął twarz Nahuma, który zupełnie nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Icchak oczywiście zapomniał o swoim przyrzeczeniu, a może po prostu miał zwyczaj rzucania podobnych obietnic chłopcom z jednostki kwatermistrzowskiej. A teraz wybrano akurat małego Jonicza. I pewnie w tym momencie ganiał już, zgięty w pół, w zalegających ciemnościach, a może czołgał się po ziemi, z połową twarzy idiotycznie uśmiechniętą, z drugą połową nieruchomą jak kamienna rzeźba. W dalszym ciągu kompletna cisza, żadnego dźwięku. Słyszać tylko świerszcze, szakale i słabą muzykę z radia w kwaterach mieszkalnych. Jest jeszcze czas.

4

Gwałtowny poryw nocnego wiatru rozkołysał korony drzew. Deszcz wapiennych płatków przybrał na sile. Nahuma ogarnęło znużenie podobne do tego, jakie zwykle następuje po chwilach rozpacz. Raptem zdał sobie sprawę, że nieświadomie łamie w palcach drobne gałązki.

Reflektor nieprzyjaciela wciąż penetrował niebo. Pokonana ziemia nieprzerwanie wysyłała fale ciężkiego od zapachów, lepkiego ciepła.

Ktoś nadchodził lekkimi krokami. Nahum znał te kroki. Wstał i plecami oparł się o pień eukaliptusa. Przyczajony w ciemnościach, poddał się szalonej halucynacji. Kiedy dziewczyna go mijała, wyskoczył ze swej kryjówki i zastąpił jej drogę. Krzyknęła cicho z przestrachu. Jednakże w tej samej chwili rozpoznała go.

- Hej - zawołał półgłosem sanitariusz.

99 *Klasztor trapistów*

- Zejdź mi z drogi, dość tego! - powiedziała. - Nie bądź dziecinny.

- On zostanie ranny - stwierdził Nahum spokojnie i ze smutkiem.

- Idiota - odpowiedziała Bruria.

- Dzisiejszej nocy on zostanie ranny. Ciężko ranny.

- Daj mi przejść. Nie chcę cię widzieć ani słuchać twojego gadania. Jesteś stuknięty.

- Będzie ciężko ranny, ale nie umrze. Obiecuję ci, że nie umrze.

- Idź sobie. Idź do diabła.

- Jesteś zła? Zamierzam go sam jeden uratować, więc nie powinnaś się na mnie złościć. Właśnie dziś w nocy uratuję mu życie.

- Śmieszny jesteś. Przestań leżeć za mną. I nie opowiadaj mi takich rzeczy. Mówiłam ci, żebyś się odczepił. Wyjdź stąd. Nie pozwoliłam ci wchodzić do tego pokoju. Idź sobie, idźże stąd, albo zawołam starszego sierżanta. Wynoś się, bo inaczej będziesz miał kłopoty.

Nahum śledził jej ruchy tęsknym spojrzeniem. Zapaliła światło, zdenerwowana i rozdrażniona, i zaczęła porządkować jakieś papiery, rozrzucone na krześle i na stole, wepchnęła coś pod kredens i usiadła na niepościelonym łóżku polowym, twarzą zwrócona do ściany, plecami do niego.

- Ciągłe tu jesteś? Czego ty chcesz ode mnie? Powiedz mi, co ja takiego zrobiłam, że tacy jak ty przychodzą tutaj, żeby sprawiać mi kłopoty? Wynoś się. Zostaw mnie w spokoju. Mam już wszystkich facetów powyżej uszu.

- Obraziłaś mnie dwa razy w ciągu niespełna dziesięciu minut - rzekł Nahum Hirsch - ale nie zrobię z tego użytku, przynajmniej nie dzisiejszej nocy. Zamierzam uratować mu życie.

Bruria powiedziała:

- W każdej chwili może wrócić Jacqueline. Jeśli przyjdzie i zastanie cię tutaj, pożałujesz. Nawet cię nie znam. Wiem tylko, że jesteś sanitariuszem i że masz na imię Nahum. W porządku, sanitariuszu Nahumie, wynocha stąd, ale już.

Nagle Nahum gwałtownym, histerycznym ruchem rozerwał na sobie koszulę khaki, aż posypały się guziki.

Klasztor trapistów 100

Dziewczyna przyłgnęła do ściany z ręką na ustach, z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Oniemiała. Nahum wskazał na swoją chudą, obnażoną pierś.

- Teraz przypatrz się uważnie - wyszeptał z pasją - patrz. Tędy weszła kula. Został trafiony prosto w gardło. Kula wchodzi tędy, a tamtędy wychodzi. Po drodze przerywa mu tchawicę. Żyły też są poszarpane. A krew zaczyna spływać tędy, w środku, prosto do płuc.

Bładymi palcami rysował przebieg rany na swojej klatce piersiowej i z gorączkowym pośpiechem mówił dalej:

- Z tchawicy, o tu, stąd, cała krew wlewa się do płuc. Tego rodzaju krwotok prawie zawsze powoduje śmierć przez uduszenie.

- Dość tego. Zamknij się. Proszę, przestań.

- Kiedy płuca są pełne krwi, ranni duszą się z braku powietrza. Właśnie przynoszą go z pola walki prosto do mnie, do punktu medycznego. Twarz ma siną, dławi się, wymiotuje krwią, pluje krwią, ubranie ma całe we krwi, brodę zakrwawioną, a oczy wywrócone, tak że widać tylko białka. Ja jednak nie wpadam w panikę. Biorę nóż, gumową rurkę i latarkę kieszonkową i nacinam mu tchawicę. Jak rzeźnik; tyle że ja to robię po to, aby w ostatniej chwili go ocalić. Nie oczekuję odznaczeń ani nagród. Ratuje go, ponieważ wszyscy jesteśmy towarzyszami broni. Nacinam mu tchawicę bardzo nisko, spójrz tu, uważaj, jeszcze niżej, tutaj. Wprowadzam gumową rurkę przez naciętą tchawicę prosto do płuca. W ten sposób.

Bruria siedziała sztywno z wyprężoną szyją, jak w transie, jak zaklęta, obserwując blade, zwinne palce, przesuujące się po chudej klatce piersiowej niczym igły do szycia w poszukiwaniu niewidocznego otworu. Milczała. A on w podnieceniu zduszonym głosem bez przerwy opowiadał:

- Teraz chwytam ustami koniec rurki. Zaczynam wysysać mu krew z płuc, żeby mógł oddychać, żeby się nie udusił. Zobacz, wysysam i wypluwam, wysysam i wypluwam, bez przestanku, z poświęceniem, z miłością. A teraz patrz, wtłaczam mu powietrze do płuc, o tak, wdech-wy-dech, wdech-wydech, tak jak ratuje się topielca.

101 Klasztor trapistów

Stopniowo, nie zdając sobie z tego sprawy, Bruria również zmieniła oddech. Zaczęła podążać za rytmem oddychania sanitariusza. Zapadło krótkie milczenie.

- Odzyskuje przytomność - niespodziewanie krzyknął Nahum. - Widziałem, jak zamrugał oczami. A teraz poruszył kolanami. Wyraźnie daje znaki życia.

Bruria otworzyła usta, jakby chciała płakać czy krzyczeć, nie zapłakała jednak ani nie krzyknęła, tylko w dalszym ciągu oddychała głęboko.

- Teraz oddycha już sam, nie przez nos i nie przez usta, tylko przez rurkę, którą wprowadziłem mu do płuc. Patrz. Wypluwa krew. To dobrze. Krztusi się. To także dobry znak. Już nam nie umrze. Będzie żył. Czeka, otwórz mu na moment oko. Zobacz. Właśnie to. Lewe. Zamglone. Zamknij je. Jest blady. Ale teraz możesz już klęknąć przy noszach, wziąć jego rękę w swoje dłonie i spróbować do niego przemówić. Jeszcze nie odpowie, ale pewnie cię usłyszy. Nareszcie mogę odejść. Tak. Nie próbuj mnie zatrzymywać. Nie potrzebuję żadnych podziękowań. Spełniłem swój obowiązek. Idę, ambulans trąbi na drodze i doktor pewnie już przyszedł. Nieznany sanitariusz podjął się trudnej operacji w warunkach polowych i ocalił życie bohatera narodowego. Icchak i ja w uścisku na pierwszych stronach gazet. Nie, wcale mi nic nie zawdzięczasz. Skądże znowu! Pobierzecie się i będziecie żyli długo i szczęśliwie. Spełniłem tylko swój obowiązek. I będę nadal kochał was oboje z oddali. Zegnaj, zegnaj, czas na mnie, jadę już, zegnaj.

Nahum pożegnał się, ale nie odszedł. Zamiast tego opadł wyczerpany na łóżko polowe u stóp Brurii. Zaczął cicho płakać. Położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu. Pokój wypełniało blade, chorobliwe światło nieosłoniętej, żółtej żarówki. W kącie pokoju, na wierzchu metalowej szafki na kartoteki, leżał plik niewypełnionych formularzy. Gdzieś w walizkach rozrzucone części damskiej garderoby, może była tam i bielizna; Nahum nie miał odwagi spojrzeć, ukrył tylko głowę na kolanach Brurii, pocierając swój rozpalony policzek. Gładziła go po włosach, wpatrując się w przestrzeń i powtarzając bez przerwy:

- Już dosyć, dosyć, dosyć.

Klasztor trapistów 102

Pierwsze odgłosy nadciągnęły niespodziewanie, jak gdyby przedwcześnie. Bruria oczekiwała grzmiącej salwy, a tymczasem bitwa rozpoczęła się od niepewnych, urywanych strzałów, ostrożnych i bardzo cichych.

- Orkiestra stroi instrumenty. Wkrótce się zacznie - rzekł Nahum.

- Uspokój się - powiedziała Bruria - uspokój się, mój mały. Możesz położyć mi głowę na kolanach, ale musisz być cicho i już więcej nie mówić ani nie płakać. Ty głuptasie. Nic nie rozumiesz, nic a nic. A to, co opowiadasz, to wszystko brednie. Wcale nie przyniosą Icchaka z powrotem do naszego obozu. Zabiorą go prosto do szpitala, nie miałbyś żadnych szans. Najlepsi chirurdzy dyżurują dzisiejszej nocy w szpitalu. Żadnego wysysania krwi z płuc przez gumowe rurki. Mają tam salę operacyjną i odpowiednie narzędzia i uratują Icchaka tysiąc razy szybciej i skuteczniej, niż ty byś to zrobił. Dzieciak z ciebie. Nic by z tego nie wyszło. Nie rozśmieszaj mnie. Tylko głowę, powiedziała, nie ruszaj się, łaskoczesz mnie. Uspokój się. O, tak właśnie. Grzeczny chłopiec. Spokojnie. Pssst. I nie dotykaj mnie. Pokaż mi rękę. Ty żółtodziobie. Może Icchak weźmie cię kiedyś ze sobą na akcję, a wtedy będziecie się mogli wzajemnie ratować, ku waszemu obopólnemu zadowoleniu, bo ja już mam dosyć, mam dosyć was wszystkich i nie obchodzi mnie, co się stanie, chcę jedynie, żeby czas mijał. Połóż swoje okulary na stole. Tak. Teraz mogę cię objąć. Odpocznij. Zaśpiewam ci kołysankę. Przekonam Icchaka, żeby cię zabrał na następną akcję. Może nawet zrobi z ciebie sanitariusza polowego. Kiedy Icchak wyzdrowieje, powiem mu, że jesteś dobrym chłopcem i że nie chciałeś, żeby on umarł, a nawet zamierzałeś ocalić mu życie. Powiem mu, że nic nie mówiłeś, tylko leżałeś spokojnie. Tak. W ten sposób.

Duże, wilgotne plamy na suficie wyglądały jak mroczne potwory. Od czasu do czasu mała myszka przemykała przez pokój, znikając w szczelinach kafli, by zaraz znów się pojawić w jakimś kącie. Bruria zdjęła sandał i rzuciła nim w mysz; chybiła. W tej samej chwili ponownie rozległy się złowieszcze, przytłumione odgłosy. Ciszę rozdarły długie serie z karabinów maszynowych. Moździerz zaniósł

103 Klasztor trapistów

się ciężkim, gniewnym kaszlem. Dudnienie na kształt grzmotu przetoczyło się w ciemności na zewnątrz. Nahum powiedział:

- Gdybym tylko zechciał, to nadmuchałbym mu powietrza do płuc szybko i gwałtownie, napompowałem go, rozsadziłem. Mógłbym też wyciągnąć tę gumową rurkę, a wtedy on by znowu zsiniał i udusił się. Ale nie zrobię tego. Ocalę go pod warunkiem, że ty przestaniesz mi ubliżać. I nie śpiewaj mi do snu, nie wolno mi teraz spać, powinienem być gotów, lada chwila będę musiał biec do punktu medycznego przeprowadzić operację, która uratuje mu życie. A poza tym, nie popychaj mnie; jestem silniejszy od ciebie. To będzie dar, a ja zasłużyłem sobie na nagrodę, oddając ci go z powrotem żywego.

Wtedy dała się słyszeć artyleria dalekiego zasięgu. Baterie przeciwnika, rozmieszczone na górskich stokach, zaczęły ostrzeliwać przygraniczne osady, oświetlając niebo pociskami smugowymi. Jednostki głównego natarcia ścierały Dar an-Nashef z powierzchni ziemi, dom po domu, podczas gdy oddziały pierwszej linii wybijały gniazda zaciekłego oporu. Ogłuszający terkot karabinów maszynowych wdarł się w błagania Nahuma.

- Do grobu mnie wpędzisz - powiedziała Bruria. Po czym jęknęła i uległa. Młody człowiek oblał się potem i oczy zaszyły mu mgłą. Ona zaś rozłożyła ręce na boki, jakby oczekując ukrzyżowania, i rzekła:

- Przynajmniej skończ z tym szybko.

Jak się okazało, słowa te nie były wcale potrzebne.

Zewsząd dochodził zapamiętały grzechot automatów. W oddali niosły się echem niewyraźne, dalekie salwy. Potężny wybuch zagłuszył serie z karabinów maszynowych. Stopniowo odgłosy bitwy przeszły w jakiś tajemny rytm: fala za falą pokornych, nieśmiałych pytań i niskie, chrapliwe trzaski w odpowiedzi; piskliwe zawodzenie strun i pochłaniający to wszystko, nieprzytomny zgiełk perkusji. W końcu także i ten rytm się załamał. Ognista kaskada piekielnego hałasu uniosła się i z rykiem potoczyła ku mrocznym horyzontom. Jeszcze rozległy się ostatnie, spazmatyczne eksplozje, aż wreszcie i one zamarły. A potem objawiła się cisza i delikatnie, z pełną współczucia cier

Klasztor trapistów 104

pliwością, poskiadaia z powrotem rozsypane kawałki. Sanitariusz bez słowa opuścił pokój i pobiegł do punktu medycznego, żeby przygotować narzędzia chirurgiczne, które zawsze trzymano w sterylnym pojemniku. Spokój nocy zstąpił na równinę. Wkrótce świerszcze i stada szakali powróciły na swoje złe drogi.

5

Nasz dowódca powiedział:

- To był kawał dobrej roboty. Dokładnie jak w podręczniku. Bez problemów. Bez przeszkód. Czysto niczym fuga Bacha. A teraz chodźcie tu do mnie, dziewczęta, i otwórzcie butelkę araku dla mistrza.

Spieczony i brudny w porywie męskiego uniesienia Icchak zaczął oddawać w niebo radosne serie z karabinu.

- Udało się! - wrzeszczał. - Zdobyliśmy baraninę, ziemniaki, arak, wszystko, czego nam trzeba, a Dar-jak cholera-Nashef już nie istnieje! Nawet kot się nam nie wymknął! Ani kot, ani pies! Żaden skurwysyn nie został żywy! No, a gdzie jest ta dziwka Bruria, gdzie ona się podziała! I gdzie są wszystkie u-r-r-rocze dziewczyny, no dalej!

Urwał gwałtownie na widok sanitariuszy, którzy wyciągnąwszy z przyczepy ciężarówki ciało Jonicza, ruszyli w stronę oświetlonego punktu medycznego. Zwłoki zawinięto w brudny koc, ale Nahum odłonił je na chwilę i zobaczył, że oczy zmarłego były szeroko otwarte, niby w bolesnym zdumieniu, że oto znowu sobie z niego zakpiono. Wydawało się, że nawet dziwny uśmiech Jonicza złagodniał: uśmiechnięta połowa twarzy pozostała niezmieniona, natomiast ta druga jakby się do niej dopasowała. Nahum odwrócił się do Icchaka.

- Co wyście zrobili z Joniczem?

- Dlaczego tak się na mnie gapisz, dlaczego akurat na mnie? - krzyknął Icchak urażony. - Jego imię było wypisane na pierwszej kuli. Został zabity, zanim się w ogóle cokolwiek zaczęło. Seria przeszła o parę metrów ode mnie, a on stał po drodze. - Mówiąc to, Icchak zaczął zdejmować z siebie pas, broń i ekwipunek, po czym ściągnął

105 Klasztor trapistów

pomiętą koszulę i spytał spokojnie: - Gdzie ona jest, schowała się gdzieś czy co?

- A niby skąd ja mam to wiedzieć? - zawołał Nahum,

- No więc idź, odszukaj mi ją i zaraz tu przyprowadź. Masz pięć minut - rozkazał znużony Icchak ochryple. - Ale zanim to zrobisz, daj mi kubek wody.

Nahum usłuchał.

Nalał kubek wody, podał go Icchakowi, poczekał, aż kubek zostanie wypity do dna, napełnił go powtórnie, znowu zaczekał, następnie wyplukał go w zlewie i pobiegł szukać Brurii.

Niemal bez wahania skierował się do miejsca, gdzie cienie były najczarniejsze - za magazynami, na zboczu wzgórza. Ujrzał tam Brurię, opartą o ścianę. Guziki bluzki miała rozpięte, jedną pierś wysuniętą ze stanika, a Rosenthal, oficer operacyjny, chwycił jej sutek dwoma palcami i szeptał coś wesoło. Lecz ona stała bez ruchu, bez uśmiechu, jakby śpiąc na stojąco albo jakby wszystko było stracone i nic już nie miało sensu. Widok ten napełnił Nahuma niemą, rozdzierającą serce udręką. Nie wiedział dlaczego; wiedział tylko, że wszystko było pomyłką, wszystko od początku do końca. Odwrócił się i poszedł z powrotem do Icchaka.

- Wcale jej tu nie ma - skłamał. - Wyjechała. Widziano ich oboje, jak odjeżdżali dżipem jeszcze przed waszym powrotem. Nie ma jej tutaj.

- W porządku - powiedział Icchak bardzo wolno. - Rozumiem. Zabrał ją ze sobą do Jerozolimy. Mogła przynajmniej poczekać, żeby się przekonać, czy mnie zabito czy nie.

Nahum zadrżał, ale nic nie powiedział.

- Chodź, chłopcze - ciągnął Icchak - chodź. Znajdziemy sobie jakiegoś dżipa. Masz może papierosa na zbyciu? Nie? Nic nie szkodzi. Pojedziemy za nimi. A dawno to wyjechali? Godzinę temu? Pół godziny? Złapiemy ich, zanim dotrzemy do góry Hartuv. Awantura za awanturą w ciągu jednej nocy. No chodź, wsiadaj, ruszajmy. Szkoda, że jest tak późno. Rosenthal może już wywieszać białą flagę na swoim dżipie. Co powiedziałaś? Zdawało mi się, że coś mówiłaś. Chodź, jedźmy za nimi. Nie ma czasu na kawę.

Klasztor trapistów 106

Szkoda tego chłopaczka. No, po prostu wylazł tam i dał się zabić. Bez sensu. Następnym razem nie zabieram nikogo, kto nie jest naprawdę potrzebny. Człowiek, który stroi sobie żarty ze śmierci, jest bękartem, ale człowiek, który tego nie robi, jest jeszcze gorszym bękartem. Powiedz coś. No? Nie masz nic do powiedzenia? Gadaj. Odezwij się. Przynajmniej powiedz mi, jak masz na imię. Zapomniałem, jak się nazywasz. Wiem, że pracujesz w magazynie, ale twoje imię akurat wyleciało mi z pamięci. Jestem zmęczony. Hej, popatrz, jak szybko jedziemy. Jakieś sto dwadzieścia, sto trzydzieści co najmniej. A to jeszcze nie maksymalna prędkość.

Droga była pusta i pępna. W oddali na wschodzie nocne niebo odbijało na zboczach gór dogasający pożar zburzonej wioski nieprzyjacielskiej. A w sadach czarna woda bezgłośnie płynęła kanałami nawadniającymi, wsiąkając w ziemię równiny.

6

Nahum odchylił się do tyłu na zniszczonym siedzeniu dżipa i odwrócił się, żeby spojrzeć na Icchaka. Dostrzegł tylko grzywę włosów i gęstą brodę. Przez moment przypomniała mu się nauka Biblii i prorok Elias, dziki i zawistny, który wymordował proroków Baala na górze Karmel¹. On także jawił się w wyobraźni Nahuma jako olbrzym bez twarzy - sama broda i gęsta grzywa włosów. Icchak panował nad samochodem z senną gwałtownością, jedną rękę trzymając na kierownicy, drugą ciężko położywszy na kolanie. Masywne ciało pochylił do przodu, niczym jeździec przywierający do końskiej szyi. Czy to możliwe, że ukrywał jakieś kłopoty ze wzrokiem? Dżip wdrapywał się pod górę, jadąc zygzakami ze zgrzytem i jazgotem. Burzliwe porywy wichru biły im w twarz podmuchami oszałamiających woni z sadów.

Światła wiosek położonych wzdłuż Równiny Przybrzeżnej przemykały jedne po drugich i kryły się, znikając pośpiesznie za plecami podróżnych. Gdzieś widać było ludzi, którzy powstawali z łóżek i zgromadzili się pod latarnią głównej uliczki uśpionego osiedla, dzie

107 Klasztor trapistów

łąc się domysłami i czekając na świt nadchodzącego dnia i poranne wiadomości radiowe, żeby poznać znaczenie nocnych hałasów i odblasków ognia na niebie. Icchak i Nahum nie zatrzymywali się, by cokolwiek wyjaśniać, nie zmniejszali też prędkości. Raz tylko na jakimś ciemnym skrzyżowaniu dróg Icchak zahamował ostro na widok podejrzanej postaci, która stała na poboczu, owinięta w płaszcz, a może koc, jakby zaczajona. Icchak sięgnął po karabin maszynowy leżący u stóp Nahuma i wycelował broń w nieznanego.

- O co chodzi? - rzucił pytanie.

W świetle przednich reflektorów pojawił się młody człowiek, student szkoły rabinackiej, cały w czerni. Tylko jego twarz i skarpetki były białe. Na nosie miał okulary i sprawiał wrażenie całkowicie bezradnego. Wybełkotał coś w jidysz i Nahum był zaskoczony, słysząc, jak Icchak odpowiada mu, cierpliwie i spokojnie, również w jidysz. Potem młodzieniec pobłogosławił ich i ruszyli dalej. Dżip zerwał się ostrym skokiem, minął z rozpędem zakręt drogi i pognął przed siebie, ku wzgórzom Jerozolimy.

Nikogo więcej nie spotkali tej nocy.

Icchak milczał, a Nahum nie zadawał żadnych pytań. Cicha radość i tajemna tęsknota przepelniały mu serce. On znał prawdę, a Icchak jej nie znał. Icchak kierował dzi-pem jak szalenciec, on zaś kierował Icchakiem. Droga zaczęła się wić. Z wizgiem rozpalonej nienawiści rozpędzony dżip wściekle atakował zakręty. Nahum zapytał cicho:

- Jaki ty właściwie jesteś, Icchak, co w tobie siedzi? Ostry pęd wiatru zagłuszył jego słowa. Icchak chyba

nie dosłyszał, gdyż odpowiedział na całkiem inne pytanie:

- Z Rumunii. Urodziłem się pod Bukaresztem. Można by nawet powiedzieć, że było to przedmieście Bukaresztu. Podczas wojny uciekliśmy całą rodziną do Rosji i tam nas rozdzielono. Niektórzy pomarli, inni zniknęli, a kilku wróciło po wszystkim do Rumunii. Moja mała siostrzyczka i ja przejechaliśmy przez Polskę i Austrię do północnych Włoch, a potem zjawili się ludzie z Youth Aliya² i zabrali nas stamtąd do Izraela, na młodzieżową farmę szkoleniową, którą

prowadziła organizacja religijna. Tam się wychowywaliśmy. Zostało jeszcze paru krewnych gdzieś

Klasztor trapistów 109

w Rosji, ale nie mam pojęcia gdzie. Zresztą, i tak nie ma to dla mnie teraz znaczenia.

- Pewnie zostaniesz zawodowym żołnierzem - rzekł Nahum. - Za dziesięć lat będziesz co najmniej pułkownikiem. A potem wielkim generałem.

Icchak obrzucił sanitariusza zdumionym spojrzeniem.

- Nic podobnego! Za rok zwolnią mnie z wojska. Oszczędzam pieniądze, żeby wykupić udziały w firmie autobusowej, a poza tym mam wszelkie szanse, żeby zostać środkowym napastnikiem w drużynie Petach-Tykwa. Nie teraz. Za jakiś czas. Muszę się jeszcze sporo nauczyć. Jeśli pewnego dnia powstanie w tym kraju zawodowy futbol, będę w siódmym niebie. Wydam za mąż moją siostrę i wreszcie będę żył jak człowiek.

- A do tej pory nie żyłeś jak człowiek?

- Jak pies - odpowiedział Icchak z gniewnym znużeniem.

- Słuchaj, co mówiłeś w jidysz do tego faceta?

- Zapytałem go, co się dzieje. Powiedział, że słyszał strzały i że się przestraszył. A ja mu na to, że w dzisiejszych czasach to nie Żydzi, tylko Arabowie powinni obawiać się strzałów w nocy. I w zamian za moje kazanie wziętem od niego pół paczki papierosów. Chcesz jednego? Nie? Złapiemy ich po tej stronie Castel i zajmiemy się tym Rosenthalem raz a dobrze. Potem pojedziemy z Brurią do Jerozolimy. Znasz Jerozolimę? Jak myślisz, znajdziemy tam jakąś knajpę otwartą przed świtem?

- To martwe miasto - powiedział Nahum. - Nocą tam wszystko zamiera. Zresztą w dzień także, jeśli chodzi o ścisłość. W każdym razie, nie złapiemy ich ani koło Castel, ani nigdzie indziej, jeśli nie zaczniemy jechać szybciej, znacznie szybciej. Rosenthal zabierze ją do siebie, a tam pójdą prosto do łóżka, my zaś będziemy w środku Jerozolimy sterczeć po nocy jak para idiotów, nie wiedząc dokąd iść. Będziemy wyglądali jak Flip i Flap! No więc, naciśnij gaz do dechy, Icchak, i jedź szybciej, jak najszybciej możesz, dodaj gazu!

Icchak przyśpieszył wściekle. Silnik zebrał resztki sił. Prędkość wzrosła z wyciem i łoskotem. Nahuma ogarnęła tęsknota i lęk. On wiedział, gdzie w tej chwili znajdowała

110 Klasztor trapistów

się Bruria i gdzie był ten bękart, Rosenthal, a Icchak nie miał pojęcia. Udało mu się zmusić potężnego Icchaka do bezcelowego ganiań po nocy, a ten nic nie podejrzewał. Jeszcze teraz Nahum rozkoszował się zapachem jej skóry, zapachem mocnego, zwykłego mydła i dotykiem jej palców na swoim karku, a Icchakowi w ogóle przez myśl to nie przeszło. Włożył rękę do kieszeni koszuli, gdzie wymacał narzędzia, wysterylizowany lancet, bandażę, ampułkę morfiny, gumową rurkę, wszystko, co miało się przydać na wypadek nagłej operacji, po tym jak ich dżip stoczy się z górskiej drogi w przepaść. To także było coś, czego Icchak nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Nawet się nie domyślał, że oto po jego prawej ręce siedzi człowiek, który wkrótce ocali mu życie. Przeróżające, trudne zadanie, któremu Nahum zamierzał wspaniale sprostać. Nieznany sanitariusz dokona operacji nocą, przy świetle latarki, ratując życie bohatera narodowego. Zaradność. Poświęcenie. Opanowanie. Braterstwo. Mistrzostwo. A także - szeptem, bezdźwięcznym ruchem warg - także miłość.

Wtedy nieoczekiwanie popsuło się jedno z przednich świateł: zamigotało niepewnie kilka razy, aż w końcu zdecydowało się i zgasło. Dżip nadal galopował na wschód w blasku jedyne go płonącego oka cyklopa, którym rozpraszał cienie na wzgórzach. Pędził przed siebie jak zjawą, zmuszany do coraz większego wysiłku ręką Icchaka, który siedział zgarbiony nad kierownicą, gryząc wargi i przyciskając pedał gazu mocno do podłogi. Wkrótce ten człowiek zostanie ciężko ranny, Brurio, śmiertelnie ranny, ale ja nie pozwolę mu umrzeć. Zoperuję go, a potem opatrzę z poświęceniem, niepomny na moje własne rany. Będziesz mi zawdzięczała jego życie, ja zaś odejdę w pokorze. Icchak to zwykły ignorant, przerośnięty szczeniak: nic nie wie i nic nie rozumie. Posłuchaj tylko: właśnie zaczął coś nucić; nie ma pojęcia, co się z nim za chwilę stanie.

Może Icchakowi przypomniał się blady student, którego spotkali na drodze wiodącej z równiny, i jego lamentsy w jidysz. A może przyszły mu na myśl inne miejsca i inne czasy. Podśpiewywał sobie jakąś melancholijną piosenkę:

Klasztor trapistów 111

Ojczy nasz, Królu nasz, zmiłuj się, usłysz nas, Bo nic zrobić nie zdoła-a-a-my. Okaz nam łaskawość swą, I wyba-a-a-w nas...

- Amen - wyszeptał Nahum Hirsch żarliwie, a jego oczy napełniły się łzami.

Na skrzyżowaniu w pobliżu Szaar-Hagay, tam gdzie u stóp wzgórza Latrun droga jerozolimska styka się z terytorium nieprzyjaciela, podróżnych uderzył powiew zimnego powietrza: było to powietrze Jerozolimy, chłodne, a zarazem przesiąknięte wonią sosen. Silnik jęknął, kilka razy zakaszłał ochryple, zacharczał i umilkł, umilkł jak milcząca martwa przedmioty, których pełna jest noc.

7

Icchak, ocięzający i znużony, wstał ze swego siedzenia i podniósł maskę. Nahum wyjął latarkę kieszonkową, której miał użyć podczas nagłej operacji, i skierował ją na silnik. Obserwował Icchaka, podczas gdy ten mocował się ze świecami zapłonowymi, na oślep ciągnąc i pchając, waląc gniewnie pięścią w pokrywę silnika, dokręcając śruby mocnymi paznokciami, niemiłosiernie i zapewne bezcelowo szarpiąc za kable. Wszystko to wprawiło silnik w jeszcze większą zuchwałość. Nagle bez ostrzeżenia zgasło drugie światło i pojazd zamarł. Icchak wyrwał Nahumowi latarkę i ze złością rzucił nią o skały na poboczu drogi.

- Mam to wszystko gdzieś - warknął.

Nahum pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Tak, oczywiście, naturalnie”. Ale ponieważ w tej samej chwili objęła ich absolutna ciemność, Icchak nie mógł dojrzeć tego ruchu. Nahum zużywał jedną migoczącą zapalniczkę po drugiej. Od ostatniej obaj zapalili papierosy z paczki, którą Icchak zabrał studentowi na drodze.

Najpierw Icchak przeklął silnik, potem Nahuma, Bru-rię, w ogóle wszystkie kobiety oraz niebo i ziemię. W większości były to przekleństwa rosyjskie, bardzo dosadne; trochę było arabskich. Icchak przeklinał również Arabów, długo i dokładnie. W końcu przeklął samego siebie. Na-

B. Tam, gdzie wyją

112 Klasztor trapistów

stępnie zamilkł. Głos miał zachrypnięty od ciągłego krzyku przed akcją, podczas walki i po powrocie do obozu. Teraz stać go było jedynie na żalosny, rozpaczliwy skrzek. Usadził się na masce martwego dżipa, jak włochata góra. I tkwił tam nieruchomo w całkowitym milczeniu.

Kiedy oczy obu mężczyzn przyzwyczały się trochę do nieprzeniknionych ciemności, Icchak dostrzegł czarny, wypiętrzony masyw, wznoszący się po drugiej stronie granicy w pobliżu Latrun: zamglony, rozłożysty profil klasztoru trapistów widniał poza linią demarkacyjną, na ziemi wroga.

- Tam jest jakaś budowla - wychrypiał słabo Icchak.

- To klasztor - wyjaśnił Nahum z ożywieniem. Raptem w jego sercu zrodziła się gorąca chęć nauczania. Był całkowicie rozbudzony, daleki od znużenia, rozgorączkowany. - To klasztor trapistów. Mnisi ślubują tam wieczne milczenie. Aż do śmierci.

- A dlaczegoż to? - zapytał Icchak szeptem.

- Ponieważ słowo jest korzeniem grzechu. Bez słów nie istnieje kłamstwo. To proste, no nie? Mnisi żyją w wielkiej zażyłości, a mimo to nigdy nie zamieniają ze sobą ani słowa. Wyobrażasz sobie, jaka boska musi być ta cisza. Ktokolwiek chce tam wstąpić, musi ślubować. Podobnie jak w armii. Składa przysięgę milczenia.

- Nie mogę tego pojąć - zakrakał Icchak.

- Oczywiście, ty tego nie potrafisz zrozumieć. Wszystko, co umiesz zrobić, to zburzyć wioskę, nie wiedząc nic o jej mieszkańcach ani o ich historii, nawet nie chcąc się dowiedzieć. Jak rozjuszony byk. Oczywiście, że nie rozumiesz. Cóż ty rozumiesz? Pieprzenie się i zabijanie, tylko to rozumiesz. I piłkę nożną. I jeszcze udziały w firmie autobusowej. Zupełnie jak dzikie zwierzę, a nie człowiek. Dzikie, bezmyślne zwierzę. A oni przez cały czas cię oszukują. Rosenthal pieprzy Brurię, tak samo zresztą jak i inni oficerowie, faceci z żandarmerii, nawet ktoś taki jak ja. Myślisz, że ona jest teraz w dżipie Rosenthala w drodze do Jerozolimy? Tak myślisz? Bo jesteś zwykłe bydło, a nie człowiek, dlatego uważasz, że wszyscy są podobni do ciebie. A tymczasem nie wszyscy są tacy jak ty. Nie każdy traktuje i zabija wszystko, co się rusza. Wręcz prze

Klasztor trapistów 113

ciwnie. Oni się z ciebie śmieją. Rosenthal pieprzy ci się z Brurią i ciebie on też pieprzy. I ja ją pieprzyłem, a teraz przy pieprzy lem również tobie. Powiedz mi, po co tu pędziłeś na wariata? Dlaczego zgarnąłeś dzipa, karabin maszynowy i mnie i zacząłeś gonić za nimi jak wściekły? A ja ci powiem dlaczego. Bo nie jesteś człowiekiem, oto dlaczego. Ponieważ jesteś głupim, tępym bydlakiem. Oto dlaczego.

Resztkami głosu Icchak wycharczał:

- Opowiedz mi jeszcze o klasztorze.

Nahum Hirsch, chudy sanitariusz w okularach, zgiął kolano i oparł but na kole dzipa. Palił papierosa, a w żyłach czuł siłę, pulsującą jak wino.

Pył martwych słów przywarł do ciebie. Oczyść swą duszę milczeniem - napisał Rabindranath Tagore, hinduski poeta i filozof. Teraz, naturalnie, będę musiał zacząć od początku i wytłumaczyć ci, co znaczy poeta, co znaczy filozof i kto to jest Hindus. Ale kto by miał czas i cierpliwość, żeby zrobić z ciebie człowieka? To strata słów. A zresztą, i tak ci już nic nie pomoże. No więc, w porządku. Latrun bierze swoją nazwę od fortecy, która stała tutaj w średniowieczu. Krzyżowcy zbudowali tę twierdzę, żeby kontrolować najdogodniejszą drogę z Równiny Przybrzeżnej do Jerozolimy - to znaczy, drogę Bet Horon. Latrun jest przekreśloną nazwą tej twierdzy: *Le Touron des Chevaliers* - Wieża Rycerzy, *Touron* znaczy wieża. Podobnie jak *tour*. *La tour Eiffel* Wieża Eiffla. Wieżę masz również w szachach. W naszym języku nazywamy ją „tora”. Nie śpisz jeszcze? Czy to nie za dużo jak na jedną lekcję? Nie? Jest kilku badaczy, którzy powołują się na inne, jeszcze starsze źródło nazwy Latrun: *Castellum Boni Latronis*, co oznacza zamek dobrego łotra, który był ukrzyżowany razem z Jezusem z Nazaretu. Czy słyszałeś kiedykolwiek o ukrzyżowaniu, o Jezusie, o dobrym łotrze? Czy przeczytałeś choćby jedną książkę w życiu? Odpowiedz. Co się z tobą dzieje? Źle się czujesz? Odpowiedz mi!

Icchak milczał.

Światła dalekich osiedli zamrugały w ciemności. W Latrun, dokąd wieść o zniszczeniu Dar an-Nashef zdążyła już z pewnością dotrzeć, wysunięte placówki nie

114 Klasztor trapistów

przyjaciela skierowały spazmatyczne smugi szperaczy na gęste lasy, porastające zbocza wzgórz judejskich. Pojedynczy, jakby drwiący strzał przetoczył się przez góry, wywołując długie echo.

- Hej, może to trochę niebezpieczne, tak siedzieć tu przez całą noc? - przestraszył się nagle Nahum.

Icchak milczał.

- Słuchaj, to chyba jednak zbyt niebezpieczne? Czy nie powinniśmy pójść dalej piechotą? Może jest tu gdzieś w okolicy jakaś osada albo kibuc?

Icchak odwrócił na moment swoją brodatą twarz, spojrział na Nahuma Hirscha, po czym spuścił oczy. Nie odezwał się. Nahum oddał mocz z tyłu za samochodem. Nagle ogarnęła go panika, bał się rozdzielać z Icchakiem w tych ciemnościach. Zgrzytając zębami, głośno i wyraźnie powiedział:

- Ależ ze mnie kupa gówna! Co za nędzny gnojek ze mnie!

Icchak milczał.

W końcu pojawiły się pierwsze oznaki wstającego dnia, łagodząc gęsty mrok i wyostrowając kontury. Błysk światła zajaśniał na wschodzie niczym aureola, niczym sen o łasce. Jeśli takie rzeczy, jak miłosierdzie czy łaska w ogóle istnieją, pomyślał Nahum, to mają taki właśnie kolor. Wkrótce Bruria weźmie prysznic, żeby zmyć pot i łzy, a potem pójdzie spać. Pochowają Jonicza czy raczej, jak to się mówi, złożą go na wieczny spoczynek. Gdyby tak można było znaleźć odrobinę spokoju dla kogoś takiego jak ja. I gdyby tak można było dać nieco spokoju Icchako-wi; jest teraz śmiertelnie zmęczony. Niezależnie od wszystkiego, każdy człowiek musi kiedyś odpocząć. Choć trochę. Nie mogę już dłużej tego znieść. Potrzebuję ciszy.

Nagle na terytorium nieprzyjaciela odezwały się z triumfem szakale. Ich głosy odbiły się w stromych korytach wadi i rozniosły po równinach obleżonej ziemi. Nieprzyjacielskie reflektory posępnie błędziły na chybił trafił, w przód i w tył. W pewnej chwili świetlny snop zsunął się na drogę, omiótł nieruchomego dzipa i dwóch zagubionych

Klasztor trapistów 115

żołnierzy, następnie zatrzymał się i wrócił po własnych śladach, aby przeszukać cierniste krzewy i zarośla. Smuga światła schwytała małego, nocnego drapieżnika. Oślepiiony zamarł bez ruchu ze zjeżoną sierścią. Jego parszywe futro zadrgało w śmiertelnym przerażeniu. Rzucił się błyskawicznie do ucieczki i zniknął w głębinach mroku.

Już wkrótce jednak noc miała zdradzić tych, którzy uczynili z niej swoje schronienie: na wschodzie ciemność zaczęła stopniowo znikać ze szczytów wzgórz na ziemi wroga.

1962

¹ Por. Stary Testament, I Księga Królewska, 18,19 (przyp. tłum.).

¹ Truat Aliya - izraelska organizacja młodzieżowa, pomagająca młodym ludziom z całego świata w wyjeździe i osiedleniu się w Izraelu; aliya - imigracja do Izraela (przyp. tłum.).

Dziwny ogień

oc rozpostarła skrzydła nad mieszkańcami Ziemi. Natura przędła swoją nić, oddychając w rytm obrotów kołowrotka. Świat ma uszy, lecz w jego wypadku zmysł słuchu oraz to, co daje się słyszeć, stanowią jedną rzecz, nie zaś dwie. Leśne zwierzęta krążą w poszukiwaniu żeru, podczas gdy zwierzęta domowe stoją u żłobu. Po pracy człowiek powraca do domu. Ale gdy pozostawia on swoją pracę, miłość i grzech zaczynają kopać mu grób. Bóg przyrzekł stworzyć świat i świat nappełnić. A ciało zawsze będzie lgnęło do ciała...

Berdyczewski, „Ukryty w gromie”

1

Początkowo dwaj starsi mężczyźni szli, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Po wyjściu z jasno oświetlonej i dusznej sali klubowej podali sobie nawzajem płaszcze. Yosef Yarden zachowywał uparte milczenie, tymczasem doktor Kleinberger wydał najpierw szereg gardłowych pokasływań, a w końcu kichnął. Referat prelegenta wprowadził ich obu w przygnębienie: wszystko to prowadzi donikąd. Podobne dyskusje nic nie dają. Nic praktycznego.

Nastrój znużenia i pustki ciążył nad niezbyt licznie uczęszczanymi spotkaniami umiarkowanego Stronnictwa Centrum, jego członkami obaj przyjaciele byli od wielu

Dziwny ogień 117

lat. Nigdy nic nie wyniknie z tych spotkań. Nierozważne działania prowadzą na cały naród orgię pełnych buty zgromadzeń. Wśród zgiełku zabawy nikt nie zdoła usłyszeć głosu rozważi, powściągliwości i zdrowego rozsądku. Cóż może uczynić kilku roztropnych ludzi, niemłodych już głosiceli przezorności i trzeźwego kierowania nawą państwową, którzy w swoim życiu nieraz widywali owoce politycznej euforii w różnorodnych jej odmianach. Garstka wykształconych i rozważnych osób nie powinna się łudzić, iż zdoła się przeciwstawić zaślepieniu mas i ich lekkomyślnych, zarozumiałych przywódców, którzy przy akompaniamencie triumfalnych okrzyków zmierzają ku przepaści.

Po przejściu jakichś trzydziestu kroków Yosef Yarden przystanął w miejscu, gdzie boczna ulica wychodzi na jeden z majestatycznych i spokojnych bulwarów podmiejskiej dzielnicy Rehavia, tym samym sprawiając, że doktor Kleinberger również mimo woli się zatrzymał. Yosef Yarden zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa i w końcu, nie bez trudności, znalazł jednego. Doktor Kleinberger pośpiesznie podał przyjacielowi ogień. Nadal nie zamienili ani słowa. Ostrożnie osłonili dłońmi płomyk od wiatru. W Jerozolimie jesienne wichry wieją mocno i gwałtownie. Yosef podziękował swemu towarzyszowi skinieniem głowy i zaciągnął się dymem. Po trzech krokach papieros mu zgasł, gdyż nie był wystarczająco mocno rozżarzony. Yosef rzucił go z gniewem na chodnik i rozgniół obcasem. Zaraz jednak zmienił zdanie, podniósł zgnieciony niedopałek i wrzucił do śmietnika, który władze miejskie Jerozolimy umieściły na żelaznym słupie przystanku autobusowego.

- Degeneracja - powiedział.

- No cóż, doprawdy, pozwól, że zapytam - rzekł doktor Kleinberger - czy nie jest to uproszczona, niemal wulgarna interpretacja rzeczywistości, która z samej definicji jest skomplikowana?

- Degeneracja, a na domiar złego głupota - upierał się Yosef Yarden. v

- Wiesz równie dobrze jak wszyscy, mój drogi Yosefie, że upraszczanie definicji jest formą poddania się.

118 Dziwny ogień

- Mam tego dość - powiedział Yosef Yarden, poprawiając szalik i kołnierz płaszcza, by osłonić się przed smagnięciami mroźnych podmuchów. - Mam wszystkiego dosyć. Od tej chwili nie będę owijał słów w bawełnę. Choroba jest chorobą, a degeneracja degeneracją.

Doktor Kleinberger zwilżył wargi, które zimą zawsze były spierzchnięte; powieki przymknęły mu się jak otwory strzelnicze, kiedy odezwał się ponownie:

- Degeneracja jest zjawiskiem złożonym, Yosefie. Bez degeneracji słowo „czystość” traci sens. Objawia się tu pewien cykl, swego rodzaju odwieczne koło, co doskonale rozumieli nasi Mędrcy, kiedy mówili o złych aspektach natury ludzkiej, jak również Ojcowie Kościoła u chrześcijan; najwyraźniej degeneracja i czystość są przeciwieństwem absolutnym i jakkolwiek faktycznie jedna wyklucza drugą, to zarazem pierwsza z nich sprawia, że druga staje się możliwa, przyczyniając się do jej rozkwitu; i to jest właśnie to, czego powinniśmy się spodziewać i w czym pokładać ufność w tych dekadencjach czasach.

Zuchwały wiatr, zimny i przenikliwy, hulał po ulicach Rehavii. Latarnie uliczne chwilami zapalały się żółtym światłem. Niektóre z nich, potłuczone przez chuliganów, zwisały oślepione ze szczytu swoich słupów. W zniszczonych latarniach nocne ptaki uwiły sobie gniazda.

Twórcy dzielnicy Rehavia posadzili drzewa, założyli ogrody i wytyczyli aleje, pragnąc pośród wyblakłych od słońca skalistych wzgórz na obrzeżach Jerozolimy stworzyć przyjemne, cieniste przedmieście, gdzie za dnia rozlegałyby się dźwięki pianina, a o zmroku skrzypiec lub wiolonczeli. Cała okolica kryje się pod zwartymi koronami drzew. W dzień małe domki stoją sennie na dnie jeziora cieni. Natomiast nocą w listowiu pojawiają się niewyraźne kształty, które biją skrzydłami, krzycząc rozpaczliwie w ciemnościach. Nie tak łatwo w nie trafić jak w uliczne latarnie; kamienie chybiają i nikną w mroku, a gałęzie drzew szepczą coś z tajonym szyderstwem.

Zapewne również i takie kontrasty wcale nie są proste, przeciwnie bardzo skomplikowane; w istocie jeden wypiera drugi, a żaden nie może istnieć bez tego drugiego, i tak

Dziwny ogień 119

dalej, i tak dalej. Doktor Elhanan Kleinberger, stary kawaler, egiptolog, zdołał niegdyś zdobyć jakąś reputację, zwłaszcza w pewnym europejskim państwie, z którego ledwie udało mu się uciec trzydzieści lat temu. Zarówno jego życie, jak i poglądy noszą znamiona zniewalającego stoicyzmu. Yosef Yarden, ekspert w odszyfrowywaniu starożytnych manuskryptów hebrajskich, jest wdowcem, którego starszy syn, Yair, ma się wkrótce ożenić z Diną Dannenberg, córką dawnego przyjaciela. A jeśli chodzi o nocne ptaki, to wprawdzie gnieźdzą się one w sercu dzielnicy, każdego ranka jednak pierwsze oznaki świtu wypłaszają je do kryjówek pośród skał i lasów poza miastem.

Dwaj starsi panowie kontynuowali swoją przechadzkę, nie znajdując nic więcej, co mogliby dodać do cierpkich słów, jakie usłyszeli i wypowiedzieli uprzednio. Minawszy siedzibę premiera na rogu ulic Ibn Gabirol i Keren Kajemet, a następnie budynki szkoły średniej, przystanęli na rogu ulicy Uszyszkina. Skrzyżowanie to, otwarte ku zachodowi, wystawione jest na uderzenia lodowatego wiatru, wiejącego od strony kamienistych pól. Tutaj Yosef Yarden wyjął kolejnego papierosa, a doktor Kleinberger ponownie podał mu ogień, osłaniając płomyk, jak żeglarz, obiema rękami: tym razem papieros nie powinien zgasnąć.

- A więc w przyszłym miesiącu wszyscy będziemy tańczyć na weselu - zagadnął doktor żartobliwie.

- Właśnie wybieram się do Lily Dannenberg. Musimy usiąść i przygotować listę gości - odparł Yosef Yarden. - Będzie to krótka lista. Matka Yaira, niech spoczywa w pokoju, zawsze chciała, aby nasz syn miał cichy ślub, bez wielkich ceremonii, i tak się stanie. Po prostu skromna uroczystość rodzinna. Ty, oczywiście, też przyjdiesz, ale jesteś dla nas jakby członkiem rodziny. Co do tego nie ma cienia wątpliwości.

Doktor Kleinberger zdjął okulary, chuchnął na szkła, wytarł je chusteczką i powoli włożył z powrotem.

- Tak, naturalnie. Tylko że twoja Dannenbergowa nie wyrazi na to zgody. Lepiej się nie łudź. Na pewno będzie chciała wyprawić córce huczne wesele i cała Jerozolima

120 Dziwny ogień

zostanie zaproszona, żeby składać życzenia i żeby się dziwować. Będziesz musiał ulec i zrobić tak, jak ona zechce.

- Nie tak łatwo zmusić mnie do zmiany zdania - odrzekł Yosef Yarden. - Zwłaszcza gdy chodzi o wolę mojej zmarłej żony. Pani Dannenberg jest rozsądną kobietą i na pewno zdaje sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywają tu względy osobiste.

Kiedy Yosef Yarden mówił, że nie tak łatwo zmusić go do zmiany zdania, zaczął bezwiednie zgniatać papierosa w palcach. Złamany i pokruszony, papieros nie zgasł, tylko nadal się tlił. Doktor Kleinberger podsumował tę wypowiedź uwagą:

- Mylisz się, mój przyjacielu. Pani Dannenberg nie obejdzie się bez wielkiego widowiska. Z całą pewnością jest rozsądną kobietą, jak to czarująco określiłeś, ale zarazem jest kobietą bardzo upartą. Pomiedzy tymi dwiema cechami charakteru nie ma sprzeczności. Powinieneś się przygotować na ostrą wymianę zdań. Na pospolitą kłótnię.

Wspólny znajomy, czy może raczej ktoś, kto sylwetką przypominał obu przyjaciółom wspólnego znajomego, skreślił za róg ulicy. Unieśli dłonie do kapeluszy i przechodzień uczynił to samo, nie zatrzymał się jednak, tylko poszedł śpiesznie dalej, z głową pochyloną pod wiatr. I zniknął w ciemności. W chwilę później jakiś chuligan z hulkiem przejechał na motocyklu, burząc spokój Rehavii.

- Co za bezczelność! - wybuchnął gniewnie Yosef Yarden. - Wstrętny gangster, umyślnie jeździ bez tłumika, żeby zakłócać spokój dziesięciu tysiącom mieszkańców. A dlaczego? Ponieważ nie ma pewności, że jest realny, że istnieje naprawdę, a cała ta bufonada daje mu nadęte poczucie ważności: „Niech każdy mnie usłyszy!” Profesorowie. Prezydent i premier. Artyści. Dziewczeta. Powinno się położyć kres tym ekscesom, zanim będzie za późno. Bezwzględnie.

Doktor Kleinberger nie śpieszył się z odpowiedzią. Przez długą chwilę milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. W końcu zauważył:

- Po pierwsze, jest już za późno.

- Nie zgadzam się z podobną postawą rezygnacji. A po drugie?

Dziwny ogień 121

- A po drugie... Tak, jest jeszcze drugi aspekt i, proszę, wybaczyć mi moją śmiałość... Po drugie, przesadzasz. Jak zawsze.

- Ja wcale nie przesadzam - rzucił Yosef Yarden przez zaciśnięte zęby, tłumiąc nienawiść. - Nie przesadzam. Nazywam jedynie rzeczy po imieniu. To wszystko. Ja mam papierosy, a ty zapalki, więc jesteśmy od siebie zależni. Poproszę o ogień. Dziękuję. Trzeba zawsze nazywać rzeczy po imieniu.

- Ależ, doprawdy, Yosefie, mój bardzo drogi przyjacielu, ależ doprawdy - wycedził doktor Kleinberger z wymuszoną dydaktyczną cierpliwością. - Wiesz równie dobrze jak ja, że każda rzecz ma zazwyczaj więcej niż jedno imię. A teraz czas się pożegnać. Musisz iść do przyszłej teściowej twego syna i nie powinienes się spóźnić, bo zostaniesz skarcony. To rozsądna kobieta, nikt temu nie zaprzeczy, ale jest także wymagająca. Zadzwoń do mnie jutro wieczorem. Może dokończymy tę partyjkę szachów, którą przerwaliśmy w połowie. Dobranoc. Weź sobie zapalki. Tak. Nie ma o czym mówić.

Podczas gdy obaj starsi mężczyźni ruszyli każdy w swoją stronę, w Dobnie Krzyża rozległy się dziecięce nawoływania. Najwyraźniej chłopcy z Ruchu Młodzieżowego pobiegli tam, aby po ciemku pobawić się w chowanego. Stare drzewa oliwne to dobre kryjówki. Odgłosy i wonie unoszą się znad doliny i przenikają w głąb zamożnego przedmieścia. Ukryty prąd płynie od gajów oliwnych ku nagim drzewom, posadzonym w Rehavii przez architektów krajobrazu. To nocne ptaki są odpowiedzialne za ten prąd. Ciężar odpowiedzialności napełnia je uczuciem śmiertelnej powagi i dlatego swoje krzyki zachowują na chwile zagrożenia albo na godzinę prawdy. Dla odmiany, drzewa oliwne skazane są na to, by rosnać w wiecznym milczeniu.

2

Dom pani Lily Dannenberg stał przy jednej z cichych, bocznych uliczek pomiędzy Rehavią a jej młodszą i wyższą

122 Dziwny ogień

siostrą - dzielnicą mieszkalną Kiryat Szemuel. Chuligan, który jadąc na swoim motocyklu, zburzył spokój całego miasta, nie zdołał uczynić tego pani Dannenberg, ponieważ i tak nie odczuwała ona spokoju. Krążyła po domu, układając i przestawiając przedmioty po to tylko, by natychmiast zmienić zdanie i wszystko przestawiać z powrotem na dawne miejsca. Tak jakby rzeczywiście zamierzała siedzieć w domu i cierpliwie czekać na swego gościa! O dziewiątej trzydzieści ma przyjść Yosef, żeby omówić z nią listę gości weselnych. Cała ta sprawa może poczekać; nie ma powodu do pośpiechu. Wizyta, wesele, jak również lista gości. Po co tyle zamieszania? W każdym razie, Yosef zjawi się dokładnie o dziewiątej trzydzieści - można na niego liczyć, nie spóźni się ani o sekundę - lecz drzwi zastanie zamknięte, a dom pusty i ciemny. Życie jest pełne niespodzianek. To miło móc sobie wyobrazić wyraz jego twarzy - zdziwiony, pełen urazy, a nawet zaszokowany. I przyjemnie pozgady-wać, co napisze w liściku, który z pewnością zostawi w moich drzwiach. Są tacy ludzie, i właśnie Yosef do nich należy, którzy kiedy ich zaskoczyć, urazić lub zaszokować stają się niemal sympatyczni. Jest w tym swego rodzaju alchemia duchowa. To przyzwoity człowiek, który zawsze umie przewidzieć, co będzie dobre, a co złe.

Wszystkie te myśli wypowiedane były szeptem w języku niemieckim. Z wyrazem chłodnego spokoju na twarzy Lily Dannenberg zapaliła lampkę do czytania. Usiadła w fotelu i zabrała się do pilowania paznokci. Dwie minuty przed dziewiątą *manicure* był skończony. Nie ruszając się z miejsca, włączyła radio. Codzienne czytanie Pisma Świętego właśnie dobiegło końca, a wiadomości jeszcze się nie zaczęły. Jakiś ckliwy utwór muzyczny, piekielnie nudny i banalny, powtórzono cztery czy pięć razy bez żadnych wariacji. Kręcąc gałką, Lily pośpiesznie minęła gardłowe odgłosy Bliskiego Wschodu, bez zatrzymania przeskoczyła Ateny i znalazła Radio Wiedeń, trafiając akurat na dziennik wieczorny w języku niemieckim. Następnie rozpoczęto nadawanie „Eroiki” Beethovena. Lily wyłączyła radio i poszła do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

Co mnie obchodzi, że będzie urażony czy zaszokowany! Niby dlaczegóż to powinnam się przejmować, co dzie

Dziwny ogień 123

je się z tym człowiekiem i jego synem? Istnieją pewne uczucia, których wyrazić język hebrajski nie zdoła. Gdybym to powiedziała Yosefowi albo jego przyjacielowi Kle-inbergerowi, zaraz by mnie obaj zaatakowali i wyniknęłaby okropna kłótnia na temat zalet hebrajskiego, z mnóstwem nieprzyjemnych dygresji. A w hebrajskim nie ma nawet takiego słowa jak „dygresja”. Muszę wypić tę kawę bez odrobiny cukru. Gorzka, oczywiście, że jest gorzka, ale postawi mnie na nogi. Czy mogę sobie pozwolić na jeden herbatnik? Nie, nie wolno mi jeść ciastek; żadnych kompromisów. A poza tym jest już kwadrans po dziewiątej. No, trzeba ruszać, zanim on przyjdzie. Piec. Światło. Klucz. W drogę.

Lily Dannenberg jest czterdziestodwuletnią rozwódką. Mogłaby śmiało uchodzić za młodszą o siedem czy osiem lat, ale byłoby to wbrew jej zasadom moralnym i dlatego nie ukrywa swego prawdziwego wieku. Wysoka, szczupła, ma blond włosy w naturalnym odcieniu, niezbyt ciekawym, ale głębokim i intensywnym. Nos ma prosty i mocny. Na jej wargach stale gości fascynujący wyraz niepokoju, oczy zaś są jasnoniebieskie. Jeden skromny pierścionek sprawia, że jej długie palce wydają się pełne samotności i zadumy.

Dina nie wróci z Tel Awiwu przed północą. Zostawiłam jej na rano trochę kawy w dzbanku. Jest też sałatka w lodówce i świeży chleb w koszyku. Jeśli po powrocie zechce wziąć kąpiel, woda będzie jeszcze gorąca. Wszystko więc jest w porządku. A skoro wszystko jest w porządku, to dlaczego odczuwam zdenerwowanie, zupełnie jakbym zostawiła coś na gazie albo zapomniała zamknąć jakichś drzwi? Przecież nic się nie przypala, wszystko jest pozamykane, a ja sama znajduję się już dwie ulice dalej na zachód, tak że ten cały Yosef nie może się na mnie przypadkowo natknąć w drodze do mego domu. To by wszystko popsuło. Większość młodych Lewantyńczyków jest na pierwszy rzut oka bardzo pociągająca. Lecz mało jest takich, na których warto spojrzeć po raz drugi. Wielki duch, zmagając się z losem, jest zawsze wzburzony, przez co zniekształca ciało od wewnątrz i trawi twarz niczym deszcz wypłu

124 Dziwny ogień

kująco wapienną skalę. Dlatego ludzie wielkiego ducha mają tak wiele wypisane na twarzy, niekiedy literami na kształt blizn, i dlatego trzymanie się prosto sprawia im zazwyczaj tyle trudności. W przeciwieństwie do nich, przystojni Lewantyńcy nie znają smaku cierpienia i to jest powód, dla którego ich twarze są symetryczne, a ciała mocne i proporcjonalne. Dwadzieścia dwie minuty po dziewiątej. Gdzieś w pobliżu słyhać sowę, która coś zawile i ochryple wykrzykuje. Po niemiecku zwą tego ptaka *die Eule*, a po hebrajsku, o ile dobrze pamiętam, *yanshuf*. Zresztą, co za różnica? Dokładnie za siedem minut Yosef naciśnie dzwonek do drzwi mego domu. Jego punktualność jest niewątpliwa. Dokładnie w tym samym momencie ja zadzwonię do drzwi jego domu przy ulicy Alfasi. Zamknij się, *Eule*, słyszałam już nieraz wszystko, co masz do powiedzenia. I to Yair otworzy mi drzwi.

3

Można się spodziewać, że ktoś, kto pochodzi z rozbitej rodziny, zechce pewnego dnia zniszczyć stabilność domu innych ludzi. I nie dzieje się to przypadkiem, chociaż nie ma podstaw, by formułować podobną zasadę. Yosef Yar-den jest wdowcem, a Lily Dannenberg rozwódką, której były mąż zmarł z powodu złamanego serca czy żółtaczkę w niespełna trzy miesiące po rozwodzie. Natomiast doktor Kleinberger, egiptolog i stoik, postać marginalna, jest starzejącym się kawalerem. Nie trzeba dodawać, że nie ma on dzieci. Yair Yarden i Dina Dannenberg nie wchodzi w rachubę. Dina pojechała do Tel Awiwu, aby przekazać radosną nowinę swoim krewnym, zrobić zakupy i załatwić kilka spraw, i nie wróci przed północą. Jeśli chodzi o Yaira, to właśnie siedzi on ze swym bratem, uczniem szkoły średniej, w przytulnym salonie w domu Yardenów przy ulicy Alfasi. Tego wieczoru postanowił nadrobić zaległości w nauce: trzy ćwiczenia, nudne zadanie i całą górę bibliograficznej roboty. Studiowanie ekonomii politycznej jest ważne i pożyteczne, ale bywa też męczące i przygnębiające. Gdyby Yair mógł, zapewne wybrałby Daleki Wschód, Chiny, Japonię, tajemniczy Tybet, a może Ame

Dziwny ogień 125

rykę Łacińską. Rio. Inków. Albo Czarną Afrykę. Lecz cóż miody człowiek mógł począć ze studiami takimi jak te? Zbudować sobie igloo czy poślubić gejszę? Kłopot polegał na tym, że ekonomia polityczna pełna jest działań i obliczeń, słów i liczb, które zdają się ulegać dezintegracji, jak tylko na nie spojrzeć. Dina jest w Tel Awiwie. Oby tylko po powrocie nie wspomniała więcej o tej naszej wczorajszej niepotrzebnej kłótni. Te wszystkie rzeczy, które wygarnąłem jej prosto w oczy. Chociaż z drugiej strony, to przecież ona pierwsza zaczęła. Tato poszedł zobaczyć się z jej matką i nie wróci przed jedenastą. Gdyby jeszcze był jakiś sposób na wytłumaczenie Uriemu, żeby przestał tak siedzieć i dłubać w nosie. Jakie to okropne. Kwadrans po dziewiątej będą nadawać program na żywo: „Poszukiwanie skarbu”. Oto pomysł na taki nieprzyjemny wieczór jak ten. Posłuchamy sobie audycji, a potem wrócimy do trzeciego ćwiczenia. To powinno pomóc. Bracia włączyli radio.

Igraszki nocnego ptactwa nie cichną aż do dziewiątej piętnaście. Zanim jeszcze zmierzch zapadnie, sowy i inne nocne ptaki wyruszają z dzielnic podmiejskich ku centrum miasta. Oczyma z matowego szkła spoglądają na ptaki dzienne, które weselą się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, śpiewając beztrudnie. W uszach nocnych ptaków brzmi to jak krańcowe szaleństwo, jak koncert wariatów. Na obrzeżach Rehavii, gdzie najdalej na zachód położone domy przylegają do skał górskiego zbocza, ptaki wzbijające się do lotu napotykać ptaki, które powracają do gniazd. W świetle, które nie jest ani dzienne, ani nocne, te dwie grupy mijają się, lecąc w przeciwnych kierunkach. W Jerozolimie żaden kompromis nie trwa zbyt długo, dlatego też i wieczorny półmrok zamigotał, a potem gwałtownie zgasł. Zapadła ciemność. Słońce zaszło, zmuszając swoje tylne strażę do odwrotu.

Lily zamierzała zadzwonić do drzwi domu Yardena dokładnie o dziewiątej trzydziści. Na rogu ulicy Radak dostrzegła jednak kota, stojącego na kamiennym murze. Machał ogonem i zawodził z pożądania. Lily postanowiła poświęcić kilka chwil na obserwację rozgorączkowanego

126 Dziwny ogień

kota. Tymczasem bracia Yardenowie słuchali początku audycji. Jowialny spiker podał słuchaczom oraz zgromadzonym w studio gościom pierwszy trop; początek rozwiązania ukryty był w piosence Bialika²:

*Ani nocą, ani w dzień
Cicho wymknę się, by iść;
Ni w dół, ni na wzgórza szczyt,
Pod starej akacji pień...*

I natychmiast Yair i Uri ulegli gorączkowej pasji detektywistycznej. Decydujący punkt to stara akacja. Nie na wzgórzu i nie w dolinie, dopiero tu wszystko zaczyna się komplikować. Yair wpadł na świetny pomysł: może powinniśmy odszukać ten wiersz w grubym tomie poezji Bialika i sprawdzić kontekst, a wtedy się okaże, w jakim kierunku zmierza trop. Chłopak skoczył ku biblioteczce, poszperał trochę i znalazłszy książkę, wnet trafił na właściwy wiersz. Jednakże następne linijki nie przyniosły rozwiązania, sprawiając poszukiwaczom jeszcze większy kłopot.

*Akacja, która sekret zna,
Powie, co przed sobą masz...*

Tak. Rozumiem. Lecz jeśli to sama akacja jest ową zagadką, to jak można oczekiwać, że uda się odkryć tajemnicę albo przepowiedzieć przyszłość? Jak to idzie dalej? Następna strofa nic nie mówi. W ogóle cały wiersz jest niejasny. Bialik nic tu nie da. Musimy spróbować z innej strony. Czekaj, niech pomyślę. Mam: hebrajskie słowo *shita* oznacza nie tylko nazwę drzewa. Znaczy również: metoda. A więc *shita* to system. Moje rozumowanie spotkałoby się z uznaniem nawet tego bufona Kleinbergera. W porządku, teraz trzeba jeszcze trochę pogłównkować. Zamknij się, Uri, próbuję się skupić. Cóż, drogi Watsonie, powiedz mi, jak odczytałbyś początek. Chodzi mi o te słowa: „Ani nocą, ani w dzień”. Czy ty nic nie pojmujesz? Naprawdę nic? Zastanów się przez chwilę. Tak się składa, że ja tego też jeszcze nie rozumiem. Ale daj mi chwilę do namysłu, a sam zobaczysz.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Nie spodziewali się nikogo. Stała w progu, ze ściągniętą twarzą, z drżącymi nerwowo ustami. Była dziwną i piękną kobietą.

Dziwny ogień 127

Podwórzowy kot jest płochym stworzeniem: dla ciepła ludzkiej ręki porzuci wszystko. Nawet u szczytu godowego podniecenia nie zrezygnuje z pieśczoły człowieka. Poruszył się, kiedy Lily go dotknęła. Lewą ręką głaskała go mocno po grzbiecie, a palcami prawej ręki delikatnie drapała pod szyją. To połączenie czułości z siłą napełniło zwierzę rozkoszą. Kot przewrócił się na grzbiet i mruczając głośno z zadowolenia, poddał brzuch delikatnym palcom. Nie przerywając głaskania, Lily przemawiała do kota:

- Ale ci dobrze, co? Teraz jesteś szczęśliwy. Nie zaprzeczaj, jesteś szczęśliwy - powiedziała po niemiecku.

Mruczając bez przerwy, kot zwięził oczy, aż zostały tylko dwie wąskie szparki.

- Spokojnie - mówiła dalej - nic nie musisz robić. Po prostu rozkoszuj się chwilą.

Futro było miękkie i ciepłe. Od czasu do czasu przebiegały po nim delikatne drżenia. Lily potarła pierścionkiem kocie ucho.

- A co więcej, jesteś głupi.

Nagle kot drgnął i poruszył się niespokojnie. Być może odgadł czy też na wpeł przeczuł to, co miało nastąpić. Otworzył żółte szparki, mgnienie oka, przelotny błysk. Jej pięść uniosła się i wzięwszy szeroki zamach w powietrzu, opadła gwałtownym ciosem prosto na koci brzuch. Zwierzę uskoczyło z przerażeniem w mrok i uderzyło o pień drzewa, w które wczepiło się pazurami. W ciemnościach kot syczał na nią z wysoka jak wąż. Futro miał zjeżone. Lily odwróciła się i poszła w kierunku domu Yardenów.

- Dobry wieczór, Yairze. Zdaje się, że jesteś wolny. I całkiem sam.

- Jest ze mną Uri, i my właśnie... Ale czy Tato nie poszedł do pani?

- To i Uri jest w domu. Zapomniałam o nim. Dobry wieczór, Uri. Jak ty urosłeś! Jestem pewna, że wszystkie dziewczęta za tobą szaleją. Nie, nie musisz zapraszać mnie do środka. Przyszłam tylko, żeby wyjaśnić pewną sprawę, Yairze. Nie miałam zamiaru ci przeszkadzać.

- Ależ, pani... Ależ, Lily, jak możesz tak mówić. Jesteś zawsze mile widziana. Wejdz. Byłem tak pewien, że wła-

9. Tam, gdzie wyją..

128 Dziwny ogień

śnie teraz siedzisz i popijasz kawę z Tata u siebie w domu, a tu nagle...

- A tu nagle twój tata znajdzie drzwi zamknięte i ciemne okna i nie zdoła pojąć, co się ze mną stało. Będzie zawiedziony i zaniepokojony, co sprawi, że nabierze niemal sympatycznego wyglądu. Szkoda, że nie ukryłam się wśród drzew w ogrodzie, skąd mogłabym go swobodnie obserwować, rozkoszując się wyrazem jego twarzy. Nic nie szkodzi. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Wiesz co, Yairze, chodźmy stąd, pójdziemy na mały spacer, jest coś, co wymaga wyjaśnienia. Tak. Właśnie dziś wieczorem. Cierpliwości.

- Co... Czy coś się stało? Czy Dina nie pojechała do Tel Awiwu albo może...

- Pojechała jak grzeczna dziewczynka i wróci jak przystało na grzeczną dziewczynkę. Ale dopiero później. Chodź, Yairze. Nie będziesz potrzebował płaszcza. Na dworze nie jest zimno. Wieczór jest przyjemny i ciepły. Musisz nam wybaczyć, Uri. Ależ ty urosłeś! Dobranoc.

Na podwórku, w pobliżu drzewa pieprzowego, odezwała się ponownie:

- Nie rób takiej zdziwionej miny. Nic strasznego się nie stało.

Lecz Yair już wiedział, że popełnił błąd. Powinien się cieplej ubrać, niezależnie od tego, co mówiła Lily. Wieczór był chłodny. A później robi się bardzo zimno. Mógł jeszcze przeprosić i zawrócić po coś cieplejszego. Sama Lily miała na sobie modny, niemal wyzywający płaszcz. Wracanie do domu po to tylko wydało mu się jednak w pewnym sensie niehonorowe, może nawet tchórzliwe. Odrzucił więc tę myśl i powiedział:

- Tak, rzeczywiście, przyjemnie tutaj.

Ponieważ Lily nie śpieszyła się z odpowiedzią, Yair zaczął się zastanawiać, czy w Jerozolimie faktycznie rosną akacje i jeśli tak, to gdzie, natomiast jeżeli nie, to może słowo *shita* należało odczytać jako klucz do czasownika *leshatot* - żartować. Kto wie, czy skarb nie jest ukryty w jednym z wadi na zachód albo na południe od Rehavii. Szkoda audycji. Teraz już nigdy nie poznam rozwiązania.

Po krótkiej chwili zdumienia, zakłopotania i pełnych niezdecydowania wewnętrznych rozterek Yosef Yarden postanowił pójść do doktora Kleinbergera. Jeśli zastanie go w domu, wejdzie, przeprosi za późną porę i nieoczekiwaną wizytę, po czym opowie przyjacielowi o całym tym dziwnym wydarzeniu. I kto by pomyślał? Wyobrażasz sobie, jakim by mnie uraczyła spojrzeniem, gdybym się spóźnił choćby o kilka minut. A tu proszę, stoję i czekam, już dziesiąta, a nawet dwie i pół minuty po dziesiątej. Przecież gdyby jej się coś przytrafiło, zadzwoniłaby do mnie. Trudno to w jakikolwiek sposób wytłumaczyć, a tym bardziej zrozumieć.

- Zdołałeś więc uniknąć trywialnej i zapewne przykłej kłótni - zauważył z uśmiechem Elhanan Kleinberger. - Za nic by ci nie ustąpiła w sprawie listy gości. Roześle zaproszenia po całym mieście i po całym uniwersytecie. Zaprosi samego prezydenta, a na dodatek burmistrza Jerozolimy. Bo tak prawdę mówiąc, Yosefie, dlaczego miałbyś od niej oczekiwać, że zrezygnuje z tego, czego ona chce, tylko po to, aby zadośćuczynić twoim życzeniom. Dlaczego by nie miała zaprosić nawet popa z żoną na wesele swojej jedynej córki? O co ci chodzi, Yosefie?

Gość zaczął cierpliwie wyjaśniać:

- Czasy są ciężkie; tak w ogóle, jak sędzę. A jak pamiętasz, przez te wszystkie lata głosiliśmy w mowie i w piśmie potrzebę „małych kroków”. Matka Yaira pragnęła cichego ślubu, tylko w gronie krewnych; jest to swego rodzaju imperatyw, przynajmniej z etycznego punktu widzenia. A... a poza tym, są jeszcze koszty. To jest, chciałem powiedzieć, kto chciałby zaciągać długi tylko po to, żeby wyprawić huczne wesele?

Doktor Kleinberger poczuł, że traci wątek. Zaparzył kawę, podał mleko i cukier. W tym miejscu skorzystał również z okazji, by dorzucić coś do swoich poprzednich uwag, dotyczących wzajemnego oddziaływania przeciwstawnych biegunów. Wkrótce konwersacja zmieniła bieg. Rozmawiali o egiptologii, dyskutowali o literaturze hebrajskiej, przeprowadzili też zjadliwą analizę poczyńań

130 Dziwny ogień

zarządu miejskiego Jerozolimy. Elhanan Kleinberger ma wyraźną skłonność do łączenia egiptologii, swojej dziedziny zawodowej, która jest jego wielkim umiłowaniem, jak sam to określa - z literaturą hebrajską, której jest on, także wedle jego własnych słów, gorącym miłośnikiem. W gruncie rzeczy, Yosef zdołał się już przyzwyczaić do tego, że jego własne poglądy bywają zagłuszane przez opinie przyjaciela, aczkolwiek on sam nigdy nie przepuścił okazji, żeby skrytykować osobliwe sformułowania, jakich używał Elhanan Kleinberger. W każdej więc dyskusji ostatnie słowo należało do Yosefa Yardeny, a nie do jego starego przyjaciela.

Gdyby nie ten ziąb, wyszliby razem na balkon, jak to mieli w zwyczaju latem, żeby podziwiać gwiazdy połyskujące nad wzgórzami. Dolina Krzyża leży po przeciwnej stronie. Stare drzewa oliwne rosną tam w gorzkim spokoju.

Z namiętym, nieopanowanym głodem drzewa oliwne zapuszczają swoje pędy w czerń ciężkiej ziemi. Korzenie przebijają skaliste podłoże, rozłupując ukryte kamienie i wysysając ciemną wilgoć. Są jak zaostrome szpony. A ponad nimi wiatr pieści srebrzystozielone korony: do nich należy pokój i chwała.

Drzewa oliwnego nie można zabić. Oliwki spalone ogniem odrastają i rozwijają się od nowa. Pospolity wzrost, niemal bezwstydnym, jakby to powiedział Elhanan Kleinberger. Nawet oliwki rażone piorunem wracają do życia, z czasem okrywając się nowym listowiem. Porastają wzgórza Jerozolimy i niewielkie pagórki na skraju Równiny Przybrzeżnej, chronią się też w przyklasztornych ogrodach, otoczonych kamiennymi murami. Wszędzie tam kolejne pokolenia węzlastych pni wykręcają zmysłowo swe mocne konary i stopniowo stają się coraz grubsze. Mają w sobie dziką żywotność jak drapieżne ptaki.

Na północ od Rehavii ciągnie się rozległe przedmieście, biedne sąsiedztwo o uroczych zaułkach. Na jednej z tamtejszych krętych uliczek rośnie stare drzewo oliwne. Sto siedem lat upłynęło od chwili, gdy ktoś zbudował tam żelazną bramę, wsparłszy jej nadproże o konar drzewa. Z biegiem lat z kolei drzewo oparło się na żelazie, które wgryzło się w pień głęboko jak szpikulec różna.

Dziwny ogień 131

Oliwka cierpliwie obrastała żelazny klin. Aż w końcu zwarła się mocno i zamknęła wokół niego. Uścisk drzewa skruszył żelazo. Drzewo zablizniło rany, a bujne listowie jego górnych konarów nie zostało nawet nadwątlone.

5

Yair Yarden to młody mężczyzna o miłej powierzchowności. Nie jest wysoki, ale ma silne ramiona oraz kształtny, proporcjonalny i muskularny tors. Ma mocny, kanciasty podbródek, z głębokim dołkiem w środku. Dziewczeta marzą w skrytości, aby dotknąć tego dołka koniuszkami palców, a niektóre nawet się rumienią lub błędą na myśl o swojej pokusie. Powiadają: „Co gorsza, wydaje mu się, że coś tam umie. A tak naprawdę jest niewiele bardziej rozgarnięty od manekina krawieckiego”.

Ramiona ma szerokie i owłosione. Byłoby błędem twierdzić, że Yair Yarden jest niezdarny, ale czuje się w nim pewną ociężałość, swego rodzaju powolność i zwalistość, widoczne w każdym jego ruchu. Lily Dannenberg określiłaby to jako „masywność”, tym samym powracając do swoich rozważań na temat nieadekwatności języka hebrajskiego, z całym jego ubóstwem niuansów. Naturalnie, Elhanan Kle-inberger mógłby z łatwością obalić podobne barbarzyńskie uwagi i w mgnieniu oka przywołać odpowiedni przymiotnik hebrajski, a nawet dwa. I jeszcze przytoczyłby hebrajskie wyrażenie, którym dałoby się zastąpić słowo „niuans”.

Całkiem możliwe, że za kilka lat owa fascynująca „masywność” Yaira Yardena zwiększy się, nadając mu kształt korpulentnego patriarchy, tak charakterystyczny dla jego ojca. Bystre oko może już dostrzec pierwsze oznaki. Jednakże teraz - Lily wcale nie zamierza ukrywać prawdy - teraz Yair jest przystojnym i pociągającym młodzieńcem. Szczególnej siły jego wyglądowni dodają wąsy: płowe, opadające i niekiedy przyprószone okruchami tytoniu. Yair studiuje na uniwersytecie ekonomię i podstawy zarządzania; cała przyszłość jest jeszcze przed nim. Nie pociągają go romantyczne awantury ani idea ki-buców i życie w przygranicznych osadach. Jego polityczne poglądy są umiarkowane; przejął je od swego ojca.

132 Dziwny ogień

Gwoli ścisłości, Yosef Yarden w sytuacji politycznej dostrzega objawy degeneracji i arogancji, tymczasem Yair widzi przed sobą szerokie perspektywy.

- Czy zechciałbyś poczęstować mnie papierosem? -spytała Lily.

- Oczywiście. Proszę bardzo, poczęstuj się, Lily.

- Och, dziękuję ci. Tak się śpieszyłam, że zostawiłam swoje w domu.

- Ognia, Lily?

- Dziękuję. Dina Yarden to nazwisko niemal tak dźwięczne jak Dina Dannenberg. Tylko odrobinę prostsze. Kiedy będziecie mieli dziecko, możecie je nazwać Dan. Dan Yarden: przypomina trochę te ballady o wielbłądach i dzwonek. Ile czasu jeszcze mi dacie... Ciekawe, jak długo potrwa, zanim zrobicie ze mnie babkę? Rok? A może mniej? Nie musisz odpowiadać. To było pytanie retoryczne. Jak się mówi po hebrajsku „pytanie retoryczne”, Yair ze?

- Nie wiem - bąknął Yair.

- Wcale się ciebie nie pytałam. To było pytanie retoryczne.

Yair z zażenowaniem podrapał się za uchem. Co ona miała na myśli? O co jej chodzi? Jest w niej coś takiego, co mi się zupełnie nie podoba. Chyba nie jest szczerą. Trudno to określić.

- Teraz pewnie się zastanawiasz, co by tu powiedzieć, i nic nie przychodzi ci do głowy. Nie szkodzi. Masz doskonałe maniery, a poza tym, o nieba, przecież nie stoisz przed komisją egzaminacyjną.

- Nie myślałem o tobie jak o komisji egzaminacyjnej, Lily. Wcale nie. To znaczy, ja...

- Bardzo spontaniczny z ciebie chłopiec. A szybkie i błyskotliwe odpowiedzi zupełnie mnie nie obchodzą. Co mnie bardziej interesuje, to twój... - jak to wyrazić - twój *esprit*. - I uśmiechnęła się w ciemności.

Przypadek zawiódł ich do głównej części dzielnicy. Dotarłszy do centrum Rehavii, skręcili na północ. Po drodze minął ich jakiś przechodzień, chudy i w okularach, najwyraźniej wyglądający na nieszczęśliwie zakochanego studenta o ekstremalnych poglądach, z radiem tranzy

Dziwny ogień 133

storowym w rękę. Yair przystanął na moment i odwrócił głowę, starając się uchwycić fragment pasjonującego programu, ale Lily mu przeszkodziła w słuchaniu. Nie na wzgórzu i nie w dolinie, gdzie rośnie stara akacja. To przez Lily wyszedł z domu bez płaszcza, a teraz było mu zimno. Nie czuł się też swobodnie. A na dodatek stracił kulminacyjny punkt audycji. Czas dowiedzieć się, o co tej kobiecie chodzi, i mieć to wreszcie za sobą.

- A więc - zaczął - w porządku, Lily. Może zechcesz mi w końcu wyjaśnić, o co ci chodzi?

- O co mi chodzi? - Wydawała się zaskoczona. - O nic. Ty i ja idziemy sobie na małą przechadzkę w przyjemny wieczór, ponieważ Dina wyjechała, a twojego ojca nie ma w domu. Rozmawiamy, wymieniamy poglądy, poznajemy się bliżej. Jest tyle rzeczy do powiedzenia. Tyle rzeczy, których ja nie wiem o tobie, i równie wiele, których ty chciałbyś się dowiedzieć o mnie.

- Powiedziałaś przedtem - zaczął Yair i podrapał się za uchem - powiedziałaś, że jest coś, co...

- Tak. To tylko formalność, a do tego mało istotna. Lecz chciałabym, żebyś ją załatwił możliwie jak najprędzej. Powiedzmy, jutro, pojutrze, najpóźniej na początku przyszłego tygodnia.

Zgasiła papierosa i odmówiła przyjęcia następnego.

Przed laty słynny architekt naszkicował plan Rehavii. Chciał nadać jej charakter spokojnego, podmiejskiego ogrodu. Wąskie, ocienione uliczki, takie jak ulica Alhari-zi, starannie utrzymany bulwar, nazwany aleją Ben Maj-mona, place, takie jak skwer Magnes, pełne zadumanego szeptu cyprysów nawet w samym środku lata. Enklawa bezpieczeństwa, swego rodzaju uzdrowisko dla uciekinierów, którzy dosyć nacierpieli się w życiu. Ulicom nadano imiona wielkich średniowiecznych uczonych żydowskich, by w ten sposób wzbogacić je o poczucie wielowiekowej tradycji, a zarazem mądrość i wiedzę.

Jednakże z biegiem czasu nowa Jerozolima rozrosła się i otoczyła Rehavię pętlą brzydkich dzielnic. Wąskie uliczki zaczął dusić nadmierny ruch kołowy. A kiedy otwarto zachodnią autostradę, a wzgórza Szejk-Badar i Naveh Shaanan znalazły się w centrum miasta i całego

134 Dziwny ogień

kraju, Rehavia przestała być podmiejskim ogrodem. Dosłownie na każdej skale wyrosły dziwaczne budynki. Małe wille uległy zniszczeniu, a na ich miejscu zbudowano kamienice czynszowe. I tak pierwotne zamierzenia zostały zniweczone przez niepohamowaną ekspansję nowego wieku i rozwój technologii.

Jedynie noce przywracają Rehavii drobną część jej zrabowanych marzeń. Drzewa, które przetrwały, czerpią z mroku nową godność, a czasem nawet zachowują się jak las. Znużeni mieszkańcy wychodzą niespiesznie ze swoich domów, by pospacerować o zmierzchu. Z Doliny Krzyża dolatuje inne powietrze, a wraz z nim gorzki zapach cyprysów i nocnych ptaków. Jakby gaje oliwne powstawszy przywędrowały aż na ulice i podwórza zabudowań. Przez okna widać w świetle lamp regały z książkami. W takich chwilach zdarza się, że kobiety grają na pianinie. Możliwe, że serca ich przepelnione są tęsknotą albo pożądaniem.

- Ten człowiek po drugiej stronie ulicy, ten, który maca chodnik laską - odezwała się Lily - to profesor Szacki. Postarzał się. Zapewne nie wiedziałeś, że profesor Szacki jeszcze żyje. Przypuszczam, że myślałeś o nim jako o kimś należącym do poprzedniego stulecia. Może i słusznie. Był niegdyś eleganckim i błyskotliwym człowiekiem, który w swoich pismach wciąż bezlitośnie nawoływał, aby wszyscy ludzie okazywali sobie miłosierdzie. Głosił, że nawet ofiara winna okazać litość swemu oprawcy. Teraz jest niewidomy.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał Yair. - Jak to się mówi, nie mieścił się w polu moich zainteresowań.

- Czy mogłabym jeszcze poprosić o papierosa... A teraz pozwól, że porozmawiamy o twoim, jak to się mówi, polu zainteresowań.

- Ależ proszę bardzo. Poczęstuj się. Jestem ciekaw, co to za formalność, o której zaczęłaś mówić wcześniej.

Zmrużyła oczy. Usilnie starała się skoncentrować. Przywołała w pamięci wszystkie te chwile bólu, jakie musiała przeżyć wiele lat przed tym, zanim ten niezdarny kawaler się urodził. Poczowała falę mdłości i niemal zmieniła zamiar. Po chwili jednak powiedziała:

Dziwny ogień 135

- Ma to związek z badaniami lekarskimi. Chciałabym, abyś przeszedł badania kontrolne tak szybko, jak to będzie możliwe, a z całą pewnością zanim oficjalnie ogłosimy wasze małżeństwo.

- Nie rozumiem - powiedział Yair, a jego ręka zawisła w pół drogi do ucha. - Nie rozumiem. Jestem całkiem zdrow. Po co mi jakieś badania?

- Chodzi jedynie o rutynową kontrolę. Twoja matka zmarła na chorobę, do której skłonność często jest dziedziczna. Nawiasem mówiąc, gdyby została przebadana we właściwym czasie, mogłaby żyć jeszcze kilka lat.

- Przechodziłem takie badania okresowe dwa lata temu, kiedy wstępowałem na uniwersytet. Powiedziano mi, że jestem zdrow jak ryba. O mojej matce wiem bardzo niewiele. Byłem wtedy mały.

- Chwileczkę, Yairze, nie rób wielkiej sprawy ze zwykłego badania lekarskiego, zgoda? Bądź dobrym chłopcem. Chcę tego, że się tak wyrażę, dla świętego spokoju. Gdybyś znał choć trochę niemiecki, podarowałabym ci w prezencie wszystkie książki na temat ekonomii, jakie Erich Dannenberg mi pozostawił. To jeszcze jedna osoba, której z pewnością nie pamiętasz. Osobny rozdział, jak to mówią. Będę musiała pomyśleć o innym prezencie dla ciebie.

Yair nic nie odpowiedział.

Idąc w górę ulicy Ibn Ezry, natknęli się na elegancko ubraną starą kobietę.

- ...Istnieje personalna więź, która łączy całe stworzenie. Bóg jest zagniewany, a człowiek tego nie dostrzega. Wszystkie czyny mają jedno znaczenie, dobre uczynki i uczynki złe. Ci, którzy idą w ciemnościach, ujrzą wielkie światło. Nie jutro - wczoraj. Szyja jest ciepła, a nóż ostry. Dla wszelkich stworzeń istnieje jedno znaczenie...

Yair cofnął się przed wariatką i przyśpieszył kroku. Lily przystanąła na chwilę bez słowa, po czym go dogoniła. Po jej twarzy przebiegł jadowy, jakby chorobliwy, grymas. I zaraz zniknął. W Jerozolimie nazywano tamtą elegancką kobietę „Jedno znaczenie”. Miała zdumiewająco niski głos i niemiecki akcent. Wariatka z Rehavii pobłogosławiła z oddali parę, która ją mijała:

- Niech będą błogosławione niebiosa nad nami i błó

136 Dziwny ogień

gosławiona woda w dole, od Dusseldorfu po Jerozolimę, jedno znaczenie dla wszelkich uczynków, dla tych, co budują, i dla tych, co burzą. Pokój, szczęście i pełne odkupienie dla was, dla uciekinierów i dla cierpiących. Pokój, pokój wszystkim, blisko i daleko.

- Pokój - wyszeptła Lily.

Aż do chwili, kiedy dotarli do Szkoły Rothschilda, nie padło między nimi ani jedno słowo. Yair zaczął nucić coś czy podśpiewywać pod nosem: „Ani nocą, ani w dzień...”, po czym urwał. Lily rzekła:

- Nie kłóćmy się o te badania, chociaż może uznasz to za kaprys. Twoja matka umarła jedynie z powodu zaniedbania, w wyniku czego twój ojciec znowu został sam, a ty stałeś się sierotą.

Yair odparł:

- Już dobrze, dobrze, po co robić z tego wielką sprawę? - Dopiero po dłuższej chwili z wolna uświadomił sobie sens czegoś, co właśnie usłyszał. Dotknął językiem końca wąsów, pochwycił okruch tytoniu i zapytał:

- Znowu? Czy powiedziałaś, że mój ojciec ponownie został sam?

Głos Lily przybrał teraz zimny i autorytatywny ton, jakim mówią urzędniczki w okienku informacyjnym:

- Tak. Druga żona twojego ojca zmarła na raka, kiedy miałeś sześć lat. Pierwsza nie umarła na raka; porzuciła go. Rozwiodła się z nim. Wkrótce sam się ożenisz i czas najwyższy, aby ojciec przestał ukrywać przed tobą podstawowe fakty, zupełnie jakbyś nadal był dzieckiem.

- Nic z tego nie rozumiem. - Yair poczuł się dotknięty. - Nie rozumiem. Twierdzisz, że mój ojciec już raz był żonaty?

Z powodu zakłopotania podniósł głos znacznie bardziej niż było to stosowne w tym miejscu i czasie. Lily zapragnęła przywrócić rzeczom właściwy wymiar.

- Twój ojciec był żonaty przez cztery miesiące - rzekła. - Z kobietą, która później poślubiła Ericha Dannen-berga.

- To niemożliwe - krzyknął Yair.

Zatrzymał się. Wyjął z paczki papierosa i włożył do ust, ale zapomniał go zapalić. Przez chwilę zapomniał też

Dziwny ogień 137

o swojej towarzyszce i dlatego jej nie poczęstował. Stał zapatrzony w ciemność, głęboko zatopiony w myślach. W końcu wykrztusił:

- No to co? Jaki to ma związek z nami?

- Bądź tak dobry - uśmiechnęła się Lily - i poczęstuj mnie jeszcze jednym papierosem. Zostawiłam swoje w domu. Masz rację. Mnie samej trudno uwierzyć, że kiedyś istniało, że w ogóle mogło istnieć takie małżeństwo. Trudno mi pojąć to, co ci przed chwilą wyjawiałam. Lecz powinieneś poznać prawdę, powinieneś dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy tej historii. A teraz, proszę, zapal nam obojgu papierosy; i mnie, i sobie. Albo lepiej daj mi zapałki, to ja je zapalę. Nie bądź taki przygnębiony. To wydarzyło się w przeszłości. Dawno temu. I trwało niespełna cztery absurdalne miesiące. Było tylko epizodem. Chodź, przejdziemy się jeszcze kawałek. Jerozolima jest cudowna o tej porze nocy. Chodź.

Yair podążył za nią na północ, pogrążony w myślach. A ją ogarnęła dzika radość. Jakiś samochód zatrafił, lecz ona tego nie zauważyła. Nocny ptak zawołał do niej, ale mu nie odpowiedziała. Przyglądała się butom ich obojga na chodniku. Wzięła zapałki z jego bezwiednie poruszających się palców, po czym zapaliła oba papierosy.

- A mnie nigdy o tym nie powiedziano - odezwał się Yair.

- No cóż, teraz ci powiedziano. To wystarczy. Uspokój się. Nie przejmuj się aż tak bardzo - powiedziała Lily miękko, jakby chciała go pocieszyć.

- Ale to jest... To takie dziwne. I w pewnym sensie, niezbyt miłe.

Dotknęła jego karku. Pogłaskała go po włosach. Jej ręka wydała się chłopcu ciepła i kojąca. Szli dalej, aż w końcu opuścili Rehavię i znaleźli się w sąsiedniej dzielnicy. Łagodne zakola ulic zmieniły się w zaułki o ostrych zakrętach. A na wprost nich wyłoniło się drzewo oliwne, które swym uściskiem kruszyło słup żelaznej bramy.

Elhanan Kleinberger i Yosef Yarden pochłonięci byli grą w szachy. Lampa w kształcie starej bawarskiej latarni

138 Dziwny ogień

ulicznej rzucała na stół mdle światło. Na grzbietach naukowych książek tańczyły złote litery, odbijając błyski jeszcze bardziej stłumione od tych, które na nie padały. Dokoła pod ścianami znajdowały się półki na książki doktora Kle-inbergera, ustawione od podłogi do sufitu, na całą długość i szerokość pokoju. Jedna z półek przeznaczona była wyłącznie na albumy znaków egiptologicznych, inna - na literaturę hebrajską, tajemną miłość Elhanana Kleinbergera. W nielicznych wolnych miejscach między rzędami książek stały afrykańskie miniatury, wazy oraz prymitywne statuetki w sposób jednoznaczny nawiązujące do erotyki. Te statuetki również służyły jako wazon-y i wypełnione były sztucznymi kwiatami, które nigdy nie więdły.

- Nie, Yosefie, nie mogę tego zrobić - rzekł doktor Kleinberger. - W każdym razie, nie masz innego wyjścia, jak tylko zamienić swojego skoczka na moją wieżę.

- Chwileczkę, Elhananie, pozwól mi się zastanowić. Wciąż jeszcze mam w tej partii małą przewagę.

- Przewagę chwilową, mój przyjacielu, przewagę chwilową - zażartował doktor Kleinberger. - Ale, oczywiście, zastanów się, bardzo proszę! Im dłużej będziesz myślał, tym lepiej zdołasz ocenić, jak nietrwała była twoja przewaga. Nietrwała i mało istotna. - Co powiedziawszy, doktor zagłębił się wygodnie w fotelu.

Yosef Yarden myślał intensywnie. Teraz muszę się skoncentrować. To, co on mówi o słabości mojej pozycji, to tylko taktyka w wojnie nerwów. Muszę się skupić. Następny ruch zadecyduje o całej grze.

- Następny ruch zadecyduje o całej grze - powiedział Elhanan Kleinberger. - Może powinniśmy ogłosić dziesięć minut przerwy i napić się herbaty?

- Makiaweliczna sugestia, Elhananie. I nie zawaham się nazwać rzeczy po imieniu: sugestia diaboliczna, której celem było odwrócenie mojej uwagi, co właśnie udało ci się osiągnąć. W każdym razie, odpowiedź brzmi: nie, dziękuję.

- Czyż nie powiedzieliśmy sobie przedtem, iż każda rzecz ma więcej niż jedną nazwę, Yosefie? Mówiliśmy o tym zaledwie parę

godzin temu. Wygląda na to, że już zapomniałeś o naszej rozmowie. A szkoda.

Dziwny ogień 140

- Właśnie zapomniałem, co zamierzałem ci uczynić. A dokładniej, twojej wieży. Zdołałeś mnie rozkojarzyć, Elhananie. Proszę, pozwól mi zebrać myśli. Popatrz, w ten sposób. Tak, ja jestem tutaj, a ty tam. I co na to powiesz, mój drogi doktorze?

- Jak na razie, nic nie powiem. Wszystko, co teraz mam do powiedzenia, to: przerwijmy na chwilę i wysłuchajmy wiadomości. Za to po wiadomościach powiem „szach, Yosefie”, a następnie powiem „szach-mat”.

Była prawie północ, kiedy dwaj przyjaciele się rozstali. Yosef zniósł swoją porażkę z godnością. Pociężył się kieliszkiem brandy, podanym mu przez gospodarza, po czym zaproponował:

- Spotkajmy się u mnie pod koniec tygodnia. Na moim terytorium poniesiesz sromotną klęskę. Masz na to moje słowo.

- I to - odparł ze śmiechem doktor Kleinberger - i to jest człowiek, który napisał dla „Socjaldemokraty” wymowny artykuł „Przeciwko polityce odwetu”. Śpij dobrze, Yosefie.

Na zewnątrz była noc i był wiatr. Nieokrzesa sowa przynaglała Yosefa do pośpiechu. Zapomniałem zatelefonować do Lily, żeby zapytać, co się stało. Lepiej poczekam z tym do jutra. Sama zadzwoni z przeprosinami, a ja nie przyjmę jej tłumaczeń. Przynajmniej nie od razu.

7

Akacja, która sekret zna, Powie, co przed sobą masz. Zapytam akacji drzewa Ach, gdzie się to moja miła Narzeczona podziewa?

Jakby nie zważając na okoliczności, natrętna melodia nie dawała Yairovi spokoju. Już gwizdał ją, nucił i śpiewał, a nadal nie mógł przestać o niej myśleć.

Lily wypytywała Yaira o profesorów, o studia, o koleżanki, które na wieść o jego małżeńskich planach wpadły pewnie w rozpacz.

141 Dziwny ogień

Yair myślał: Dość tego. Trzeba wracać. To, co ona mi powiedziała, wcale nie musi być prawdą. A nawet jeśli tak było, to co z tego? Czego ona chce? Co się z nią dzieje? Czas skończyć z tym wszystkim i iść do domu. A poza tym, zimno mi.

- A może - odezwał się od niechcienia - może powinniśmy ruszyć w stronę domu. Już późno i w powietrzu czuje się wilgoć. A na dodatek, zrobiło się chłodno. Nie chciałbym, żebyś się z mojego powodu przeziębiła.

Ujął ją za ramię, tuż nad łokciem, i zaczął delikatnie prowadzić w kierunku oświetlonego przez latarnię narożnika ulicy.

- Czy wiesz, moje drogie dziecko - zaczęła - ile cierpliwości muszą okazać mężczyzna i kobieta, by uchronić swoje małżeństwo od obrócenia się w tragedię już po kilku miesiącach?

- Ale ja myślę... Porozmawiajmy o tym w drodze do domu. Albo nawet innym razem.

- Na początku jest wyłącznie seks i tylko seks się liczy. Seks rano, w południe i w nocy, przed i po posiłkach, a nawet zamiast. A potem nagle zaczyna się mieć mnóstwo czasu na bezczynne siedzenie i rozmyślanie, a do głowy przychodzą różne myśli. Ujawniają się też, i to z obu stron, denerwujące nawyki. W takich chwilach potrzeba wiele wycucia.

- Wszystko będzie w porządku. Nie martw się. Dina i ja...

- A kto tu mówił o tobie i o Dinie? Ja mówię ogólnie. A teraz mogę dodać coś jeszcze z własnego doświadczenia. Obejmij mnie. Zmarzłam. Tak. Coś ty taki nieśmiały? Bądź dobrym chłopcem. O, tak. Teraz zamierzam powiedzieć ci coś o Dinie, a także o tobie.

- Ale ja już wiem.

- Nie, mój mały, nie wiesz wszystkiego. A według mnie, na przykład, powinieneś wiedzieć, że Dina jest zakochana w twoim zewnętrznym wyglądzie, a nie w tobie. Ona wcale o tobie nie myśli. To jeszcze dziecko. Zresztą, jak i ty. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek w życiu był przygnębiony. Nie odpowiadaj od razu. Nie, nie twierdzę, że jesteś niedojrzałym chłopcem. Wcale tak nie myślę.

Dziwny ogień 142

Uważam tylko, że jesteś silny. Prostoliniorny i silny, taki jak nasza młodzież być powinna. Proszę, podaj mi rękę. Tak. Nie zadawaj tylu pytań. Prosiłam, żebyś podał mi rękę. Tak. Tak właśnie. A teraz ściśnij, proszę, moją dłoń. Ponieważ cię o to proszę, czyż nie jest to wystarczający powód? Ściśnij. Nie delikatnie. Mocno. Mocniej. Jeszcze mocniej. Nie obawiaj się. Boisz się mnie. Nareszcie, teraz dobrze. Jesteś bardzo silny. Czy zauważyłeś, że twoja dłoń jest zimna, a moja gorąca? Wkrótce zrozumiesz dlaczego. Tylko przestań marudzić i ciągle mnie namawiać, żebyśmy wracali do domu, albo pomyślę, że poszłam na spacer z rozpieszczonym dzieciakiem, który chce tylko iść do domu i kłaść się spać. Spójrz, chłopcze, popatrz na księżyc, wyzierający zza chmur. Widzisz? Tak. Po prostu odpręż się przez chwilę całkowicie. Nic nie mów. Pssst.

W oddali słyhać niewyraźne zawodzenie szakali. Brakuje mu słów. Coś innego niż słowa toczy w nim teraz walkę, lecz nie znajduje ujścia. Z opustoszałych obrzeży miasta nadciąga porywisty, dokuczliwy wiatr, by pohulać po brukowanych uliczkach. Okna są pozamykane. Żaluzje opuszczone. Ścieki mają żelazne kratki. Długa procesja śmietników zastygła na trotuarze. Koty polują wśród kamienistych rumowisk Jerozolimy. Lily Dannenberg ma całkowitą pewność, że wszystko, co powiedziała Yairowi Yardenowi, było „pouczające”. Nie chce ponieść porażki i dlatego tak usilnie stara się nadażać za rytmem wypadków. Krew pulsuje jej w skroniach i jakiś wewnętrzny niepokój zmusza ją, by wciąż bez tchu pędzić dalej. Tutaj, między tymi domami, nie ma akacji, która pomogłaby rozwikłać zagadkę. Dwoje wędrowców wynurza się z bocznej uliczki i przechodzi przez rynek Macha-neh Yehuda w kierunku ulicy Jaffa. Tam Lily prowadzi młodego człowieka do taniej kafejki dla nocnych taksówkarzy.

W świetle elektrycznym ćmy opalają sobie skrzydła na znak miłości do żółtej żarówki. Pani Dannenberg zamawia czarną kawę bez cukru i bez sacharyny. Yair prosi o kanapkę z serem. Waha się, po czym zamawia jeszcze mały kieliszek brandy. Ona kładzie dłoń na jego szerokiej, opalonej ręce i uważnie liczy jego palce. On w lek

143 Dziwny ogień

kim oszołomieniu odpowiada uśmiechem. Lily bierze go za rękę i podnosi jego palce do warg.

8

W tej kafejce dla taksówkarzy w pobliżu rynku Ma-chaneh Yehuda bywał pewien kierowca, olbrzym o imieniu Abbu. Sypiał za dnia. O północy jak niedźwiedź budził się i wychodził z domu, żeby buszować po swoim królestwie, którym była ulica Jaffa. Wszyscy taksówkarze skwapliwie mu ustępowali, gdyż był to twardy i silny, choć zarazem dobroduszny facet. W owej chwili siedział właśnie przy jednym ze stolików z kilkoma młodszymi kolegami, pokazując im, jak rzucać kostką w trik-traku. Na widok Yaira i Lily, wchodzących do kafejki, Abbu odezwał się do swoich młodych kompanów:

- Oto nadchodzi królowa Saba z królem Salomonem. A kiedy Yair nie odpowiedział, Lily zaś tylko się uśmiechnęła, dodał:

- Mniejsza o to! Najważniejsze, żebyśmy zdrowi byli. Hej, paniusiu, pozwalasz dzieciakowi pić brandy?

Pozostali taksówkarze odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Właściciel kafejki, gruźlik i melancholik, również się odwrócił, by móc lepiej widzieć to, co się wydarzy.

- A co się ciebie tyczy, chłopcze, to niech mnie diabli porwą, jeśli rozumiem, w co ty grasz. O co tu chodzi, czy dzisiaj mamy Dzień Babci? Ucztę swojej babce fundujesz czy jak? Co ci strzeliło do głowy, żeby kręcić się po nocy z takim przestarzałym modelem?

Z płonącymi uszami Yair zerwał się na równe nogi, gorliwie gotując się do walki o swój honor. Lily jednak pociągnęła go z powrotem na miejsce, a kiedy przemówiła, jej głos był ciepły i radosny.

- Są takie modele, za które doświadczony mężczyzna z dobrym gustem chętnie sprzedałby duszę, i nie tylko duszę, ale też dowolną liczbę tych dzisiejszych nowomodnych zabawek, całych ze stali i szkła.

- Trafiony! - krzyknął Abbu ze śmiechem. - No, a co by paniusia powiedziała na to, żeby pójść teraz do mnie i trochę się zabawić z kimś bardziej doświadczonym i zna

Dziwny ogień 144

jącym się na rzeczy? Po co włóczyć się z takim młokosem?

Yair zerwał się ponownie z nastroszonymi wąsami. Lily po raz kolejny go ubiegła, nie dopuszczając do awantury. W jej oczach tańczyło jakieś zagadkowe światło.

- Co się z tobą dzieje, Yairze? Ten dżentelmen nie zamierzał mnie obrazić, tylko sprawić mi przyjemność. On i ja myślimy bardzo podobnie. A więc nie złość się, tylko siadaj i ucz się, jak należy mnie uszczęśliwiać. Teraz jestem szczęśliwa. - I w poczuciu swego szczęścia rozwiedziona kobieta przyciągnęła Yaira do siebie i ucałowała go w dołek w środku brody. Powoli, jakby miał zemdleć na widok tej czulej sceny, Abbu rzekł:

- Panie zastępów niebieskich, gdzież, ach, gdzie się paniusia podziwiała przez cały ten czas i gdzie ja wtedy byłem?

Lily odparła:

- Dzisiaj jest Dzień Wnuka. Lecz może jutro albo pojutrze babci będzie potrzebna taksówka, a dziadek znajdzie się gdzieś w pobliżu albo może sam odkryje, gdzie królowa Saba zasiada na tronie, i przyjdzie złożyć jej w dani małpy i papugi. Chodź, Yairze, idziemy. Dobranoc panu. Było mi bardzo miło pana poznać.

Kiedy w drodze do drzwi przechodzili koło stolika taksówkarzy, Abbu mruknął tonem pełnej uszanowania grozy:

- Wracaj do domu, młodzieńcze, wracaj do domu i kładź się spać. Na Wszechmocnego, nie wart jesteś nawet, by dotknąć koniuszka jej małego palca.

Lily uśmiechnęła się.

A Yair, już na ulicy, zawołał z gniewem:

- Co za banda zbirów. I dzikusów.

9

Koniuszki jej drobnych palców wpijały mu się w ramię.

- Teraz i mnie jest zimno - przyznała - i chcę, żebyś mnie wziął w ramiona. Naturalnie, jeśli już wiesz, jak powinienes brać mnie w ramiona.

Yair objął ją z gniewem i zawstyżeniem, uczuciami, które jego ruchom przydały gwałtowności.

10. Tam, gdzie wyją.

145 Dziwny ogień

Lily powiedziała:

- Tak. Tak jest dobrze.

- Jednak... W każdym razie, myślę, że czas już zawrócić i ruszyć w stronę domu. Zrobiło się późno - rzekł, kciukiem i palcem wskazującym nieświadomie ściskając sobie płatek ucha. Czego ona jeszcze ode mnie chce? O co jej chodzi?

- Teraz już za późno, żeby wracać do domu - wyszeptała. -1 dom jest pusty. Co zastaniesz w domu? Nic tam nie ma. Fotele. Obrzydliwe fotele. Krzesła Ericha Darmenber-ga. Doktora Kleinbergera. I twojego ojca. Wszystkich tych nieszczęśników. To nie dla nas. Tutaj, w mieście, może cię tyle spotkać, tu możesz odczuć, co tylko zechcesz. Sowy rzucają na księżyc swoje uroki. Chyba nie zamierzasz mnie teraz zostawić samą, nocą, na środku ulicy, na pastwę dzikich zbirów-taksówkarzy i tych sów. Musisz zostać, żeby mnie bronić. Nie, ja nie mówię od rzeczy, ja rozumiem całkiem racjonalnie, a poza tym, skostniałam na śmierć. Nie odchodź i przestań wreszcie mówić, hebrajski to taki retoryczny język, nic tylko Biblia z komentarzami. Nie mów już do mnie ani słowa więcej po hebrajsku, w ogóle nic więcej nie mów. Tylko mnie przytul do siebie. Mocno. O, tak. Proszę, nie uprzejmie, proszę cię, nie delikatnie, przytul mnie tak, jak gdybym chciała ci się wyrwać, drapiąc i kłapiąc, a ty nie chcesz mi na to pozwolić. Cicho. I ta przeklęta *Eule* też może się zamknąć, ponieważ ja teraz nic nie usłyszę ani nie zobaczę, ponieważ ty zasłoniłeś mi głowę i uszy i zakneblowałeś usta, i przytrzymujesz mi ręce z tyłu, ponieważ ty jesteś znacznie silniejszy, ponieważ ja jestem kobietą, a ty mężczyzną.

10

Kiedy to mówiła, szli przez dzielnicę Makor Baruch w kierunku koszar Schnellera i dalej polną drogą, która wiodła do ogrodu zoologicznego, znajdującego się w północnej Jerozolimie, pomiędzy miastem a terytorium nieprzyjaciela.

Z poszukiwania skarbu nic nie wyszło. Hasła ze starą akacją nikt nie odczytał poprawnie i skarbu nie odnale

Dziwny ogień 146

ziono. Kiedy Yosef Yarden wrócił z wizyty u doktora Kle-inbergera, Uri spał zwinięty w kłębek na fotelu. W domu panował nieład. Pośrodku stołu leżał otwarty tom poezji Bialika. Palily się wszystkie światła. Yaira nie było w domu. Yosef Yarden obudził młodszego syna i zbesztawszy go, wysłał do łóżka. Pewnie Yair wyszedł na dworzec po swoją narzeczoną. Jutro przyjmę przeprosiny Lily za jej nieobecność dzisiejszego wieczoru. Będzie się musiała gęsto tłumaczyć, zanim w końcu uznam jej wyjaśnienia i wszystko wybaczę. A co gorsza, pokłóciłem się z Klein-bergerem. Naturalnie, ostatnie słowo należało do mnie, ale muszę przyznać, że zostałem pokonany zarówno w dyskusji, jak i w partii szachów. Tego wymaga uczciwość. Nie wierzę, żeby nasze nieszczęsne stronnictwo kiedykolwiek zdołało otrząsnąć się z depresji i apatii. Niemoc ducha i słabość woli obróciły wniwecz dobre chęci. Wszystko stracone. No, a teraz najwyższy czas iść do łóżka, żebym jutro nie spał z otwartymi oczami jak większość ludzi. Jeśli jednak zaraz zasnę, Yair wróci do domu i narobi hałasu, a ja potem nie zmrużę oka aż do rana, co będzie oznaczało kolejną okropną noc. Któż to tak krzyczy za oknem? Nie, nikt nie krzyczy. Może to jakiś ptak.

Doktor Elhanan Kleinberger również zgasił światło w swoim pokoju. Stał w jego rogu, zwrócony twarzą do ściany, plecami do drzwi. Radio nadawało nocną muzykę. Wargi uczonego poruszały się bezgłośnie. Szeptem próbował odnaleźć właściwe słowo do lirycznego wiersza. Nikt się nawet nie domyślał, że pisywał on poezje. Po niemiecku. Ów żarliwy miłośnik literatury hebrajskiej i obrońca honoru tego języka, w tajemnicy tworzył swoje wiersze w języku niemieckim. Możliwe, że właśnie dlatego ukrywał to, co robił, nawet przed najbliższym przyjacielem. Sam czuł, że popełnia grzech, a na domiar złego winien jest hipokryzji.

Poruszając wargami, starał się ująć myśli w słowa. Zabłąkany promień światła zamigotał pośród ciemnych półek. Przez moment błysk tego światła zatańczył na szklach okularów doktora, nadając jego twarzy wyraz szaleństwa czy też skrajnej rozpacz. Na dworze jakiś

147 Dziwny ogień

ptak zaskrzeczał ze złośliwą radością. Powoli, z wielkim bólem rzeczy nabierały kształtu. Nadal istniały też rzeczy, dla których brakowało słów. Wątle ramiona starego człowieka zaczęły drżeć z dławiącego pragnienia. Lecz odpowiednie słowa nie przychodziły; prześlizgiwały się jedynie obok, a następnie rozwiewały jak przejrzyste zasłony, jak zapach, jak tęsknota, których nie sposób pochwycić w dłonie. Zrozumiał, że nie ma dla niego nadziei.

Wówczas ponownie zapalił lampę. Nagle poczuł zajadłą nienawiść do afrykańskich ornamentów i erotycznych wazonów. I do słów.

Wyciągnął rękę i bez zastanowienia wziął z półki jeden z tomów naukowych. Na oprawnej w skórę okładce tytuł zaśnił złotymi literami: „Demony i duchy w starożytnym rytuale chaldejskim”. Słowa to ładacznice, które wiecznie zdradzają człowieka, umykając bezpowrotnie w nicość, a jego dusza usycha za nimi z tęsknoty.

ii

Ostatni las. W lesie tym znajduje się jerozolimski Biblijny Ogród Zoologiczny, który od północy wyznacza granicę między Jerozolimą a nieprzyjacielskimi osadami, tuż za linią zawieszenia broni. Przez niespełna cztery miesiące Lily była żoną Yosefa Yardena, który był wtedy czarującym młodzieńcem, pełnym marzeń i ideałów. Cała ta historia wydarzyła się wiele lat temu, a mimo to nadal rodzi ból. Tak to się bowiem dzieje, że ciało przechowuje urazy, podobnie jak księżyc świeci ze spokojem i chłodnym zuchwalstwem na mrocznym niebie.

W ogrodzie zoologicznym panuje pełna napięcia cisza.

Zwierzęta drapieżne śpią, chociaż ich sen nie jest głęboki. Nigdy nie zdołają całkowicie uwolnić się od zapachów i dźwięków, które przynosi wiatr. Noc wdziera się bezustannie w ich spoczynek, chwilami wrywając im z piersi ciche warknięcia. W mroźnych podmuchach sierść jeży im się na grzbiecie. Nerwowe drżenie powraca falami: są w nim panika i strach. Nieufne, wilgotne nozdrza badają nocne powietrze, łowiąc nieznaną wonie. Wszystko wokół pokrywają skroplone opary wody. Szumiące cyprysy wzdychają

Dziwny ogień 148

spokojnie ze smutkiem. Igły sosen szepczą, przeszukując ciemność, spragnione czarnej rosy.

Od strony wilczej klatki dolatuje jakiś hałas. To para podnieconych wilków, pożądających się wzajemnie w mroku. Samica kąsa swego towarzysza, czym wzmaga jeszcze jego żądzę. U szczytu namiętności dolatuje ich krzyk ptaków i gniewny pomruk żbika.

Nad dolinami unosi się błękitnawa mgła. Za linią granicy migoczą dziwne światła. Księżyc próbuje roztoczyć swój blask, ale zaraz cofa się, urzeczony bielą skał, które są jak nowotwory połyskliwego jadu w promieniach chorobliwej, odwiecznej poświaty.

Obłąkane szakale wędrują przez kotliny. Z mrocznych gajów nawołują swoich braci w klatkach. Oto jest ziemia z koszmarne snu, a poza nią leżą może owe ogrody, których nikt nigdy nie widział, lecz ku którym rwie się serce, jakby chciało ze szlochem zawołać: „Do domu”.

Z głębi swego przerażenia unieś wzrok ku górze. Spójrz na wierzchołki sosen. Krąg szarego światła spowija korony drzew darem łaski. Tylko skały są suche jak śmierć. Daj im znak.

1964

'Micha Josef Berdyczewski, pseud. Bin Gorion (1865-1921) -żydowski pisarz, eseista i filozof, tworzący w języku hebrajskim, jidysz i niemieckim, potomek chasydzkich robotników, pochodził z Podola, mieszkał we Wrocławiu i Berlinie. W twórczości wiele miejsca poświęcił konfliktowi nowych idei z tradycyjnym judaizmem.

² **Chaim Nachman Bialik (1873-1934) - żydowski pisarz, eseista i tłumacz, tworzący w języku hebrajskim. Urodzony na Wołyniu, mieszkał w Odessie i Berlinie; od 1924 w Palestynie. Uważany za odnowiciela poezji hebrajskiej (przyp. tłum.).**

Wydrążony kamień

1

Nazajutrz rano wyszliśmy na dwór, żeby oszacować szkody. Wichura zniszczyła plony. Kruche pędy oziminy zostały zmiecione z pól niby gigantycznym odkurzaczem. Sadzonki były powyrywane z korzeniami. Stare drzewa leżały poskręcane od pocałunków straszliwego wschodniego wiatru. Smukłe cyprysy zwisały bezwładnie z przetrąconym kręgosłupem. Aleja wspaniałych palm, posadzonych na północ od kibucu przez założycieli naszego ruchu kibucowego, kiedy trzydzieści lat temu po raz pierwszy przybyli na te jałowe wzgórza, teraz przegrała z wichrem walkę

0 swe korony: nawet niema uległość nie zdołała ich uchronić przed furją tego huraganu. Błazniane dachy na szopach

1 oborach zostały zerwane. Kilka starych chałup było zburzonych do fundamentów. Wiatr potrzaskał też okiennice, które przez całą noc wystukiwały rozpaczliwe błagania o pomoc. Wycie, krzyki i jęki napełniły ciemność. Ze świtem nastąpiła cisza. Potykając się o połamane przedmioty, wychodziliśmy z domów, żeby ocenić szkody.

- To niezrozumiałe - stwierdził Feliks. - Przecież jest wiosna.

- Tajfun. Tutaj. Prawdziwe tornado - dodał Zeiger, z mieszaniną przerażenia i dumy.

A Weissmann podsumował:

- Straty będą sześciocyfrowe.

Wydrążony kamień 150

Postanowiliśmy natychmiast zwrócić się o pomoc do rządu i do ruchu kibucowego. Uznaliśmy za konieczne dać ogłoszenie, że na kilka dni potrzebujemy specjalistów do pracy na ochotnika. I doszliśmy do wniosku, że nie wolno nam tracić ducha, tylko z miejsca brać się do roboty. Stawimy czoło temu wyzwaniu, jak to robiliśmy już tyle razy w przeszłości, i nie damy się zniechęcić - w tym tonie Feliks miał pod koniec tygodnia napisać do kibucowej gazetki - a ponad wszystko musimy zachować jasność umysłu.

Co się tyczy jasności, tego ranka mogliśmy tylko podziwiać wypolerowany błękit nieba. Od bardzo dawna nie było tak czystego nieba jak owego dnia, kiedy potykając się o połamane przedmioty, wyszliśmy o świcie z domów, żeby oszacować szkody.

2

Spokój przejrzysty jak kryształ opanował wzgórza. Daleko na wschodzie, na szczytach gór lśniło wiosenne słońce, łagodne i niewinne, a ponad nimi unosiły się podniecone chóry ptaków. Żadnego powiewu ani śladu pyłu w powietrzu. Oglądaliśmy systematycznie całą farmę, dyskutując, robiąc notatki, podejmując decyzje, na bieżąco wydając instrukcje. Nie traciliśmy słów. Rozmawialiśmy rzeczowo i niemal uroczyście.

Poszkodowani: stary Niewidomski, stróż nocny, lekko ranny od uderzenia spadającej belki; zgodnie z diagnozą lekarza w szpitalu okręgowym, ma zwichnięte ramię, ale wszystkie kości całe. Elektryczność: przewody zerwane w różnych punktach; należy odciąć dopływ prądu, zanim pozwoli się dzieciom wyjść na dwór, a następnie sprawdzić uszkodzenia. Woda: zalane podwórze na farmie i brak wody w żłobku. Wyżywienie: w dniu dzisiejszym suchy prowiant i lemoniada. Transport: popsuty jeden dżip, uszkodzonych kilka traktorów; na razie stan niemożliwy do określenia. Łączność: oba telefony nieczynne. Pojechać furgonetką do miasta, żeby zasięgnąć informacji o tym, co działo się gdzie indziej i co świat zewnętrzny wie o naszym położeniu.

151 Wydrążony kamień

Feliks dopilnował wysłania furgonetki, po czym poszedł do żłobka. Stamtąd ruszył do obór i kurników. Następnie zajrzał do szkoły, gdzie wydał polecenie, żeby lekcje zostały wznowione nie później niż o dziesiątej, „bezw warunkowo”.

Feliksa wprost rozsadała żarliwa energia, wprawiając w drżenie jego drobne, mocne ciało. Okulary wetknął do kieszeni koszuli. Twarz przybrała nowy wyraz - bardziej generała niż filozofa.

Na podwórzu farmy tłoczyły się kury, które dziobały bez troski tu i tam, zupełnie jak zacofane kurczaki w zacofanej wiosce, niepomne na to, że urodziły się i wychowały w klatkach i inkubatorach.

Żywy inwentarz przejawiał lekkie oznaki szoku: krowy bezustannie podnosiły niemądre łby w poszukiwaniu dachu, który został zerwany przez wiatr. Od czasu do czasu wydawały przeciągły, żalony ryk, jakby chciały ostrzec przed nadejściem jeszcze gorszych rzeczy. Wielki słup telegraficzny upadł na dom Batji Pińskiej i zbił kilka dachówek. Do godziny ósmej pięć podczas montowania tymczasowej linii elektrycy podeptali wszystkie klomby Batji. Uznano, że pierwszeństwo w przywróceniu dostaw prądu powinny mieć żłobek i przedszkole, inkubatory dla kurczaków oraz kotły parowe, dzięki którym będzie można przygotowywać ciepłe posiłki. Feliks poprosił o przyniesienie mu radia tranzystorowego, gdyż chciał śledzić rozwój wypadków w innych rejonach. Może należałoby zajrzeć do Batji Pińskiej, a także do jednego czy dwóch chorych i starców, uspokoić ich i dowiedzieć się, jak znieśli okropności ostatniej nocy. Lecz obowiązki towarzyskie musiały trochę poczekać, aż ważniejsze zarządzenia zostaną wykonane. Na przykład kuchnie zgłosiły przeciek gazu, którego źródła nie dało się ustalić. W każdym razie, do kogoś takiego jak Ba-tja Pińska nie można było tak po prostu wpaść na krótką pogawędkę; zaraz by się zaczęły długie rozmowy, narzekania, krytyczne uwagi, wspomnienia, a ten ranek był akurat najmniej odpowiedni na tak nierozsądną pobłażliwość.

W wiadomościach radiowych podano, że nie był to żaden tajfun ani tornado, tylko jakieś lokalne zjawisko at

Wydrążony kamień 152

mosferyczne. Sąsiednie osiedla pozostały niemal nietknięte. Dwa przeciwne wiatry spotkały się nad naszymi wzgórzami, a wywołana przez nie burza wyrządziła lokalne szkody. Tymczasem zaczęli się pojawiać pierwsi ochotnicy, a wraz z nimi tłum gapiów, reporterów i sprawozdawców radiowych. Feliks oddelegował trzech chłopców i żwawego emerytowanego nauczyciela, aby przy głównej bramie do kibucu tamowali napływ intruzów, którzy pod żadnym pozorem nie powinni nam się plątać pod nogami. Wolno było wpuszczać tylko osoby przyjeżdżające w sprawach urzędowych. Przewrócony słup telegraficzny został już prowizorycznie umocowany stalowymi linami. Dostawa prądu do najważniejszych obiektów miała być wkrótce wznowiona. Okazało się, że Feliks świetnie umie łączyć zalety teoretyka i człowieka czynu. Oczywiście, nie robił wszystkiego sam. Każdy z nas spełniał swoją rolę, jak umiał najlepiej. Zamierzaliśmy pracować tak długo, jak było trzeba, żeby życie powróciło do normy.

3

Zapoczone szyby i syk piecyka naftowego. Batja Pińska łapała muchy. Jej ruchliwość zadawała kłam jej latom. Gdyby Abrasza żył i starzał się wraz z Batją, jego kpiny z pewnością zmieniłyby się w zdziwienie, a nawet czułość: z biegiem czasu nauczyłby się nie tylko ją rozumieć, ale i doceniać. Ale Abrasza poległ wiele lat temu w wojnie domowej w Hiszpanii, dokąd pojechał jako ochotnik, by dołączyć do tych nielicznych, walczących za słuszną sprawę. Wciąż jeszcze mamy w pamięci mowę, jaką Feliks ułożył na cześć swego towarzysza i przyjaciela z lat dziecińczych; był to rzeczowy, wzruszający tekst, wolny od retorycznych hiperboli, przepojony udręką i wiarą, pełen miłości i polotu. W tej chwili wdowa po Abraszy zgniatała schwymane muchy między kciukiem i palcem wskazującym. Jednakże umysł miała zaprzątnięty czym innym i dlatego niektóre muchy ciągle się kręciły, nawet po wrzuceniu ich do emaliowanego kubka. W pokoju panowała absolutna cisza. Można było usłyszeć odgłos miażdżonych w palcach much.

153 Wydrążony kamień

Dawne artykuły Abraszy Pińskiego były obrazem czasu. Dzięki energicznym zabiegom Feliksa, wydawnictwo ruchu kibucowego uznało potrzebę publikacji tomu artykułów, napisanych przez Abraszę w latach trzydziestych. Teksty te nie straciły nic ze swej aktualności. Wręcz przeciwnie, im dalej odchodziliśmy od ideałów, które przyświecały nam w tamtych dniach, tym pilniejsze wydawało się przeciwstawienie się zapomnieniu. A poza tym ostatnio pojawiła się swego rodzaju nostalgia za atmosferą lat trzydziestych, co rokowało książce stosunkowo duży rynek zbytu. Nie mówiąc już o modzie na wspomnienia z hiszpańskiej wojny domowej. Feliks obiecał napisać przedmowę. Książka miała zawierać również dziewięć listów, wysłanych przez Abraszę z obleżonego Madrytu do pełnej zaangażowania grupy socjalistów w Palestynie.

Batja Pińska kroїła scyzorykiem martwe muchy na dnie kubka. Ostrze drapało po emalii, wydając zgrzytliwy dźwięk.

Na koniec stara kobieta podniosła szklaną pokrywę i wsypała masę ze zmiażdżonych much do akwarium. Zwinne, kolorowe rybki gromadzą się z przodu pojemnika i falując ogonami, łapczywie otwierają i zamykają pyszczki. Na widok ich ożywionych ruchów i magicznych barw, wdowa rozpromienia się, dając upust wyobraźni.

Ryby to fascynujące stworzenia: są zarazem zimne i żywe. Cóż za uderzający paradoks. Tak pewnie wygląda najbardziej upragniona forma szczęścia: być zimnym, a jednak żywym.

Przez lata Batja Pińska rozwinęła zadziwiająca umiejętność. Potrafi policzyć ryby w swoim akwarium, w sumie czterdzieści czy pięćdziesiąt, pomimo ich nieustannego ruchu. Niekiedy umie nawet z góry przewidzieć, którądy dana ryba czy ławica popłynie: wszystkie te koła, spirale i zygzaki, nagłe kapryśne skrety, skoki i zanurzenia, i płynnymi liniami kreślone w wodzie delikatne i zawile arabeski.

Woda w naczyniu jest przezroczysta. Jeszcze bardziej przezroczyste są ciała ryb. Przejrzystość pogrążona w przejrzystości. Ruch płetw jest ruchem najlżejszym

Wydrążony kamień 154

z możliwych, aż niemal przestaje być ruchem. Skrzela drgają niewiarygodnie lekko. Ryby są czarne i prążkowane, czerwone jak krew, chorobliwie fioletowe albo zielonkawe jak stojąca woda wpuszczona do świeżej wody. A wszystkie wolne. Żadna z nich nie podlega prawu ciężenia. Rządzi nimi inne prawo, którego Batja nie zna. Abrasza na pewno potrafiłby je odkryć, gdyby nie to, że wola! oddać życie na jakimś dalekim polu bitwy.

4

Wodorosty i rozrzucone kamyki wywołują złudzenie głębokości. Zielona cisza podwodnej dżungli. Odłamki skał na dnie. Korallowe kolumny oplecione wijącymi się pędami. A w głębi naczynia, na pagórku z piasku - kamień z otworem.

W przeciwieństwie do ryb, rośliny i kamienie w akwarium podlegają prawu ciężenia. Ryby nieustannie opadają w dół, ocierając się o rafy i zarośla albo skubiąc je raz po raz. Zdaniem Batji Pińskiej, jest to dowód nieznośnej żarłoczności.

Kiedy procesja krwistoczerwonych ryb zbliża się do wydrążonego kamienia, Batja Pińska opiera rozpalone czoło o chłodną tafelę szkła. Przepływanie żywych ryb przez martwy kamień porusza w niej gdzieś głęboko jakąś utajoną siłę, aż Batję przebiega dreszcz. W takich chwilach z trudem powstrzymuje się od łez. Sięga do kieszeni starego szlafroka po list. List jest pognieciony i niemal całkowicie wyblakły, lecz w jego słowach nadal brzmi życzliwość i współczucie.

Czuję - pisał Abramek Bart, jeden z dyrektorów wydawnictwa ruchu kibucowego - że gdybyśmy zachowali się nielojalnie wobec drogiej pamięci naszego Abraszy, tym samym skrzywdzilibyśmy dusze naszych dzieci. Młode pokolenie potrzebuje, wręcz zasługuje na to, aby odkryć przed nim perły mądrości, zawarte w esejach i listach naszego kochanego Abraszy. Wkrótce przyjadę, żeby się z Wami zobaczyć i przetrząsnąć, oczywiście w cudzysłowie, Wasze stare papiery. Jestem pewien, że Wasza pomoc może być wielce przydatna w porządkowaniu Jego spuścizny, jak również w przygoto

256 Wydrążony kamień

waniu dzieła do wydania. Z bratnim pozdrowieniem, szczerze oddany, podpisane przez jakąś Ruth Bardor w imieniu Abramka Barta.

Stara kobieta podnosi kopertę do nosa. Przez chwilę wacha ją z zamkniętymi oczami. Jej rozchylone usta ukazują szczyrby między zębami. Drobną kropelka zawisała pomiędzy nosem a górną wargą, w miejscu, gdzie lekki wąsik zaczął jej rosnać podczas tamtych złych lat. Batja wkłada list z powrotem do koperty, a następnie kopertę do kieszeni. Nagle czuje takie zmęczenie, że musi odpocząć w fotelu. Nie potrzebuje długiego odpoczynku. Wystarczy jej kilka minut drzemki. Gdy tylko jakaś ocalała mucha zaczyna bzykać, Batja zrywa się natychmiast, znów gotowa do polowania.

Przed laty Abrasza potrafił podejść i ukąsić. Miłość i nienawiść. Rzucił się i opadał na nią, po czym w jednej chwili znów był roztargniony, nieobecny, nie z nią.

Pewna pieśń, śpiewana bezwstydnie fałszującym, rosyjskim basem, nie schodziła mu z warg na wiele miesięcy przed jego odjazdem. Był to hymn hiszpańskich bojowników o wolność, pełen tęsknoty, żarliwości i buntu. Pamiętała bardzo dobrze tę melodię, która wciągała ich ubogą izbę w wir przemożnych sił, podczas gdy Abrasza, odliczając na palcach jedno po drugim, wymieniał krwawiące miasta hiszpańskie, zdobyte przez wrogów rodzaju ludzkiego. Dla Batji ich obco brzmiące nazwy niosły w sobie posmak nieokiełznanej rozpusty. W głębi duszy nie lubiła Hiszpanii i nie życzyła jej dobrze; ostatecznie, to przecież tam palono naszych przodków na stosie i to stamtąd ich wypędzono. Zachowywała jednak spokój. Abrasza rozprawiał o implikacjach walki, tłumacząc, jakie było jej znaczenie dialektyczne oraz miejsce w ostatecznej rozgrywce, w którą zaangażowała się cała Europa. Uważał, że każda wojna to pułapka i oszustwo; jedynie wojna domowa warta była tego, by na niej ginąć. Batja lubiła się temu wszystkiemu przysłuchiwać, chociaż nie mogła i nie chciała nic zrozumieć. I dopiero kiedy dochodził do punktu kulminacyjnego swojej przemowy - wtedy gdy opisywał żelazne prawa historii i przepowiadał upadek reakcji, który miał nadejść jak grom z ja

Wydrążony kamień 156

snego nieba - nieoczekiwanie pojmowała, o czym mówił, ponieważ widziała ten grom w jego oczach.

A on nagle miał jej dosyć. Może dostrzegał umęczony wyraz jej twarzy, a może uderzała go przelotna myśl o jej własnych pragnieniach. Wówczas siadał przy stole i oparłszy dużą, kanciastą głowę na masywnych rękach, zatapiał się w lekturze gazety, w roztargnieniu zjadając oliwkę za oliwką i układając pestki w porządnym stosik.

5

Czajnik wściekle gwizdże, przekroczywszy punkt wrzenia. Batja Pińska wstaje i idzie zaparzyć sobie herbatę. Od chwili gdy wiatr ucichł, mniej więcej o czwartej nad ranem, piła herbatę szklanka za szklanką. Wciąż jeszcze nie wyszła z domu, żeby obejrzeć szkody. Nawet nie próbowała otworzyć okiennic. Siedzi za zaciągniętymi zasłonami i wyobraża sobie całe zniszczenie w najdrobniejszych szczegółach. Co tam jest do oglądania? Wszystko staje jej przed oczyma jak żywe: potrzaskane dachy, stratowane klomby, powyrywane drzewa, martwe krowy, Feliks, hydraulicy, elektrycy, eksperci i gapie. Same nudy. Teraz musi zająć się rybami, bo przecucie jej mówi, że potem przyjedzie Abramek Bart. Zazwyczaj bez wahania polegała na swojej intuicji. W ogóle człowiek potrafi przewidzieć różne rzeczy, jeśli tylko naprawdę mocno się postara i bez obawy przyjmie to, co może się wydarzyć. Abramek zjawi się dzisiaj, żeby zobaczyć to całe spustoszenie. Przyjedzie, bo nie będzie mógł pohamować swojej ciekawości. Pewnie jednak nie zechce przyjechać tak po prostu, jak inni nicponie, którzy zawsze się zbiegają na miejscu katastrofy. Spróbuje znaleźć jakąś wymówkę. A wtedy raptem przypomni sobie o obietnicy danej Batji, że któregoś dnia wpadnie do niej, ponieważ musi poszperać w papierach Abraszy i wybrać teksty do druku. Minęło właśnie wpół do dziewiątej. A on nie zjawi się tu wcześniej niż między drugą a trzecią. Jest jeszcze czas. Wciąż mnóstwo czasu, żeby się ubrać, ułożyć włosy, posprzątać pokój. I przygotować jakiś poczęstunek. Dość czasu, żeby sięść w fotelu i spokojnie wypić sobie herbatę.

157 Wydrążony kamień

Usiadła w fotelu naprzeciwko kredensu, pod żyrandolem. Na podłodze leży gruby perski dywan, a tuż obok fotela stoi hebanowy stolik do gry w karty. Gdyby Abrasza wrócił, zdziwiłby się na widok tych pięknych przedmiotów. Z drugiej strony, gdyby wrócił dwadzieścia lat temu, do tej pory zdążyłby już wspiąć się wysoko zarówno po drabinie partyjnej, jak i w ruchu kibucowym; zostawiłby tych całych Feliksów i Abramków daleko w tyle i teraz byłby już ambasadorem albo ministrem, a ona byłaby otoczona meblami stokroć piękniejszymi. Lecz on zdecydował się iść i umierać za Hiszpanów, a meble kupił dla niej Martin Złotkin, jej zięć. Po ślubie z Ditzą przywiózł wszystkie te prezenty, po czym zabrał pannę młodą ze sobą do Zurychu, gdzie odtąd zarządzał oddziałem banku swego ojca, z filiami na trzech kontynentach. Ditza prowadziła grupowe medytacje zen i co miesiąc przysyłała list z odbitą na powielaczu kopią broszury w języku niemieckim, nawołującą do pokory i spokoju ducha. O wnukach nie było mowy, ponieważ Martin nie znosił dzieci, a sama Ditza nazywała go „naszym dużym dzieckiem”. Raz do roku przyjeżdżali z wizytą, a wtedy zawsze hojnie wspierali różne cele dobroczynne. Kibucowi, na pamiątkę Abraszy Pińskiego, ofiarowali księgozbiór poświęcony teorii socjalizmu. Jeśli chodzi o Martina, to socjalizm był dla niego tym, czym były powozy konne: czymś bardzo ładnym i zajmującym, ale nie na miejscu w dzisiejszych czasach, w obliczu innych, znacznie ważniejszych problemów.

6

W przeddzień wyjazdu Abraszy Ditza zachorowała na zapalenie płuc. Była wtedy dwuletnią dziewczynką; jasnowłosa, kapryśna i chorowita. Jej choroba odwróciła uwagę Batji od wyjazdu Abraszy. Cały dzień spędziła na wyklócaniu się z pielęgniarkami i wychowawczyniami, które wreszcie pod wieczór uległy i pozwoliły przenieść chore dziecko wraz ze szpitalnym łóżeczkiem do izby rodziców, mieszczącej się w jednej z nędznych chałup. Wózkiem zaprzężonym w muła przyjechał z sąsiedniej osady doktor, przepisał różne lekarstwa i kazał utrzymywać w pokoju

Wydrążony kamień 158

wysoką temperaturę. Tymczasem Abrasza zapakował do plecaka swoje koszule khaki, parę butów, trochę bielizny, jakieś rosyjskie i hebrajskie książki, na koniec dorzuciwszy jeszcze kilka puszek sardynek. Wieczorem stanął pełen ożywienia przy łóżeczku swojej córeczki i drżącym z przejęcia głosem zaśpiewał dla niej dwie piosenki. Pokazał również Batji na ściennej mapie Hiszpanii najświeższą linię frontu, oddzielającą robotników od ich gnębicieli. Wyliczał kolejno miasta: Barcelona, Madryt, Malaga, Granada, Walencja, Valladolid, Sewilla. Batja ledwie go słuchała; chciała krzyknąć: „Co się z tobą dzieje, ty wariacie, nie odjeżdżaj, zostań, żyj!"; i chciała jeszcze zawołać: „Mam nadzieję, że umrzesz!" Ale milczała. Zacisnęła tylko usta jak stara czarownica. I odtąd nigdy już nie straciła tego wyrazu twarzy. Przez dwadzieścia trzy lata wspominała tę ostatnią noc, tak jakby każdego wieczoru wszystko rozgrywało się ciągle od nowa. Chwilami w polu jej widzenia pojawiały się ryby, jednak nie zaciemniały obrazu: przepływały, raz po raz wplatając się w jego kontury i nadając mu wyraz dziwnego, zakłętego osamotnienia, jak gdyby wdowa nie miała do czynienia ze sprawami, które wydarzyły się dawno temu, lecz które miały dopiero nastąpić i można im było jeszcze zapobiec. Musi się dobrze zastanowić, żeby nie popełnić żadnego błędu. Oto dzisiaj Abramek Bart wkroczy do tego pokoju, nie podejrzewając niczego, a wtedy znajdzie się w mojej mocy.

O trzeciej rozdzwonił się tandetny budzik. Abrasza wyskoczył z łóżka i zapalił lampę naftową. Wstała razem z nim, smukła i bosa, i powiedziała: „Jest jeszcze wczesnie", A on położył palec na ustach i szepnął: „Pssst, dziecko". Modliła się skrycie, żeby dziecko się obudziło i zaczęło płakać. Dostrzegł pajęczynę w rogu chaty, więc wspiał się na palce, chcąc ją stamtąd zdjąć. Pająk zdołał uciec i skryć się w belkach niskiej powały. Abrasza wyszeptał do niej: „Za miesiąc lub dwa, kiedy zwyciężymy, wrócę i przywiozę ci pamiątkę z Hiszpanii. Przywiozę też coś dla Ditzy. No, a teraz musimy się pośpieszyć; ciężarówka do Hajfy odjeżdża o wpół do czwartej".

Poszedł się umyć w lodowatej wodzie z kranu, który stał na zboczku poniżej, jakieś dwadzieścia metrów od cha

159 Wydrążony kamień

ty. Zaalarmowany wartownik przybiegł sprawdzić, co się dzieje. „Spokojnie, Feliks - zawołał Abrasza. - To tylko na jakiś czas opuszcza was rewolucja”. Poważnymi głosami powiedzieli sobie jeszcze kilka żartów, po czym, już lżejszym tonem, kilka poważnych uwag. Kwadrans po trzeciej Abrasza wrócił do domu, a Batja, która w szlafroku powędrowała za nim na dwór, weszła również do środka. Stała tam, cała drżąca, i w świetle lampy naftowej patrzyła, jak golił się nieuważnie z powodu pośpiechu i panującego mroku; zaciał się w kilku miejscach, a w kilku innych zostawił ciemną szczecinę. Pogładziła go po policzkach, usiłując zetrzeć ślady krwi i piany. Był dużym, miłym chłopcem i kiedy zaczął cicho nucić dumną, smutną piosenkę hiszpańskich bojowników o wolność, raptem przyszło Ba-tji do głowy, że był jej bardzo drogi i że nie powinna stać mu w drodze, ponieważ on wie, dokąd zmierza, ona zaś nic nie rozumie. Feliks rzekł: „Do zobaczenia”. I dodał w jidysz: „Trzymaj się, Abrasza”. Następnie zniknął. Batja pocałowała Abraszę w pierś i szyję, a on przyciągnął ją do siebie i powiedział: „No dobrze, już dobrze”. Wtedy obudziło się dziecko i zaczęło płakać ledwie dosłyszalnym głosem, tak było osłabione chorobą. Wzięła dziewczynkę na ręce, a Abrasza pogładził je obie swoją wielką dłonią, mówiąc: „Dobrze już, dobrze, wszystko w porządku...”

Rozległ się klakson ciężarówki i Abrasza zawołał wesoło: „Na mnie już czas. Jadę”.

Od drzwi dorzucił: „Nie martw się o mnie. Do widzenia”.

Uciszywszy dziecko, położyła je z powrotem do łóżeczka. Potem zgasila lampę i stała sama w oknie, obserwując jak blednie noc, a szczyty gór zaczynają ukazywać się na wschodzie. Nieoczekiwanie odczuła zadowolenie, że Abrasza zdjął pajęczynę z rogu pod sufitem, ale nie zabił pająka. Wróciła do łóżka i leżała dygocząc, ponieważ wiedziała, że Abrasza nigdy nie wróci, a wojnę wygrają siły reakcji.

7

Ryby w akwarium zjadły już wszystkie muchy i teraz pływały w czystej przestrzeni. Wyglądało na to, że łaknę

Wydrążony kamień 160

ly więcej smacznych kąsków. Przeszukiwały gęste wodorosty i skubały łuk wydrążonego kamienia, rzucając się przy tym podejrzliwie ku sobie, jakby chciały sprawdzić, czy któregoś nie udało się złapać jeszcze jakiegoś kawałka, a przynajmniej jego resztek.

Dopiero połknąwszy ostatnie okruchy, zaczęły opadać na dno akwarium. Powoli, z pozorną obojętnością, pocierały srebrnymi brzuchami o piasek, wznosząc maleńkie obłoczki. Ryby nie podlegają zasadzie przeciwieństw: są zimne i żywe. Ruchy mają senne, pełne ospałego barbarzyństwa.

Tuż przed północą, kiedy wichura dopiero zaczynała narastać, wdowa obudziła się i w przydeptanych nocnych pantoflach poczłapała do łazienki. Następnie zrobiła sobie herbaty i powiedziała donośnym, ochryplym głosem: „A mówiłam ci, żebyś nie wariował”. Krążyła po pokoju ze szklanką herbaty w ręce, aż w końcu usadowiła się w fotelu i zapaliwszy w akwarium podwodną lampkę, zaczęła się przyglądać rybom. Kiedy wichur przybrał jeszcze na sile, tłukąc w okiennice i szarpiąc drzewa, ona obserwowała budzące się ryby.

Jak zwykle, najpierw na światło zareagowały srebrne rybki. Wydostały się delikatnie ze swych kryjówek pośród gęstych wodorostów i podplły pod powierzchnię wody, odpychając się krótkimi, ostrymi szarpnięciami płetw. Jedna z czarnych molinezji zarządziła zbiórkę swojej ławicy, jakby wzywając ją do dalekiej podróży. W mgnieniu oka cała armia sformowała szyki, gotowa do wymarszu.

O pierwszej w nocy zawaliła się stara chata koło domku szewca. Wichur tłukł blaszanym dachem o ściany, a powietrze napełniło się wyciem i gwizdaniem. W tym samym momencie ocknęły się czerwone mieczyki i ustawiły za swoim przywódcą, olbrzymem z ostrą, czarną szablą. Ale to nie runięcie chałupy obudziło mieczyki. Spokrewnione z nimi mieczyki zielone podniosły kotwicę i poże-głowały łagodnie w gęstwinę, najwyraźniej zamierzając objąć w posiadanie polanę, porzuconą przez srebrne rybki. Jedynie samotny bojownik, władca akwarium, nadal

11. Tam, gdzie wyją.

161 Wydrążony kamień

spał w swoim królestwie pomiędzy koralami. W odpowiedzi na nagły błysk światła wzdrygnął się tylko z niesmakiem. Krążąc wokół uśpionego monarchy, danio pręgowany bawił się w dziecinnego berka.

Ostatnie ożywiły się gupiki, ta podwodna łobuzeria, ta rozjątrzona hałastra, gorączkowo rzucająca się na wszystkie strony w poszukiwaniu pożywienia. Ślamazarne ślimaki pełzły po roślinach i szklanych ścianach naczynia, pomagając utrzymać je w czystości. Przez całą noc wdowa siedziała z pustą szklanką w dłoni, wpatrzona w akwarium, zaklinając ryby, by przepływały z miejsca w miejsce, i nazywając je imionami hiszpańskich miast: Malaga, Walencja, Barcelona, Madryt, Kordowa. Tymczasem na zewnątrz uderzenia wichru ścinały korony majestatycznych palm i łamały kręgosłupy cyprysów.

Oparła nogi na hebanowym stoliku do kart, który był prezentem od Martina i Ditzzy Złotkinów. Rozmyślała o buddyzmie zen i o pokorze, o wojnie domowej i o ostatecznej bitwie, w której nie miało już być nic do stracenia, i jeszcze o gromie z jasnego nieba. Pokonując wyczerpanie i rozpacz, powtarzała wciąż te same nieodparte argumenty, których by użyła, gdyby właściwa chwila nadeszła. Przez cały czas wzrok uciekał jej w inny świat, a wargi szeptały: „Dobrze, już dobrze, uspokój się”.

O świcie, kiedy wiatr zamarł, a my wychodziliśmy, żeby ocenić szkody, stara kobieta zapadła w drzemkę, pełną złorzeczeń i bólu w stawach. Obudziwszy się, naląła sobie szklankę świeżej herbaty i z ożywieniem, które zadawało kłam jej latom, zaczęła polować po całym pokoju na muchy. W głębi serca wiedziała, że Abramek Bart na pewno przyjedzie tego dnia i że potraktuje swoją obietnicę jako pretekst. Kiedy runął słup telegraficzny, tłukąc przy tym kilka dachówek, zauważyła, jak od sufitu oderwał się kawał tynku. Prawdziwy ruch był kompletnie bezgłośny. Monarcha uniósł się bezszelestnie i popłynął tam, gdzie leżał wydrążony kamień. Dotarłszy do łukowato sklepionego tunelu, zatrzymał się i zamarł bez ruchu. Przejął na siebie całkowity spokój. Ciszę wody. Nieruchomość światła. Milczenie wydrążonego kamienia.

Gdyby nie Ditzta, zapewne Batja Pińska we wczesnych latach czterdziestych wyszłaby za Feliksa.

Było to jakieś dwa lata po tym, jak z Madrytu nadeszła tamta straszna wiadomość. W Europie znowu toczyła się śmiertelna wojna, a na ścianie w stołówce, obok mapy pokrytej strzałkami, wisiały krzepiące slogany i wycinki prasowe. Ditzta miała wtedy chyba cztery czy pięć lat. Batja doszła już do siebie po swej tragedii i znowu rozkwitła, co miało niepokojący wpływ na uczucia pewnych osób. Ubierała się zawsze na czarno jak hiszpańska wdowa. A kiedy rozmawiała z mężczyznami, ich nozdrza poruszały się, jak gdyby łąwiły zapach wina. Codziennie rano, w drodze do szwalni, przechodziła wyprostowana i smukła obok pracujących na podwórzu mężczyzn. Czasami przypominała jej się jedna z tamtych melodii, a wtedy śpiewała z gorzkim smutkiem, aż inne szwaczki wymieniały między sobą spojrzenia i szeptały: „Oho, znowu ją bierze”.

Feliks czekał stosownej chwili. Pomagał jej w pokonywaniu drobnych trudności, a nawet interesował się rozwojem osobowości Ditzty. Później, kiedy z woli partii zamienił oborę na stanowisko polityczne, miał zwyczaj przywozić Ditzie drobne niespodzianki z wielkiego miasta. Traktował też wdowę z najwyższym szacunkiem, tak jakby cierpiała na jakąś nieuleczalną chorobę, a jego zadaniem było ulżyć jej w ostatnich chwilach życia. W ciągu dnia szorował u niej w pokoju podłogę albo po kryjomu chował czekoladki, które potem ona nieoczekiwanie znajdowała w różnych zakamarkach. A znów innym razem przybijał metalowe haczyki, kupione za własne pieniądze, w miejsce połamanych drewnianych kołków. Zaopatrywał ją również w starannie dobrane książki; były to książki przyjemne, bez wzmianek o samotności czy stracie kogoś bliskiego, najczęściej radzieckie powieści o rozwoju Syberii, o planie pięcioletnim, o wpływie edukacji na zmianę postaw ludzkich.

- Psujesz dziecko - mawiała czasem Batja. A Feliks formułował odpowiedź z taktem i uwagą:

163 Wydrążony kamień

- W pewnych sytuacjach trzeba dziecko rozpieszczać, aby mu powetować stratę.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Feliksie - odpowiadała Batja, niekiedy dodając jeszcze - Zawsze myślisz o innych. Może powinieneś dla odmiany pomyśleć o sobie, Feliksie?

Feliks wyczuwał w tych uwagach nić sympatii czy osobistego zainteresowania; powstrzymywał jednak podniecenie i mówił:

- Mniejsza o to. Głupstwo. W dzisiejszych czasach człowiek nie może myśleć wyłącznie o sobie. I to nie ja tak naprawdę się poświęcam.

- Jesteś taki cierpliwy, Feliksie - mawiała Batja, zaciskając usta.

A Feliks, świadomie czy nieświadomie, potwierdzał:

- Tak, jestem bardzo cierpliwy.

Rzeczywiście, po kilku miesiącach, a może było to rok czy dwa później, wdowa zaczęła mięknąć. Pozwalała Feliksowi towarzyszyć sobie w drodze ze stołówki czy świetlicy do drzwi jej pokoju albo ze szwalni do przedszkola, a czasem słuchała go przez dobre pół godziny, stojąc przy jednej z ławek na trawniku. On wiedział, że jeszcze nie nadzedł dzień, kiedy mógłby jej dotknąć, ale wiedział także, że czas działał na jego korzyść. Nadal uparcie chodziła w czerni, nadal nie umiała powściągnąć swojej arogancji, lecz ona także zdawała sobie sprawę, że czas działał na korzyść Feliksa, który osaczał ją ze wszystkich stron, tak że wkrótce mogła już nie mieć innego wyjścia.

To mała Ditzka zmieniła wszystko.

Moczyła się do łóżka, uciekała nocą z przedszkola, a rano wymykała się do szwalni, gdzie kurczowo przytulała się do matki; kopała i drapała inne dzieci, a nawet zwierzęta, Feliksa zaś przezywała „Ropuch”. Nie pomagały ani jego prezenty i starania, ani słodycze i wymówki. Pewnego razu, w jakiś czas po tym, jak Feliks i Batja zaczęli już otwarcie razem jadać w stołówce, dziecko przybiegło i wspięło mu się na kolana. Wzruszył się przekonany, że nareszcie coś się zmieniło na lepsze. Właśnie głaskał ją po włosach, nazywając „swoją małą dziewczynką”, kiedy Ditzka nieoczekiwanie

Wydrążony kamień 164

nasiusiata mu na spodnie, po czym zeskoczyła i uciekła. Feliks rzucił się za nią w pogoń, uniesiony gniewem i zapalem wychowawczym. Przedzierając się między stolikami, usiłował złapać dziecko. Batja siedziała sztywno na swoim miejscu, nie wtrącając się do niczego. W końcu Feliks złapał emaliowany kubek, rzucił nim w umykającego dzieciaka, chybił, potknął się, zerwał się na równe nogi i zaczął wycierać zasypane i poplamione jogurtem spodnie. Wokół siebie widział roześmiane twarze. W owym czasie Feliks pełnił już funkcję sekretarza generalnego Partii Robotniczej, a tu taki widok: Feliks we własnej osobie, czerwony jak burak i rozczochrany, z morderczym błyskiem, wyzierającym zza okularów. Zeiger klepał się po brzuchu i wzdychał: „Co za widok”, aż w końcu nie mogąc się opanować, wybuchnął śmiechem. Weissmann także gromko się śmiał. Nawet Batja nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy dziecko przy-czołgało się do niej pod stołami i z miną prześladowanej męczennicy usadowiło u jej stóp. Wychowawczynie wykrzykiwały z oburzeniem: „I kto by to pomyślał, żeby tak się zachowywać. Dorosły mężczyzna, człowiek na stanowisku, a rzuca kubkami w małe dzieci na środku stołówki, tego już doprawdy za wiele!”

Trzy tygodnie później wyszło na jaw, że Feliks ma romans z żoną Zeigera, Zetką. Zeiger rozwiódł się z nią, a ona z kolei na wiosnę tego samego roku wyszła za Feliksa. W maju Feliks i Zetka zostali wysłani do Szwajcarii, gdzie mieli organizować drogi przerzutowe dla tych, co przeżyli obozy śmierci. W partii uważano Feliksa za wybijającego się młodego przywódcę. Natomiast Batja Pińska zaczęła podupadać.

9

Kiedy Abramek przyjdzie, podam mu herbatę, pokażę wszystkie stare papiery, przedyskutujemy układ tekstu i okładkę i wreszcie będziemy musieli ustalić dedykację, tak żeby nie było żadnych nieporozumień.

Wzięła do ręki ostatnią fotografię Abraszy, zrobioną w Madrycie przez niemieckiego bojownika komunistę.

165 Wydrążony kamień

Abrasza był chudy i nieogolony, ubranie miał pomięte, a na ramieniu siedział mu gołąb. Usta rozchylił leniwie, oczy sennie przymknął. Wyglądał jak ktoś, kto poświęca czas raczej miłości niż walce za sprawę. Na odwrocie widniały czułe, rymowane pozdrowienia.

Z biegiem czasu Batja Pińska nabrała nawyku mówienia do siebie. Z początku robiła to po cichu. Potem, kiedy Ditzka wyszła za mąż za Martina Złotkina i razem z nim wyjechała, Batja zaczęła mówić głośno, ochryplym głosem, z powodu którego dzieci z kibucu przezwwały ją Babą Jagą, tak samo jak nazywała się czarownica w bajkach, opowiadanych im przez rosyjskie pielęgniarki.

Słuchaj no, Abramek, jest jeszcze tylko jedna sprawa. To sprawa delikatna i dość skomplikowana, ale jestem pewna, że uda nam się ją rozwiązać, tobie i mnie, jeśli okażemy trochę zrozumienia. Chodzi o to, że gdyby Abrasza nadal żył, to sam chciałby wydać swoją książkę. Prawda? Prawda. Oczywiście. Lecz Abrasza nie żyje i nie może osobiście dopilnować publikacji. Mam na myśli kolor, okładkę, przedmowę, tego rodzaju rzeczy; jak również dedykację. Naturalnie on sam pragnąłby zadedykować książkę swojej żonie. Każdy by tak zrobił. Ponieważ Abra-szy nie ma wśród nas i to wy gromadzicie jego artykuły i listy, i wydajecie w formie książki, zabrakło dedykacji. Co powiedzą ludzie? Pomyśl, Abramku, sam tylko pomyśl: co na to powiedzą ludzie? Jest to zwyczajne podżeganie do najgorszego rodzaju plotek: biedny człowiek, uciekł do Hiszpanii, żeby się wyrwać od żony. Albo jeszcze lepiej: wyjechał do Hiszpanii, gdzie zakochał się w jakiejś tam Carmen Mirandzie, i o to tylko chodziło. Jedną chwileczkę. Pozwól mi skończyć. Nie możemy dopuścić do rozgłaszania podobnych historii. Za wszelką cenę, powiadam. Nie, nie dla mojego dobra; mnie już nie interesuje, co ludzie o mnie gadają. Co do mnie, mogą sobie nawet mówić, że poszłam do łóżka z samym wielkim muftim¹ i z waszym słynnym Plechanowem² naraz. Nie mogłoby mnie to mniej dotknąć. Tu nie chodzi o mnie, tylko o niego. Nie można pozwolić na to, żeby o Abraszy Pińskim krążyły podobne opowieści. Dla was to też niedobrze: ostatecznie, potrzebna jest wam postać, którą można by

Wydrążony kamień 166

stawiać waszej młodzieży za wzór; bez Carmen Mirandy czy kogoś takiego. Innymi słowy, powinniście mieć dedykację. Nieważne, kto ją napisze. Możesz to zrobić ty. Albo Feliks. Albo ja. Na przykład, coś w tym rodzaju: na pierwszej stronie - „Pytania na czasie i czas pytań”, eseje zebrane Abrahama, nawias, Abraszy Pińskiego, bohatera wojny domowej w Hiszpanii. Wszystko. Następna strona: to zdjęcie. Samo, tak jak jest. U góry trzeciej strony: „Dla Batji, oddanej żony, te owoce mej miłości i udręki”. Potem, na kolejnej stronie, możecie umieścić informację, że książka została wydana przez waszą partię, możecie też wspomnieć o współpracy Feliksa. To nigdy nie zawadzi. Słuchaj, Abramek, nie kłóć się ze mną, ja nie mogę się denerwować, nie mam na to zdrowia, a co więcej, wiem coś niecoś o tobie i o Feliksie, i o tym, jak namawialiście Abraszę, żeby poszedł na tę śmieszoną wojnę. Więc lepiej nic nie mów, tylko rób, jak ci powiedziano. No już, pij tę swoją herbatę i przestań się kłócić.

Potem z westchnieniem wzdrygnęła się i usiadła w fotelu, żeby na niego czekać. Cały czas obserwowała ryby. Kiedy usłyszała bzykanie, skoczyła i pacnęła muchę na szybie. Jak one się tu dostają, skoro wszystkie okna są pozamykane. Skąd one się biorą? Do diabła z nimi wszystkimi. A swoją drogą, jak te stworzenia zdołały przetrwać taką wichurę?

Zgniotła muchę, wrzuciła ją do akwarium, po czym znowu wróciła na fotel. Nie zaznała jednak spokoju: czajnik zaczął wrzeć. Wkrótce przyjedzie Abramek. Muszę jeszcze posprzątać. Chociaż prawdę powiedziawszy, mieszkanie jest dokładnie wysprzątane, jak zwykle od wielu lat. Może zamknij oczy i pomyśl. Tak, tylko o czym.

10

Z godziny na godzinę wszystko wracało do normy.

Z pełnym determinacji poświęceniem usunęliśmy gruzy. Budynki grożące zawaleniem zostały ogrodzone. Cieśle umocowali podpory i stemple i zatkali dziury deskami. Gdzieniegdzie zawiesiliśmy płócienne płachty. Traktory

167 Wydrążony kamień

dowozili belki i blachę falistą. W miejscach zalanych wodą zrobiliśmy prowizoryczne ścieżki ze żwiru i betonowych płyt. Zanim naprawiono instalacje elektryczne, zdołaliśmy przeciągnąć do najważniejszych punktów tymczasową linię wysokiego napięcia. Z magazynów wynieśliśmy stare grzejniki naftowe i zardzewiałe piece kuchenne. Starsze kobiety odczyściły je i wypucowały, i przez chwilę wszyscy poczuliśmy, jakby ożyły tamte, pierwsze dni. Cała ta krzątania napełniła nas niemal ekstatyczną radością. Wróciły dawne wspomnienia, przerzucano się dowcipami. Tymczasem Feliks postawił na nogi wszystkie potrzebne instytucje, monterów, służby specjalne, władze regionalne, departament rolnictwa, władze naczelne ruchu kibucowego i tak dalej, i tak dalej. Wiadomości rozwożono dżipem, ponieważ huragan zerwał linię telefoniczną. Nawet nasze dzieci nie próżnowały. Nie chcąc, żeby nam się plątały pod nogami, Feliks kazał im polapać kurczaki, które rozbiegły się po całej osadzie, ponieważ wszystkie kurniki zostały zniszczone. Od strony trawników i spośród drzew docierały uszczęśliwione odgłosy pogoni. Zadyszane, z wypiekami na buziach, czerechy dzieciaków wypadały z najmniej oczekiwanych miejsc, odcinając rozgdakany kurom drogi ucieczki. Trochę tych odgłosów zdołało się przedostać przez zamknięte okiennice, okna i zasłony do pokoju Batji Pińskiej. Co się tam dzieje, co w tym śmiesznego, gderała pod nosem wdowa.

Tego samego dnia do południa wszystkie ważne instalacje znów działały. Podano zimny, ale pożywny posiłek. W żłobku i przedszkolu było światło i ogrzewanie. Mieliśmy też bieżącą wodę, chociaż ciśnienie było niskie, a dopływ nieregularny. Po obiedzie mogliśmy już przygotować pierwszy nieoficjalny raport o poniesionych stratach. Wynikało z niego, że wichura zniszczyła przede wszystkim grupę starych chat u stóp wzgórza, zbudowanych jeszcze przez założycieli kibucu kilkadziesiąt lat temu. Pewnego dnia mogli nareszcie zwinąć rozstawione na nagim zboczu namioty i przenieść się do tych chat; ogarnęło ich uczucie, że oto nareszcie osiedli tu na dobre i że nie ma już odwrotu.

Wydrążony kamień 168

Po latach ukończono budowę kolejnych stałych budynków, a drewniane chałupy przekazano młodym ludziom. Pierwszymi ich mieszkańcami byli uchodźcy, docierający do nas z Europy przez Azję Środkową i Teheran, których przyjmowaliśmy z otwartymi ramionami. Po nich zjawiał się oddział ruchu oporu, którego dwóch żołnierzy zostało później wybitnymi wojskowymi. To właśnie z tych chałup pewnej nocy wyruszył oddział, żeby wysadzić w powietrze urządzenia radarowe armii brytyjskiej, i tutaj powrócił przed świtem. Później, po ustanowieniu państwa, kiedy już zadania ruchu oporu zostały wykonane, wałace się chaty przeznaczono na koszary dla regularnych kompanii wojska. Podczas Wojny o Niepodległość mieściła się tu kwatera główna legendarnej Brygady Pogórza, gdzie planowano słynne akcje nocne. W latach pięćdziesiątych w chatach kolejno mieszkali nowo przybyli imigranci, paramilitarne grupy młodzieżowe, studenci intensywnych kursów językowych, oddziały ochotnicze, a nawet ekscentryczne typy, które zaczęły napływać z całego świata, żeby posmakować innego życia. W końcu zamieszkali tam robotnicy sezonowi. A po ukończeniu przygotowań do fazy C naszego programu budowlanego, chaty przeznaczono do wyburzenia. Zresztą, i tak niewiele z nich zostało: drewniane ściany rozpadały się na kawałki, belki stropowe spróchniały, a podłogi coraz bardziej osiadały. Zielsko wrastało między deski i wszędzie pełno było nieprzyzwoitych rysunków i napisów w sześciu językach. Wieczorami dzieciaki biegły bawić się pośród ruder w duchy i rozbójników. A po dzieciach przychodziły zakochane pary. Zamierzaliśmy sami oczyścić to miejsce, żeby przygotować teren pod nową zabudowę, kiedy huragan nas ubiegł, zupełnie jakby stracił ciepłość. Cieśle przeszukali ruiny, zabezpieczając deski, drzwi i belki, które jeszcze nadawały się do użytku.

Feliks dwoił się i troił, aż zdawało się, że jego niska, korpulentna postać pojawiała się w kilku miejscach jednocześnie. Dzięki jego trzeźwym, precyzyjnym instrukcjom nie doszło do chaosu, powtarzania czynności i mar

169 Wydrążony kamień

nowania ludzkiego wysiłku. Ani na moment nie zapominał, które sprawy są niezbędne, a które mało ważne.

Przez siedemnaście lat Feliks był urzędnikiem państwowym, sekretarzem generalnym, przewodniczącym, delegatem, a wreszcie posłem do Knesetu i członkiem komitetu wykonawczego partii. Jakiś rok wcześniej, kiedy Zetka, jego żona, umierała na raka, zrezygnował ze wszystkich oficjalnych stanowisk i wrócił do swojego ki-bucu, którego został sekretarzem. Wszystkie problemy społeczne i finansowe, które przez lata wydawały się nie do rozwiązania, po jego powrocie nagle zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z powodzeniem wprowadzaliśmy w życie stare plany. Nierentowne części farmy zaczęły wreszcie przynosić zysk. Wszędzie zapanował nowy nastrój. Parę tygodni temu, w dziesięć miesięcy po śmierci Zetki, Feliks ożenił się z byłą żoną Weissmanna. A zaledwie na dwa dni przez huraganem przyjechała delegacja, złożona z kilku mężczyzn o surowych twarzach, żeby nas przygotować na ponowną utratę Feliksa: w związku ze zbliżającymi się wyborami nasza partia potrzebowała silnego człowieka, który by ją reprezentował w Izbie.

Po obiedzie zaczął działać telefon. Zewsząd nadchodziły telegramy z wyrazami współczucia i życzliwości. A także propozycje pomocy oraz słowa sympatii z innych kibuców i różnych instytucji i organizacji.

W naszym kibucu znowu zapanował spokój. Tu i ówdzie oficerowie policji wdawali się w rozmowy z urzędnikami okręgowymi, to znów jakiś doradca przystanął zagadnięty przez ciekawskiego dziennikarza. Feliks zabronił nam rozmawiać z prasą i radiem, uważając, że będzie dla nas korzystniej, jeśli przedstawimy jedną wspólną wersję, która stworzy podstawę dla naszych wniosków o odszkodowanie.

Kwadrans po pierwszej przywieziono ze szpitala starego Niewidomskiego, któremu pieczołowicie nastawiono przemieszczone ramię. Podtrzymał je imponujący temblak, zdrowa ręka zaś machała wszystkim na powitanie. O wpół do drugiej wspomniano o nas w wiadomo

Wydrążony kamień 170

ściach radiowych; po raz kolejny podkreślono, że nie był to tajfun ani tornado, lecz jedynie lokalne zjawisko atmosferyczne o ograniczonym zasięgu: dwa przeciwstawne wiatry, jeden od morza, drugi z pustyni, zderzyły się, powodując zawirowanie powietrza. Podobne zjawiska stanowiły na pustyni codzienność, natomiast w rejonach zamieszkałych nie zdarzały się zbyt często i dlatego prawdopodobieństwo ich powtórzenia jest raczej nikłe. Nie ma powodów do paniki, choć zachowanie gotowości byłoby wskazane.

Zgasiwszy radio, Batja Pińska wstała i podeszła do okna. Przez szparę w okiennicy wyjrzała na zewnątrz. Skłęła obsługę kuchni, która w zamieszaniu nie dopełniła swoich obowiązków i zapomniała przysłać jej obiad. W kuchni powinni wiedzieć najlepiej, że jest poważnie chora i musi unikać napięć i zdenerwowania. Prawdę powiedziawszy, wcale nie czuła głodu, ale to w niczym nie zmniejszyło jej oburzenia: po prostu o niej zapomnieli. Zupełnie jakbym nie istniała. Tak jakby to nie za nich i za ich pyzate bachory Abrasza oddał życie w dalekim kraju. Już tego nie pamiętają. I Abramek też zapomniał o swojej obietnicy; wcale nie ma zamiaru dzisiaj się tu zjawić. Przyjedź, Abramku, przyjedź, a już ja ci dam kilka dobrych rad w sprawie okładki i dedykacji i jeszcze pokażę ci, jakiego spustoszenia narobiła ta zawierucha, przecież pękasz z ciekawości i tylko marzysz o tym, żeby wszystko zobaczyć na własne oczy, ale nie masz pretekstu, bo dlaczegóż by dyrektor partyjnego wydawnictwa miał rzucać w jednej chwili całą robotę i jechać gdzieś, żeby pogapić się na katastrofę jak jakiś dzieciak. No więc, przyjeżdżaj, już ja ci stworzę ten twój pretekst i dam ci też herbaty, a potem porozmawiamy o tym, o czym mamy porozmawiać.

Dostrzegłszy odrobinę kurzu na półce z książkami, skoczyła jednym susem przez pokój. Gwałtownie starła kurz ręką. Schyliła się, żeby podnieść liść, który opadł z rośliny doniczkowej na dywan. Następnie z kieszeni szlafroka wyciągnęła list od Abramka Barta, rozłożyła go i szybko zerknęła na podpis sekretarki, niejkiej Ruth Bardor, niewątpliwie wymalowanej pannicy odsłaniającej uda, która

171 Wydrążony kamień

niewątpliwie goli sobie nogi, reguluje brwi pęsetką i tleni włosy, i niewątpliwie nosi nylonowe pończochy, i oblewa się dezodorantami. Niech ją wszyscy diabli. Dałam dzisiaj rybom dość jedzenia; więcej ode mnie nie dostaną. Patrzcie, jeszcze jedna mucha; nie mogę pojąć, jak one się tu dostają ani gdzie mają swoje kryjówki. Może się tu lęgną. Czajnik znowu gwiżdże. Jeszcze szklanek herbaty.

11

Po tamtym żenującym wydarzeniu w stołówce we wczesnych latach czterdziestych niektórzy z nas z zadowoleniem przyjęli fakt, że między Batją Pińską a Feliksem wszystko w porę się skończyło. Chociaż było nam smutno z powodu zmian, jakie zaszły w samej Batji. Biła małą, nawet w obecności innych dzieci. Nie pomagały żadne uwagi ani perswazje. Szczypała ją, aż dziewczynka była cała posiniaczona, i na dodatek obrzucała ją wyzwiskami, nie wyłączając, z niewiadomych powodów, Carmen Mirandy. Dziewczynka przestała moczyć się do łóżka, za to dręczyła koty. Batja zaczęła przejawiać pierwsze oznaki ascezy. Stopniowo jej dojrzała, bujna uroda więdła. Co prawda nadal było kilku takich, którzy nie mogli oderwać od niej wzroku, kiedy w drodze ze szwalni do prasowni mijała ich wyprostowana, ciemna i zmysłowa. Lecz twarz miała ostrą, a wokół ust błąkał się wyraz rozczarowania i złości.

I w dalszym ciągu wychowywała dziecko w żelaznej dyscyplinie.

Niektórzy z nas byli na tyle nieprzychylni, że nazywali ją wariatką, a nawet mówili o niej: „Cóż ona sobie myśli; że niby kim ona jest, może sycylijską wdową, ta bohaterka z taniego melodramatu, hiszpańska święta, ta aktorka ze spalonego teatru!”

Kiedy założyciele kibucu przeprowadzali się do pierwszych stałych budynków, Batja była wśród nich. Zeiger zaofiarował się, że zbuduje jej w nowym domu akwarium. Zrobił to z wdzięczności. Zeiger był kudłatym, przysadzistym mężczyzną o wielkim brzuchu. Żartował bez przerwy, jak gdyby celem życia w ogóle, a jego życia w szczególności, była zabawa. Miał swoje ulubione powiedzonka,

Wydrążony kamień 172

a dobry humor nie opuścił go nawet wtedy, kiedy uczyniła to jego żona. Powtarzał każdemu, kto tylko zechciał słuchać: „Ja jestem zwyczajnym proletariuszem, ale jak nadejdzie rewolucja, to Feliks pewnego dnia zostanie komisarzem; sam chętnie dzieliłbym z nim życie, gdyby tylko on mnie zechciał”.

Zeiger był niski i krępy i zawsze czuć go było czosnkiem i tytoniem. Poruszał się ciężko i niezdarnie jak niedźwiedź i miał w sobie jakąś czarującą niefrasobliwość - nawet wtedy, gdy przed laty podczas nielegalnych ćwiczeń z bronią został postrzelony w brzuch. Widzieliśmy go chętnie zwłaszcza w czasie świąt, wesel i przyjęć, w których zawsze brał żywy udział.

Odkąd opuściła go żona, prowadził korespondencję z jakąś swoją krewną, która sama była rozwódką, mieszkała w Filadelfii i której nigdy nie widział na oczy. Wieczorami wpadał do Batji Pińskiej, a ona tłumaczyła mu listy krewnej z angielskiego na jidysz, a potem jego komiczne odpowiedzi z jidysz na angielski. Batja sama nauczyła się angielskiego z powieści, które wieczorami czytywała w łóżku. Pod koniec każdej wizyty Zeiger przeproszał za zajmowanie jej cennego czasu, ale to on przekopał i zagrabił klomb przed jej nowym domem i on też przyniósł jej sadzonki i cebulki. Jego charakterystyczny zapach zalegał w pokoju. Mała Ditzka z radością zadawała mu zagadki; nigdy nie znał odpowiedzi, a nawet jeśli znał, to udawał, że nie ma pojęcia, ona zaś, powiedziawszy mu w końcu rozwiązanie, pękała ze śmiechu na widok jego zdumionej miny.

Pewnego dnia przyszedł i przyniósł ze sobą aluminiowe ramki, szyby, składaną miarkę i śrubokręt, a także lepka, śmierdzącą masę, o której on sam mówił „kit”, natomiast Batja nauczyła go, że to „szpachlówka”.

- To na akwarium - powiedział - w którym będą pływać rybki. To estetyczne. I takie kojące. Poza tym, nie robi hałasu ani bałaganu.

I zabrał się do pracy.

Batja Pińska lubiła nazywać go Ali Babą. Przystał na to z ochotą, i on z kolei nadał jej przezwisko Kontessy z Odessy.

173 Wydrążony kamień

Caikiem możliwe, że to z powodu tego przezwiska mała Ditzka zaczęła wołać na Zeigera: Pessah. Chociaż jego prawdziwe imię brzmiało Fiszel, skończyło się na tym, że również my wszyscy zwracaliśmy się do niego Pessah i nawet w kibucowej gazecie nie pisano o nim inaczej, jak Pessah Zeiger.

Zdecydowanie a zarazem ostrożnie wpasowywał szklane tafle w miękki podkład szpachlówki. Co jakiś czas używał narzędzia, które fascynowało tak Batję, jak Ditzę: diamentu do cięcia szkła.

- Jak mamy ci dziękować za taki wspaniały prezent? - zapytała Batja, kiedy akwarium było już gotowe.

Zeiger zastanawiał się przez chwilę, następnie odetchnął głęboko, ziejąc czosnkiem i tytoniem, przymknął oczy, aż w końcu wzruszył gwałtownie ramionami i powiedział: „Czort znajet”, co miało znaczyć, że tylko sam diabeł wie.

Ryby zostały przywiezione w słoju i wpuszczone do akwarium z wielką ceremonią. Ditzka zaprosiła wszystkich swoich przyjaciół na „rybie przyjęcie”, co Batji wcale się nie spodobało. Tego wieczoru Zeiger przyniósł małą butelkę brandy jako dodatek do listu od krewnej z Filadelfii.

- Nie zaproponujesz mi drinka? - spytał.

Batja naląła mu kieliszek i przetłumaczyła list, a potem jego odpowiedź.

Było to tego samego dnia, kiedy wszyscy świętowaliśmy zwycięstwo aliantów. Skończyła się druga wojna światowa i potwór został pokonany. Na szczycie wieży ciśnięć wywiesiliśmy flagi syjonistów i socjalistów. W pobliskim obozie armii brytyjskiej urządzono pokaz sztucznych ogni, a nad ranem wojskowymi ciężarówkami przyjechali stamtąd żołnierze, którzy chcieli wziąć udział w naszych tańcach i śpiewach. Tym razem dziewczęta z kibucu uznały za stosowne wyrazić zgodę na wspólny taniec z brytyjskimi żołnierzami, pomimo że czuć ich było piwem. Stołówka udekorowana była transparentami i wielkim portretem Józefa Stalina w mundurze. Feliks wygłosił płomienną mowę na temat nowego, wspaniałego świata, który miał powstać na gruzach pokonanych sił

Wydrążony kamień 174

ciemności. Nawoływał, byśmy nigdy nie zapomnieli

0 tych, którzy w walce na frontach bliskich i dalekich poświęcili swoje życie. Następnie wpiął Eatji w klapę partyjną odznakę ku czci zwycięstwa, po czym ucałował ją

I uściskał jej dłoń. Wszyscy zerwali się, żeby odśpiewać hymn syjonistyczny i Międzynarodówkę, a potem tańczyliśmy do białego rana. Dziesięć po trzeciej Zeiger ścisnął Batję za ramię, niemal siłą wyciągnął z kąta stołówki, gdzie przesiadła cicho cały wieczór, i odprowadził do jej pokoju. Głos miał zachrypnięty, a biała koszula lepiła mu się do grzbietu, ponieważ w przerwach między tańcami udawał kłowna, zupełnie jakby to było żydowskie wesele w starym stylu. Kiedy doszli do drzwi Batji, Zeiger powiedział:

- No, tak. Miałaś wszystkiego aż nadto. A teraz, dobranoc - odwrócił się, zamierzając odejść.

Lecz ona kazała mu wejść do środka, on zaś jej usłuchał. Zdjęła z niego przepoconą koszulę. Kiedy zapytał, czy mógłby obmyć twarz, nie odpowiedziała ani tak, ani nie, tylko zapaliła światło w akwarium, jednocześnie gasząc lampę pod sufitem. Zaczął przeproszać czy prosić, ale ona ucięła krótko te jąkania i przyciągnęła go do siebie, a on spocony, parujący, nieumyty i zakłopotany, dał się zdobyć w milczeniu.

12

W tak małej wsi, żyjącej w oparciu o zdrowe zasady, nie ma i nie może być miejsca na żadne tajemnice.

Rano, tuż przed szóstą, sąsiedzi ujrzeli Zeigera, jak wychodził ujarzmiony z domu Batji Pińskiej. Koło siódmej wiadomość dotarła już do szwalni. Niektórzy z nas, nie wyłączając Feliksa i jego żony Zetki (która przedtem była żoną Zeigera), dostrzegali w nowym rozwoju wypadków pozytywny aspekt sprawy; w końcu cała ta sytuacja wydawała się nienaturalna i pełna niepotrzebnych napięć. Teraz wszystko stanie się prostsze. Trudno było pogodzić męczeństwo, śródziemnomorskie tragedie i uczuciowe arabeski z regułami, którymi myśmy kierowali się w życiu.

175 Wydrążony kamień

Jednakże nawet tym ludziom niełatwo przyszło zaakceptować następstwa, jakie miały z podobnej postawy wyniknąć. Zeiger był pierwszy, ale nie ostatni. W ciągu kilku tygodni rozeszły się pogłoski o różnych przygodnych osobnikach, którzy po nocy trafiali do pokoju Batji Pińskiej. Nie kręciła nosem nawet na uchodźców i eks-centryków w rodzaju Matitiahu Damkowa. Jej milcząca, szlachetna melancholia zamieniła się w coś, czego lepiej było nie nazywać po imieniu. A jej twarz stawała się coraz brzydsza.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy również mała Ditza zaczęła pokazywać się z żołnierzami i przelotnymi ptakami. Niestety, nie mogliśmy poświęcić tej nieszczęsnej sprawie należytej uwagi, jako że najpierw doszła do szczytu walka o usunięcie Brytyjczyków, a wkrótce potem kraj został napadnięty przez regularne oddziały armii arabskiej; dotarły one dosłownie do bram naszego kibu-cu i musieliśmy odpierać ich atak niemal gołymi rękami. W końcu wszystko się znowu uspokoiło. Zewsząd napływały tłumy uchodźców. Krewna Zeigera, kobieta w średnim wieku, także przyjechała jako turystka i zabrała go ze sobą do Filadelfii. Przykro nam było patrzeć, jak Zeiger odjeżdża, a znaleźli się i tacy, którzy mu tego nigdy nie wybaczyli. Feliks przyjął ważne stanowisko partyjne i zaszczycił nas swoją obecnością tylko w wolne dni. Co do Batji, ostatnie jej namiętności w końcu wygasły. Ditza raz po raz wymykała się do obozów pionierów albo do budowanych na pustyni osiedli; i za każdym razem przywożono ją z powrotem. Jej matka wycofała się do swego pokoju. Oznajmiła, że ze względu na stan zdrowia nie może już dłużej pracować. Nie mieliśmy pojęcia, jaki naprawdę jest jej stan, ale postanowiliśmy nie zadawać zbyt wielu pytań. Niech robi, co chce. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wreszcie Ditza poślubiła Martina Złotkina, syna znanego bankiera. Batja ze spokojem przyjęła to małżeństwo i podarowane jej przez młodą parę cenne meble. Od tej pory ryby znalazły się w centrum jej uwagi. Elektryczny czajnik parował bez przerwy. I wyglądało na to, że wszystko się dla niej skończyło, kiedy to nieoczekiwanie wyszła sprawa spuścizny literackiej Abraszy i po

Wydrążony kamień 176

stanowiono opublikować jego pisma zebrane wraz z listami z Madrytu. Dokładnie tak, jak obiecywał Feliks podczas obchodów święta zwycięstwa: nie zapominały naszych towarzyszy, którzy oddali życie za sprawę. I to właśnie Feliks pomimo licznych obowiązków nie zapomniał, i to on namówił wydawnictwo ruchu kibucowego, by podjęło się tego zadania. Wdowa czekała dzień za dniem. Ryby przepływały jej przed oczyma, nie zamazując obrazu. Były zimne, a mimo to żywe, i nie podlegały prawu ciężenia, ponieważ mogły swobodnie unosić się w wodzie. Wczorajsza wichura sprowadziła tu Abramka Barta; chociaż minęła już druga, a jego wciąż nie ma. Człowiek tego pokroju potrafi zrozumieć kwestię tak delikatną jak dedykacja; nie będzie robił żadnych trudności.

13

Przecież nie mogę go przyjąć w szlafroku. Muszę się ubrać. Muszę doprowadzić pokój do ładu, jeśli jeszcze nie jest dostatecznie wysprzątany. Muszę wyjąć najlepszą porcelanę, żeby podać herbatę jak należy. I otworzyć okiennice. Wpuścić trochę świeżego powietrza. A także odgrzać ciasteczka. Ale przede wszystkim muszę się ubrać.

Podeszła do zlewu i kilka razy obmyła twarz w zimnej wodzie, jakby chcąc umartwić swoje ciało. Stanąwszy przed lustrem, przesunęła kościstymi palcami po twarzy i włosach, po czym powiedziała na głos:

- Już dobrze, dobrze, porządna z ciebie kobieta i całkiem sympatyczna; nic się nie martw, wszystko się ułoży.

Trochę się umalowała i przyczesła siwe włosy. Na moment mignęła jej w lustrze stara czarownica, nazywana przez dzieci Babą Jagą, ale zaraz obraz ustąpił miejsca wizerunkowi nobliwej, samotnej kobiety, której nie zdołało złamać cierpienie. Batja wołała tę drugą i rzekła do niej:

- Nikt inny cię nie rozumie, ale ja mam dla ciebie szacunek. A książka dedykowana jest Batji, oddanej żonie, w dowód miłości i udzięki.

Właśnie kiedy kończyła mówić te słowa, usłyszała zgrzyt hamulców na placu przed stołówką. Jednym skokiem znalazła się przy oknie, nadal potargana, ponieważ

12. Tam, gdzie wyją.

177 Wydrążony kamień

nie zdążyła porządnie upiąć włosów; pchnęła okiennice i wychyliła głowę. Abramek Bart, dyrektor wydawnictwa, wysiadł z samochodu i przytrzymał drzwi sekretarzowi generalnemu ruchu kibucowego.

Nie wiadomo skąd zjawił się Feliks, aby ich obu powitać gorącym, choć urzędowym uściskiem dłoni oraz poważnym wyrazem twarzy. Zamienili kilka słów i poszli razem dokonać przeglądu zniszczeń i prac rekonstrukcyjnych, które prowadzono nieprzerwanie od wczesnego rana.

14

Była gotowa. Włożyła suknię w kolorze czerwonego wina, naszyjnik i parę dyskretnych kolczyków, wtarła za uszami kilka kropli perfum, a potem nastawiła wodę na herbatę. Tymczasem przez otwarte okna wlewało się do środka błękitne światło dnia. Dzieci i ptaki krzyczały radośnie. W potokach dziennego światła woda w akwarium wydawała się mętna. Na wargi Batji powróciła stara hiszpańska melodia i ciepły, głęboki głos dobył się z jej piersi. Była to pieśń zniewalająca i pełna tęsknoty. Kiedyś, w odległych latach trzydziestych, hiszpańscy bojownicy o wolność wraz ze swymi stronnikami z całego świata nucili ją nieustannie. Także Abrasza śpiewał ją tamtej nocy, zanim odjechał. W niespełna dziesięć lat później, podczas izraelskiej Wojny o Niepodległość, dopisano do niej hebrajskie słowa. Przy ogniskach obozowych pośród starych chat śpiewali ją żołnierze o bladych twarzach, którzy niedawno zbiegli z Europy. Co noc rozbrzmiewała wśród zabudowań kibucu, docierając również do Batji:

Na pierwsze danie ci dadzą

Karabin twój ukochany

Magazynekami garniowany...

Nagle postanowiła, że musi natychmiast wyjść na dwór. Kiedy potykając się o przewrócone drzewa i potłuczone szkło, wypadła z domu, ujrzała ponad wzgórzami niebo tak spokojne i jasne, jak gdyby nic się nie stało. Dostrzegła Matitiahu Damkowa o nagich, połyskujących od potu plecach, który z milczącą zawziętością naprawiał instalacje wodociągowe. A jeszcze dalej mogła zobaczyć

Wydrążony kamień 178

puste miejsce, tam gdzie przedtem stały drewniane chaty, pierwsze zabudowania kibucu. Robotnicy uwijali się wśród ruin. Kilka kóz pasło się spokojnie.

Dotarła do placu przed stołówką dokładnie w tym samym momencie, w którym Feliks odprowadził swoich gości z powrotem do samochodu. Stanęli koło wozu, prawdopodobnie podsumowując główne punkty swojej dyskusji. Aż do tej pory Feliks trzymał okulary w kieszeni koszuli; teraz je włożył, żeby coś zanotować, i od razu stracił prezencję generała, a odzyskał swój zwykły wygląd filozofa.

Na koniec raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie. Goście wsiedli do samochodu i Abramek włączył silnik. Właśnie zaczął torować sobie drogę pośród belek i rozrzuconych desek, kiedy Batja Pińska przedarła się przez krzaki i załomotała zaciśniętą pięścią w okno samochodu. Sekretarz generalny z przestachem ukrył twarz w dłoniach. Potem otworzył oczy i spojrzał na przerażającą postać na zewnątrz. Abramek zatrzymał samochód i opuściwszy nieco szybę, zapytał:

- O co chodzi? Może panią podwieźć? Tylko że my nie jedziemy do Tel Awiwu. Jedziemy na północ.

- Ani mi się waź, Abramek, ani mi się waź pominąć dedykację, bo inaczej wydrapię ci oczy i narobię wokół ciebie takiego smrodu, że aż cały kraj się zadziwi - chry-piała Batja, nie robiąc przerw na nabranie tchu.

- O czym ta pani mówi? - spytał niepewnie sekretarz generalny.

- Nie wiem - usprawiedliwiał się Abramek. - Nie mam zielonego pojęcia. Prawdę mówiąc, nawet jej nie znam.

Feliks przejął natychmiast kontrolę nad sytuacją.

- Chwileczkę, Batja, uspokój się i pozwól mi wszystko wytłumaczyć. Tak, to jest nasza Batja Pińska. Otóż to, Batja, wdowa po Abraszy. Prawdopodobnie chce nam przypomnieć o naszym moralnym zobowiązaniu, które wszyscy mamy wobec niej. Pamiętasz już, o co chodzi, Abramku?

- Oczywiście - przytaknął Abramek Bart. A potem, jakby go naszły nieoczekiwane wątpliwości, powtórzył: - Oczywiście, oczywiście.

179 Wydrążony kamień

Feliks odwrócił się do Batji, ujął ją delikatnie pod ramię, po czym przemówił do niej ciepło i serdecznie:

- Ale nie teraz, Batja. Sama widzisz, w jakim wszyscy jesteśmy stanie. Wybrałaś nieodpowiedni moment.

Tymczasem samochód zniknął już za zakrętem drogi. Feliks niespiesznie odprowadził Batję z powrotem do jej pokoju. Po drodze tłumaczył:

- Nie masz powodów do obaw. Dotrzymamy naszej obietnicy. W końcu nie robimy tego wyłącznie dla ciebie, nie ma tu mowy o żadnej osobistej przysłudze; nasza młodzież potrzebuje tekstów Abraszy, które mogłyby się dla nich stać ożywczym tchnieniem. Proszę, nie popędzaj nas. Jest jeszcze mnóstwo czasu; naprawdę nie masz powodów do niepokoju. A przy okazji, jak się domyślam, nie dostałaś dzisiaj obiadu i w tej sprawie masz wszelkie podstawy do zażaleń. Pójdę zaraz do kuchni i powiem im, żeby ci przysłali gorący posiłek; kotły znowu pracują. Nie gniewaj się na nas, mieliśmy trudny dzień. Do zobaczenia.

15

Pozostawało jeszcze akwarium.

Teraz ryby mogły otrzymać tyle uwagi, na ile zasługiwały. Przede wszystkim stara kobieta sprawdziła podłączenia elektryczne. Z tyłu, za pojemnikiem ukryty był prawdziwy gąszcz wtyczek, kontaktów, różnokolorowych przewodów, przełączników i transformatorów, dzięki którym działały wszystkie istotne systemy.

Z malutkiej pompy elektrycznej, umieszczonej pod pojemnikiem, prowadziły do wody dwie przezroczyste plastikowe rurki. Jedna stanowiła połączenie z filtrem, druga doprowadzała do wody powietrze.

Filtr składał się ze szklanego pojemniczka, wypełnionego watą perlonową. Woda, pompowana z dna do góry, przepływała przez filtr, w którym osadzały się cząsteczki brudu, resztki pożywienia i wodorostów, a następnie wracała do akwarium oczyszczona i przejrzysta. Z kolei na-tleniacz dostarczał na dno powietrze, które strumieniem drobnych bąbelków wydostawało się przez perforowany kamień, wzbogacając wodę w tlen i powstrzymując rozra

Wydrążony kamień 180

stanie się alg. Wszystkie te urządzenia sprawiały, że woda była czysta i świeża, i pozwalały rybom rozwijać zapierającą dech w piersiach gamę kolorów i przemykać w różne strony z magiczną zwinnością.

Kolejnym urządzeniem elektrycznym, bez którego akwarium nie mogło funkcjonować, była grzałka, zrobiona ze szczelnie zamkniętej szklanej tubki z gęsto zwiniętą spiralą w środku. Rozżarzony zwój utrzymywał wodę w tropikalnej temperaturze nawet w deszczowe dni i burzliwe noce. Światło i ciepło czyniły cuda pośród szarozielonej gęstwiny podwodnych roślin, gdzie ryby miały swoje kryjówki. Ławica za ławicą wypływały stamtąd, obierając kurs niemożliwy do przewidzenia, ponieważ podlegały nieznanym prawom. Drgające ogony bardziej przywodziły na myśl serce trawione tęsknotą niż serce jako źródło życia. Ryby były niemal przezroczyste, a ich szkielety wyraźnie widoczne przez zimną skórę. One także miały system naczyń krwionośnych; one także podlegały chorobom i śmierci. Ryby jednak nie są takie jak my. Mają zimną krew. Są zimne i żywe, a ich zimno nie oznacza śmierci, lecz życie i żywotność, które każą im wznosić się i opadać, obracać i nagle podrywać w pół drogi. Ciężenie nie ma nad nimi władzy.

Rośliny i kamienie podkreślają to dodatkowo siłą kontrastu. Widok ławicy mieczyków, sunącej delikatnie przez wydrążony kamień, wzbudza w umyśle wdowy poważną wątpliwość. Czyż śmierć nie jest jednym z możliwych rozwiązań, a skoro tak, to po co czekać, dlaczego by od razu nie zatonać.

Przycisnęła rozpalone czoło do szkła. Miała wrażenie, że ryby wpływają jej wprost do głowy. Tutaj jest spokój i cisza.

Szerokość odrywa uwagę od głębokości. A przecież głębokość także istnieje. Wysyła w górę, ku powierzchni, falę za falą mrocznej ciszy. Tafla wody odbija palmy o ściętych pióropuszech.

Nadchodzi zmierzch i okna ciemnieją.

Zamknie teraz okiennice i zaciągnie zasłony. Woda w czajniku już zaczyna wrzeć. Jeszcze herbaty - tym razem w jednej z porcelanowych filiżanek, które specjalnie

181 Wydrążony kamień

na tę okazję wyjęła. Ryby gromadzą się wokół podwodnej żarówki, tak jakby i one wyczuwały nadejście nocy.

Błękitnawy, krystaliczny spokój obejmuje nasze wzgórza. Powietrze jest przezroczyste. Dzienna praca wykonana. Niech stara kobieta znajdzie wreszcie ukojenie. Niech ryby płyną łagodnie w jej snach. Niech nocą nie nawiedzają jej bezgłowe palmy. Ostatnia procesja przepływa przez wydrążony kamień. Zapada ciemność.

1963

¹ **Wielki mufti (tur.-arab.) - muzułmański znawca prawa i teologii, upoważniony do oficjalnego wydawania orzeczeń (fetwy) w kwestiach związanych z islamem (przyp. tłum.).**

¹ **Georgij Plechanow (1856-1918) - działacz rosyjskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, teoretyk i propagator marksizmu (przyp. tłum.).**

Na tej przeklętej ziemi

1

Jefte urodził się na skraju pustyni. I na skraju pustyni wykopano mu grób. Przez wiele lat Jefte przemierza! pustynię w pobliżu granic kraju Ammonitów, a towarzyszyli mu wędrowni koczownicy. Nawet po tym, jak starszyzna Izraela przybyła, aby go odszukać i wynieść do godności sędziego w Izraelu, Jefte nie porzucił pustyni. Był dzikim człowiekiem. To właśnie z powodu owej dzikości starszyzna plemienna wybrała go na swojego wodza. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce w czasach bezprawia.

Jefte był sędzią przez lat sześć. Odnosił zwycięstwo w każdej wojnie, którą prowadził. Jednakże jego świadomość była rozdarta. Nie darzył miłością Izraela ani też nie odczuwał nienawiści wobec swoich wrogów. Należał tylko do siebie, a przecież i dla samego siebie pozostał na zawsze obcy. Nigdy, nawet siedząc we własnym domu, nie przestawał mrużyć oczu, zupełnie jakby chciał je osłonić przed pustynnym piaskiem czy oślepiającym światłem. A może kierował wzrok w głąb duszy, ponieważ nigdzie wokół siebie nie znajdował tego, czego szukał.

I tak też było w dniu jego zwycięstwa nad Ammonitami, kiedy Jefte powrócił do posiadłości ojca swego. Lud wznosił triumfalne okrzyki, córki Izraela śpiewały: „Jefte zwyciężył, Jefte zwyciężył!”, a on tymczasem stał jak w oszołomie

183 Na tej przeklętej ziemi

niu. Jeden ze starszyzny plemiennej, który był tam obecny, pomyślał sobie w duchu: „To człowiek zwodniczy, jego serce nie jest tutaj z nami, lecz daleko stąd”.

Imię jego ojca było Gilead Gileadita. Matka jego, am-monicka nierządnicą, nosiła imię Pitdah córka Eitama. Córkę swoją nazwał Pitdah na jej cześć. U schyłku żywota w obliczu nadchodzącej śmierci Jefte myślał o tych dwóch kobietach jako o jednej i tej samej osobie. Jego matka, Pitdah, umarła, gdy Jefte był młodym chłopcem. Wtedy to przyrodni bracia, a synowie jego ojca, wypędzili go na pustynię, ponieważ był synem obcej kobiety.

Na pustyni przyłączyli się do niego zgorzkniali koczownicy, a on został ich hersztem, posiadał bowiem cechy wodza. Umiał przemawiać do ludzi to głosem serdecznym, to znów z zimną złością, wedle woli. Kiedy wypuszczał strzałę, ujeżdżał konia, stawiał namiot, czynił to zawsze bez pośpiechu, jakby ze znużeniem czy niedbałością, ale było to wrażenie złudne jak sztylet ukryty w zwojach jedwabiu. Zwracał się do kogoś ze słowami: „Powstań, przybądź, odejdz”; i człowiek ów wstawał, przybywał lub odchodził, chociaż Jefte Gileadczyk nie wydał żadnego więcej dźwięku, a jedynie poruszał wargami. Mówił niewiele, gdyż słów nie lubił ani też im nie ufał.

Długie lata przeżył Jefte w górach na pustyni i nigdy, nawet gdy otaczała go hałaśliwa ciżba ludzi, nie przestał być samotny. Pewnego dnia starsi w Izraelu przybyli do niego z prośbą, aby poszedł walczyć dla nich z Ammonitami. Unieśli skraj swoich szat, chcąc uchronić je od pustynnego kurzu, i padli na twarz przed tym dzikim człowiekiem. Jefte wysłuchał posłańców w milczeniu, przyglądając się ich złamanej dumie, jakby to była otwarta rana. Niespodziewanie ogarnął go żal; nie było mu żal starszyzny, a zresztą może to wcale nie był żal, tylko coś, co przypominało spokój, i przemówił do nich ze spokojem:

- Syn nierządniczy zostanie waszym wodzem. A starsi w Izraelu powtórzyli bezgłośnie:

- Naszym wodzem.

Wszystko to wydarzyło się na pustyni, poza granicami kraju Ammonitów, poza granicami ziemi Izraela, w głębo

Na tej przeklętej ziemi 184

kim milczeniu pośród zmieniającego się krajobrazu: piasku, mgły, niskich zarośli, białych gór i czarnych głazów.

* * *

Jeftę pokonał Ammonitów, a potem wrócił do ziemi ojca swego, by dopełnić przysięgi. Był pewien, że wystawiono go na próbę i że próbie tej zdoła sprostać. Dlatego wiążąc sznurami swoją córkę, wciąż czekał, iż usłyszy słowa: „Nie kładź ręki swojej na tej dziewczynie!”

Następnie udał się z powrotem na pustynię.

Kochał Pitdah i ufał głosom ciemności, które co noc unosiły się nad pustynią. Jeftę Gileadczyk umarł w górach, w miejscu zwanym krajem Tob. Niektórzy ludzie po to się rodzą i przychodzą na świat, aby na własne oczy ujrzeć światło dnia i światło nocy i aby światło nazwać światłem. Lecz czasem rodzi się człowiek, który długie dni swojego żywota przemierza w mroku, a po śmierci pozostawia za sobą smugę piany i wściekłości. Po śmierci Je-ftęgo, ojciec jego wykopał synowi grób i pochyliwszy się nad nim, rzekł:

- Sześć lat był on sędzią w Izraelu z łaski Boga. Po czym dodał:

- Łaska Boga to marność.

Każdego roku córki Izraela wyruszają w góry, aby przez cztery dni opłakiwać Pitdah córkę Je-ftęgo. Ślepy starzec podąża za nimi w pewnej odległości. Suche wiatry pustynne wyrywają mu łzy spomiędzy zmarszczek. Żaden jednak wiatr nie zdoła zetrzeć soli, która wysychając, pali starca w policzki. W stronę gór zacierają córki Izraela, by stamtąd lament swój zanieść na pustynię, do krainy lisa, żmii i hieny, ku szerokim przestrzeniom, pożerany przez białe światło. Posepni mężczyźni, wędrowcy z kraju Tob, słysząc nocami ich szloch, odpowiadają z oddali przejmującą pieśnią.

2

Miejsce narodzin Je-ftęgo znajdowało się na granicy kraju. Posiadłość Gileada Gileadity leżała na samym

185 Na tej przeklętej ziemi

obrzeżu plemiennego dziedzictwa. Tutaj pustynia wpełzła w uprawną ziemię, niekiedy wdzierając się w głąb sadów, gdzie dosięgała na równi ludzi, jak i trzód. Słońce już rankiem, ledwie pojawiło się nad górami na wschodzie, zaczynało prażyć ziemię. W południe spadało niczym płonąca ława. Pod koniec dnia złota kula wędrowała ku zachodowi, by tam palić górskie zbocza. Głazy zmieniały barwę i z daleka wydawało się, że poruszają się rozpaczliwie, jak gdyby płonęły żywcem.

Z zapadnięciem nocy na całą krainę zstępował spokój. Chłodne podmuchy wiatru przebiegały po niej z delikatną pieśczęcią. Rosa pokrywała głazy. Nocny wiatr był litościwy. Ta litość, choć tylko przelotna, powracała wciąż od nowa, jak cykl narodzin i śmierci, jak wiatr i woda, zastępując nienawiść i tęsknotę, niby cień, który pojawia się i znika.

Gilead Gileadita, pan na włościach, był wysokim, barczystym mężczyzną. Twarz miał ogorzałą od słońca. Ze wszystkich sił starał się panować nad sobą, a mimo to był tyranem. Słowa spływające z jego warg brzmiały zawsze albo jak nagana, albo jak jadowity szept, tak jakby mówiąc, musiał uciszać jakieś inne głosy. Wystarczyło, że położył swoją mocną, twardą dłoń na głowie jednego z synów, na końskiej szyi albo na kobiecym biodrze, a oni nie patrząc wiedzieli, że to nikt inny, tylko Gilead. Czasami dotykał jakiegoś przedmiotu nie dlatego, iżby chciał coś powiedzieć czy uczynić, lecz dlatego, że targały nim wątpliwości: istnienie wszelkiej substancji napełniało go zdumieniem. Kiedy indziej znów pragnął zmusić do posłuszeństwa rzeczy, których nie sposób dotknąć: dźwięki, tęsknoty, wonie. Zdarzało się, że z nadejściem nocy Gilead mówił raptem: „Noc zapadła”. Słowa tego rodzaju z pewnością nie są potrzebne. Wieczorami wzywał do siebie domowego kapłana, aby ten czytał mu ze świętej księgi, on zaś, przygarbiony, słuchał. Zwracał się do Boga nawet w błahych sprawach, prosząc a to o pomyślne narodziny byczka, to znów o naprawienie dzbanów glinianych, które się potłukły. Bywało, że śmiał się bez powodu.

Na tej przeklętej ziemi 186

Wzbudza! tym wielką bojaźń w swoich sługach. Ilekroć przystanąwszy w polu w samo południe w środku lata, wybuchał gromkim, ochrypłym śmiechem, przerażeni niewolnicy wtórowali mu skwapliwie. A ileż było takich nocy, kiedy Gileada nagle ogarniała zimna nienawiść do lodowatego blasku gwiazd. Wówczas głośnym krzykiem zwoływał wszystkich mężczyzn i kobiety na dziedziniec, a potem na ich oczach schylał się i z pałającym w ciemnościach wzrokiem podnosił z piachu duży kamień: wydawało się, że zamierza cisnąć nim w kogoś, by powalić go na ziemię. W końcu z wielkim wysiłkiem, ociągając się, jakby wyduszano z niego ostatnie tchnienie, opuszczał ramiona i układał kamień z powrotem u stóp tak delikatnie, jak stawia się szkło na szkle, zupełnie jakby starał się ze wszystkich sił nie uszkodzić kamienia ani piasku, ani ciszy nocnej, albowiem noc w owym miejscu były spokojne i wszelkie dźwięki, które je przenikały, przypominały mroczne cienie, poruszające się bezgłośnie pod powierzchnią wód.

Zona Gileada wywodziła się z rodu kapłanów i kupców, a na imię jej było Nehuszta córka Zabulona. Błada jak kreda i bojaźliwa w młodości w domu ojca swego, poznała sny i ciemność. Miała wielkie umiłowanie drobiazgów, takich jak małe stworzenia, guziki, motyle i kolczyki, poranna rosa i kwiat jabłoni, łapy kota, miękka owcza wełna i światełka połyskujące na wodzie.

Gilead pojął Nehusztę za żonę, ponieważ myślał, iż odkrył w niej oznaki wewnętrznego pragnienia, którego nic na świecie nie zdoła ani ugasić, ani złagodzić. Kiedy mówiła: „Popatrz, kamień” albo: „Spójrz na tamtą dolinę”, zdawało się, że mówi: „Chodź, chodź”. Tęsknił za tym, by dotknąć tego pragnienia, tak jak człowiek, który nagle aż do bólu chce pochwycić, choćby tylko opuszkami palców, jakąś myśl czy marzenie. Nehuszta zaś podążyła za Gileadem, dostrzegła w nim bowiem smutek i siłę.

Nehuszta odczuwała namiętą chęć skruszenia tej jego siły i przeniknięcia smutku, a jednocześnie gotowa była im ulec. Jednakże Gilead i Nehuszta nie byli zdolni uczynić jedno drugiemu tego wszystkiego, gdyż w grun

187 Na tej przeklętej ziemi

cie rzeczy ciało i dusza są niczym więcej, tylko ciałem i duszą, a mężczyźni i kobiety nie potrafią za życia zgłębić nawzajem swoich tajemnic. Zaledwie w kilka miesięcy po przybyciu do domu Gileada w Mispie Nehushta nabrała przyzwyczajenia, by stawać samotnie przy oknie z błaganiem w oczach, z nadzieją, że przez pustkowia i góry zdoła dojrzeć równiny czarnoziemu, skąd tu, na tę pustynię, została przywieziona. Wieczorami mawiała do niego:

- Kiedy mnie weźmiesz? A Gilead odpowiadał:

- Przecież dopiero co cię brałem.

- Kiedy stąd odjedziemy?

- Wszędzie jest tak samo.

- Lecz ja nie mogę już wytrzymać.

- A któż może. Przynieś mi wina i jabłek, a potem daj mi spokój, idź do swojej komnaty albo usiądź przy oknie, jak wolisz; tylko przestań tak się wpatrywać w ciemność.

Po latach, kiedy na świat przyszli Jamin, Jemuel i Azur, Nehushta zachorowała i wszystko wskazywało na to, że zaczęła tracić zmysły. Wciąż była biała jak kreda, a skórę miała coraz cieńszą. Nienawidziła pustyni, która za dnia uderzała w okno jej komnaty, a nocą szeptała do niej: „Wszystko stracone, stracone”. Nienawidziła też barbarzyńskich pieśni, śpiewanych przez pasterzy, i porykiwania zwierząt na dziedzińcu i w swoich snach. Czasami nazywała swojego męża martwym człowiekiem, a dzieci sierotami. A znów kiedy indziej o sobie samej mówiła: „Zapewne i ja także od dawna jestem martwa”, a potem siedziała przez trzy dni przy oknie, nie tykając jadła ni wody. Miejsce było odosobnione i dlatego za dnia mogła z okna ujrzeć jedynie piaszczyste wydmy i góry, nocą zaś gwiazdy i ciemność.

Trzech synów dała Nehushta córka Zabulona Gileadowi Gileadicie: Jamina, Jemuela i Azura. Była blada, a jej skóra stawała się coraz cieńsza. Z trudem znosiła mężowskie humory. Kiedy skarżyła się i płakała, Gilead krzychał podniesionym głosem i rzucał o podłogę dzbanem pełnym wina, który z łoskotem rozbijał się na drobne kawał

Na tej przeklętej ziemi 188

ki. A jeśli usiadła cicho przy oknie, głaszcząc kota lub bawiąc się kolczykami i broszkami, które trzymała na kolanach, Gilead przystawał i przyglądał się jej, śmiejąc ochryple; włochaty i cuchnący potem. Chwilami odczuwał litość dla niej, a wtedy powiadał:

- Może król usłyszy o twoim smutku. Może wyśle po ciebie wozy i konie. Może dziś lub jutro ukażą się w oddali pochodnie i posłańcy przybędą.

A Nehushta odpowiadała:

- Nie ma żadnego króla. Nie ma żadnych posłańców. Dlaczego ktoś miałby po mnie posyłać. Nic nie ma.

Słowa te wzbudzały w Gileadzie współczucie dla niej, a zarazem wściekły gniew na siebie samego za to, co jej uczynił. Bił się pięściami w piersi i przeklinał siebie i swoją pamięć. Niespodziewanie litość przeradzała się w pogardę dla tej kobiety albo dla siebie samego i swojego wobec niej współczucia i zamykał się w swoich pokojach, kryjąc się przed jej spojrzeniem. Wiele dni potem nie widziała go Nehushta, aż wreszcie którejś nocy, kiedy ona traciła już nadzieję, przychodził i rzucał się na nią z miłością. Kochając się z nią, zaciskał zęby jak człowiek, który usiłuje gołymi rękami rozerwać żelazny łańcuch.

Był ponury i przepętniony rozpaczą. Nocą w blasku pochodni oblicze jego wyglądało jak jedna z owych masek, którymi zakrywali sobie twarze pogańscy kapłani. Zdarza się, że ktoś przeżyje całe życie jak wygnaniec w obcym kraju, gdzie znalazł się wbrew własnej woli i skąd nie ma dla niego ucieczki.

Zimą Gileada ogarniała melancholia. Potrafił przeleżeć na wznak cały dzień albo i tydzień z niewidzącymi oczami utkwionymi bezmyślnie w łukowym sklepieniu. W takich chwilach Nehushta wchodziła niekiedy do jego sypialni i pieściła go bladymi palcami, tak jakby był jednym z jej ulubionych zwierzątek. Wargi miała chorobliwie białe, on zaś poddawał im swoje ciało, podobnie jak znużony wędrowiec oddaje się nierządniczy w jakiejś przydrożnej gospodzie. A cisza obejmowała ich oboje.

Lecz kiedy ożywcza moc zaczynała wzbierać w jego bezwolnym ciele, Nehushta uciekała do swojej najdalszej

189 Na tej przeklętej ziemi

komnaty. Wtedy Gilead przypuszczał atak na pokoje kobiece, gdzie wyzywając się na służebnicach, dawał ujście kipiącej jadom wściekłości. Przez całą noc dochodziły stamtąd pijane wrzaski i ciche, drżące jęki i lamenty dziewcząt, niemilkące aż do świtu, kiedy to Gilead ukazywał się nagle w drzwiach i brutalnie budził domowego kapłana. Kajał się u jego stóp, szlochając: „O, ja nieczysty, nieczysty”, po czym z twarzą wciąż mokrą od łez, jednym ciosem zwał kapłana z nóg, a sam wypadł z domu i osiodławszy konia, odjeżdżał galopem ku wzgórzom na wschodzie.

W skrzydle domu, zajmowanym przez kobiety, mieszkała ammonicka konkubina imieniem Pitdah córka Eitama, którą Gileadici porwali podczas jednego z najazdów na osady Ammonitów, leżące za pustynią. Pitdah była silną, smukłą dziewczyną o zielonych oczach, ocienionych gęstymi rzęsami. Wystarczyło, że stanąwszy na dziedzińcu, skierowała spojrzenie tych oczu na usta lub pierś swego pana, przebierając przy tym palcami po brzuchu, a już Gilead zaczynał drzeć i urągać małej niewolnicy. Krzykiem przywoływał ją do siebie, łapał jedną ręką za obie dłonie i kasał jej wargi, aż w końcu krzyczeli oboje. Jej biodra ciągle były w ruchu; nawet gdy znalazłszy się w pobliżu stajni, zatrzymywała się przy wejściu, by odetchnąć zapachem końskiego potu, one zdawały się tańczyć w takt jakiegoś sekretnego, wewnętrznego rytmu. Ogień i lód skrzyły się zielonkawo w źrenicach jej oczu. I zawsze chodziła boso.

Po pewnym czasie wyszło na jaw, że Ammonitka praktykuje czary. Odkryły to jej rywalki, które podpatrzyły którejs nocy, jak Pitdah z błyszczącymi oczami warzyła po ciemku zioła. A ona wołała umarłych i przyzywała ich do siebie, od dziecka bowiem przeznaczona była na kapłankę Milkoma, boga Ammonitów. Drzewa w mrocznym sadzie szeleściły tajemniczo, odrzwia domu skrzypiały na wietrze. Odprawiała swoje czary nocą w piwnicy: wywar parował bulgocząc, a cień kobiety drżał i migotał na zniszczonych siodłach i beczkach z winem, na drewnianych cepach i żelaznych łańcuchach.

Na tej przeklętej ziemi 190

Kiedy jej praktyki zostały ujawnione, Gilead rozkazał, aby ammonickiej niewolnicy wydano skórzany bukłak z wodą i aby wypędzono ją na pustynię do umarłych, których wzywała po nocach, jako że zostało napisane: „Nie dopuścisz, ażeby czarownica pozostawała przy życiu”.

Jednakże z pierwszym brzaskiem pan osiodłał konia, po czym pojechał i przywiózł Pitdah z powrotem do domu. Przeklął jej bogów i spoliczkował ją wierzchem szorstkiej dłoni.

Na to Pitdah, dysząc mu prosto w twarz, obrzuciła go klątwami, a wraz z nim jego lud i jego Boga. Gorące, zielone skry płonęły w jej źrenicach.

Nagle oboje wybuchnęli śmiechem i weszli do domu. Drzwi zamknęły się za nimi. Konie rżały na podwórku.

Zona Gileada, Nehusza, namawiała swoich trzech synów, aby wystąpili przeciwko ammonickiej służebnicy, gdyż dłużej nie mogła już tego znosić. Wstawszy z łoża, podchodziła w białej szacie do okna, plecami zwrócona do pokoju i do swoich synów, twarzą zaś ku pustyni, i tłumaczyła im szeptem:

- Widzicie, jak matka wasza umiera na waszych oczach, a zachowujecie milczenie. Przestańcie milczeć.

Lecz Jamin i Jemuel obawiali się ojca i nie zamierzali nawet palcem kiwnąć.

Jedynie Azur, najmłodszy z synów, dał w końcu posłuch jej słowom i zaczął snuć intrygę przeciwko Ammo-nitce. Ów Azur całe dni poświęcał psom z posiadłości Gileada. Karmił je i poił, uczył sztuczek i tresował, by rzucały się prosto do gardła. W domu Gileada w Mispie powiadano o nim: „Ten Azur rozumie psi język, potrafi też wyc i szczekać, zupełnie jakby sam był jednym z nich”. Azur hodował szarego wilczka, który jadał z nim z jednej misy i pił z jednego kubka, a obaj mieli ostre, białe zęby.

Pewnego dnia na początku jesieni pod nieobecność Gileada, który pojechał na dalej położone pola, Azur poszczuł swoje psy na Pitdah, ammonicką konkubinę. Stał w cieniu domu i kiedy Pitdah tamtędy przechodziła, wydał gardłowy pomruk, a wtedy psy, z wilczym szczenią

191 Na tej przeklętej ziemi

kiem pośród nich, zeskoczywszy z kupy gnoju, rzuciły się i niemal rozerwały ją na strzępy.

Z zapadnięciem zmroku Gilead powrócił do domu i oddał swego syna w ręce okrutnego niewolnika, pokurczonego i pokrytego bliznami, aby ten wyprowadził Azu-ra na pustynię, tak jak winno się to czynić z mordercą.

W nocy spoza palisady dochodziło wycie dzikich zwierząt, których żółte ślepie połyskiwały w mroku.

Także i tym razem Gilead wyruszył konno o brzasku, by odszukać i sprowadzić Azura z powrotem do domu. Bił i przeklinał syna, tak samo jak niegdyś bił i przeklinał swoją konkubinę.

Po tych wydarzeniach zaczęto szeptać, że Ammonitka rzuciła czar na Azura: przez dni czterdzieści wył on i ujadał, a nie mógł przemówić ani słowa.

Na swego pana Pitdah również sprowadziła ciemne moce za to, że oszczędził Azura; ponoć nigdy mu tego nie wybaczyła. Ciężkie przygnębienie zawładnęło Gileadem; mijало tylko wtedy, gdy wypił bardzo dużo wina.

Kiedy Pitdah urodziła Jeftego, Gilead Gileadita zamknął się sam w piwnicy na cztery dni i pięć nocy. Przez cały ten czas trącał kielichem o kielich, po czym opróżniał oba, by zaraz napełnić je ponownie. Piątej nocy padł na ziemię. We śnie ujrzał czarnego jeźdźca z włócznią czarnego ognia, który dosiadał czarnego rumaka, a unosząca się w powietrzu ponad nim postać, która nie była ani Pitdah, ani Nehusztą, tylko jakąś nieznaną mu kobietą, trzymała wodze w dłoniach; koń i jeździec podążali za nią w milczeniu. Gilead nie zapomniał tego snu, ponieważ wierzył, podobnie jak wierzyli niektórzy, że sny są nam przysyłane z tego miejsca, skąd człowiek pochodzi i do którego poprzez śmierć swoją powraca.

Gdy Jefte był już na tyle duży, że mógł opuszczać pokoje niewieście i biegać po dziedzińcu, nauczył się chować przed swoim ojcem. Leżał przyczajony w stogu siana tak długo, aż zwałisty mężczyzna, nie mogąc go nigdzie znaleźć, odchodził, a jego groźne kroki milkły w oddali. Dopóki Gilead nie zniknął, chłopczyk żuł źdźbło słomy czy siana albo ssał palec, powtarzając sobie szeptem: „Spokojnie, spokojnie”.

Na tej przeklętej ziemi 192

Jeśli jednak malec był zbyt pochłonięty marzeniami i nie zdążył się ukryć, Gilead Gileadita chwycił go swymi strasznymi łapskami i podrzucił wysoko w górę; ryczał przy tym jak byk, włochaty i cuchnący potem, a chłopiec wył z bólu i strachu i zatapiał drobne zębki w ojcowskim ramieniu, na próżno usiłując się uwolnić z mocnego uścisku.

3

Jefte urodził się u stóp pustyni. Włości Gileada Gileadity leżały na granicy plemiennego dziedzictwa. Na ich obrzeżach zaczynała się pustynia, a za pustynią rozciągał się kraj Ammonitów.

Gilead Gileadita posiadał stada owiec, miał także pola uprawne i winnice, których krańce żółciły się pustynnym piaskiem. Zabudowania otaczał wysoki mur z kamienia. Również dom został zbudowany z czarnej wulkanicznej skały. Wiekowe pnącza winorośli porastały jego ściany. W letnie dni zdawało się, że ludzie wchodzi i wychodzą przez gęstwinę winogrodu; listowie było tak gęste, że latem czarne ściany nikły pod nim całkowicie.

Nad ranem pobrzękiwały owcze dzwonki, piszczałki pasterzy wydawały nieuchwytnie, czarodziejskie tony, woda szemrała spokojnie w kanałach nawadniających, a w studniach połyskiwało szarawe światło.

Spokój panował o poranku w posiadłości Gileada.

Lecz ten spokój skrywał tłumioną tęsknotę. Chłodny półmrok zalegał w cieniu wielkich drzew.

I tylko ciemne, niewzruszone postacie pasterzy co noc strzegły zagrody od niedźwiedzi, koczowników i grasujących Ammonitów. Jak noc długa, na szczycie dachu płonęły pochodnie, a stado wychudłych psów czaiło się w mrocznych sadach. W ciemnościach kapłan domowy przemykał wzdłuż ogrodzenia jak czarna cień, odpędzając złe duchy.

Od wczesnego dzieciństwa Jefte znał wszystkie dźwięki nocy. Miał we krwi odgłosy wiatru i wilka, i drapieżnego ptaka, a także ludzkie głosy, udające wiatr i lisa, i ptaka.

Poza ogrodzeniem istniał inny świat, który w dzień i w nocy pragnął skrycie, aby zrównać to domostwo z zie-

13. Tam, gń?ie wyją

193 Na tej przeklętej ziemi

mią, i nękał je podstępnie, z nieskończoną cierpliwością, jak strumień, co z wolna podmywa brzegi. Był to świat niewyobrażalnie łagodny i cichy, bardziej miękki niż mgła, spokojniejszy niż powiew wiatru, a zarazem zawsze obecny: potężny i niewidzialny.

Czarne kozy dotrzymywały chłopcu towarzystwa; wyganiał je na pastwiska i całymi dniami obserwował, jak przeżuwały rzadką trawę, narażając życie na stromych turniach, gdzie pośród skalistych wąwozów uchowały się wąskie pasy darni, jako że miejsce to leżało na skraju pustyni. I jeszcze towarzyszyły mu wychudłe psy, psy jego brata, Azura. Były niesforne, a pod służalczą skrywały okrucieństwo. Dzikie ptactwo garnęło się do Jeftego, zawodząc mu swoje skargi wprost do ucha.

O poranku ptaki krzyczały w oddali. A wieczorem, kiedy zmrok zapadał, świerszcze grały przenikliwie, zupełnie jakby miały jakąś ważną i straszną nowinę do obwieszczenia. W ciemnościach Jefte słyszał, jak delikatną ciszę z rzadka przeszywa krzyk lisa czy może szakala, przerywany chichotem hieny.

Co jakiś czas koczownicy z pustyni napadali pod osłoną nocy na posiadłość. W ciemnościach pasterze Gileada czatowali na wroga, który skradał się bezszelestnie jak tchnienie; jeśli zabił, wymykał się bezgłośnie, a jeśli to on został zabity, równie cicho umierał. Rano znajdowano mężczyznę, który leżał na wznak pod drzewem oliwnym, nierzadko z palcami wciąż jeszcze zaciśniętymi na rękojeści noża, tkwiącego w jego ciele, i z wywróconymi gałkami oczu. Mógł to być równie dobrze pasterz, jak i wróg.

Przyglądając się białkom wytrzeszczonych oczu zmarłego, Jefte myślał: „Trup zwraca oczy do wewnątrz, bo pewnie widzi tam coś innego”.

Niekiedy śniła się Jeftemu jego własna śmierć, a wtedy zdawało mu się, że czuje, jak mocne, dobrotliwe ręce układają go na ziemi. Drobną mżawka obmywa go łagodnie i dobrotliwie, a mała pastreczka mówi: „Tutaj spoczniemy przez chwilę i poczekamy, aż deszcz przeminie i powróci światło”.

Na tej przeklętej ziemi 194

Letnią porą roślinność szalała w sadach, a w dojrzewających owocach nabrzmiewał soczysty miąższ. Mocne soki płynęły w żyłach jabłoni. Pędy winorośli zdawały się drzeć pod ciśnieniem uwiecznionego nektaru. Kozy swawoliły, a byk ryczał i miotał się rozjuszony. W pokojach kobiet i w pasterskich szałasach rozbrzmiewały ciężkie, przerywane oddechy; o świcie dochodziły chłopca przez sen odgłosy, które przypominały jęki konającego zwierzęcia. Kobiety również wypełniały sny Jeftego: ogarniała go tęsknota za siłą delikatności, której nie potrafił nazwać, nie jedwab, nie woda, nie skóra, nie włosy, tylko jakaś tęsknota za ciepłym, przelotnym dotykiem, który niemal dotykiem nie był, lecz był raczej jak myśl o strumieniu, jak woń, barwa, a może coś jeszcze innego.

Nie lubił słów i dlatego milczał.

W swoich snach w letnie noce młodości łagodnie przedzierał się pod prąd.

Rano po przebudzeniu brał sztylet i powoli, cierpliwie badał nim wszystko, co znalazł na dziedzińcu: Kurz. Korę. Wełnę. Kamień. Wodę.

Jefte nie okazywał humorów jak jego ojciec. Był silnym, zgrabnym chłopcem; kolory, dźwięki, zapachy i przedmioty pociągały go znacznie bardziej niż słowa czy ludzie. Mając dwanaście lat, potrafił już obchodzić się z toporem, jagnięciem, maczugą i uzdą. Kiedy to czynił, chwilami dawało się w nim wyczuć podniecenie, nad którym umiał jednak zapanować.

A potem zaczęła go osaczać nienawiść jego braci: Ja-mina, Jemuela i Azura. Życzyli mu źle, ponieważ był synem obcej kobiety, ponieważ zachowywał wyniosłe milczenie i ponieważ ciągle wydawało się, że za aroganckim spokojem skrywał nieustępliwe, tajemne myśli, którymi z nikim nie zamierzał się dzielić. Kiedy bracia zapraszali go do wspólnej zabawy, dołączał do nich bez słowa. Wygrawszy zawody, nigdy nie chełpił się ani też nie napawał zwycięstwem, tylko milczał uparcie, czym po siedemkroć pogłębiał ich nienawiść. A jeśli któryś z braci pokonał Jeftego, zawsze miało się poczucie, że to Jefte sam dobrowolnie przystał na to zwycięstwo, z wyrachowania czy po

195 Na tej przeklętej ziemi

gardy albo dlatego, że w połowie gry przestał się nią interesować.

Wszyscy trzej bracia, Jamin, Jemuel i Azur, byli mocno zbudowanymi, barczystymi młodzieńcami. Na swój sposób umieli śmiać się i cieszyć. Z kolei Jefte, syn obcej kobiety, był smukły i jasnowłosy. Nawet kiedy się śmiał, sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Zazwyczaj przyglądał się innym, nie spuszczać z nich wzroku. Przelotna, żółta iskierka, rozbłyskująca w jego oczach, nieoczekiwanie zmuszała ich do ustępstwa.

Z powodu czarów Pitdah, a może ze strachu przed ojcem, bracia nie odważyli się traktować Jeftego tak źle, jak by tego chcieli. Jedyne syczeli cicho z daleka: „Poczekaj no tylko!”

Kiedyś Pitdah powiedziała:

- Płacz, Jefte, i błagaj naszego boga Milkoma, a on cię wysłucha i ochroni przed ich przyczajoną nienawiścią.

Jednakże w tej kwestii Jefte nie chciał usłuchać matki. Zamiast błagać ammonickiego boga Milkoma, skłonił się tylko matce nisko i rzekł:

- Jak sobie matka moja życzy. - Zupełnie jakby uważał Pitdah za panią tego domu.

A ona pragnęła zapewnić mu błogosławieństwo Milkoma, boga Ammonitów, przeczuwała bowiem, że wkrótce umrze, a wtedy jej syn zostanie sam pośród obcych. Dlatego to warzyła swoje napary nocami i nocami poila nimi Jeftego. Kiedy głaskała go po policzku, chłopiec drżał.

Wprawdzie Jefte w głębi duszy nie wierzył w te odwary z ziół, ale nie odmawiał ich wypicia. Lubił ich dziwny, cierpki zapach, zapach palców jego matki. A ona opowiadała mu o Milkomie, którego Ammonici czcili ofiarami z wina i jedwabiu. Milkom nie jest taki, jak Bóg twojego ojca, jak ów bezpłodny Bóg, co zsyła nieszczęścia i upokarza tych, którzy go kochają. Nie, Milkom kocha włóczęgów i ludzi podochoconych winem, kocha śpiewaków, wkładających całe serce w swoją pieśń, i kocha też muzykę, która zaciera granice między ekstazą i szaleństwem.

O Bogu Izraela Pitdah mówiła: „Biada tym, którzy grzeszą przeciwko niemu, i biada tym, którzy go czczą; on

Na tej przeklętej ziemi 196

dotknie wszystkich na równi śmiertelną udręką, gdyż jest Bogiem jedynym".

W letnie noce Jefte obserwował gwiazdy na niebie nad włościami ojca i nad pustynią. Wydawały mu się do głębi samotne, każda gwiazda osobno w czarnej otchłani; niektóre z nich wędrowały nieprzerwanie po niebie, z jednego krańca na drugi, a inne jakby miały korzenie. W gwiazdach nie było smutku, ale też nie było w nich radości. Gdy któraś nagle zaczynała spadać, pozostałe ledwie raczyły to zauważyć, nie przerywając nawet na chwilę swojego chłodnego migotania. Spadająca gwiazda pozostawiała za sobą ślad zimnego płomienia, a i ten ognisty ogon także w końcu gasł i poddawał się ciemności. Stojąc bosko i natężając słuch, można było w ciszy usłyszeć ciszę.

Kapłan domowy, który nauczał pozostałych braci, na Piśmie Świętym uczył również Jeftego czytać i pisać. Pewnego razu Jefte zapytał kapłana, dlaczego Bóg był bardziej miłosierny dla Abła i Izaaka, Jakuba, Józefa i Efraima i dlaczego przedkładał ich ponad starszych braci Kaina, Izmaela, Ezawa i Manassesę: całe zło zapisane w Biblii pochodziło przecież od samego Boga i do niego to wołała z ziemi przelana krew Abła.

Kapłan był zażywnym mężczyzną o małych, niespokojnych oczkach. Chodził wiecznie skulony z obawy przed gniewem pana domu. Odpowiedział Jeftemu, iż niezbadane są wyroki boskie, a któż ma prawo pytać Boga dlaczego lub z jakiej przyczyny. Nocą przyśnił się Jeftemu Bóg, potężny i kudłaty jak niedźwiedź, z zachłanną paszczą, który przyszedł i dysząc, dysząc i sapiąc, zaczął na niego warczeć, tak jakby dygotał z żądz albo kipiącej wściekłości. Jefte krzyczał przez sen. Ludzie czasem krzyczeli przez sen w domu Gileada, a kiedy przestawali, wokół zapadała cisza.

Milkom także wkładał się w sny Jeftego w owe letnie noce. Gorące prądy szczerze przepływały przez ciało chłopca, podczas gdy jedwabiste palce dotykały jego skóry, a pełne słodczy soki obmywały go od stóp do głów.

Nazajutrz rano Jefte, samotny i zamknięty w sobie, wyszedłszy na wielki dziedziniec, przeskakiwał ukrad

197 Na tej przeklętej ziemi

kiem z cienia w cień, a wtedy nawet żółta iskierka gasła w jego oczach.

Kiedy Jefte był chłopcem mniej więcej czternastoletnim, zaczął otrzymywać znaki. Czy to wędrując samotnie przez pola, czy podążając za stadem w dół jednego z wąwozów, czuł, że znaki, które go nawiedzały, są przeznaczone wyłącznie dla niego i że to jego wzywają. Nie mógł jednak odkryć, co oznaczają ani kto go wzywa. Niekiedy padał na kolana, tak jak nauczył go domowy kapłan, i bijąc głową o skałę, wołał z błaganiem:

- Już, teraz!

W głębi duszy porównywał miłość Boga i miłość Milkoma. Uznał miłość Milkoma za rzecz bardzo prostą, która przychodziła mu niemal bez najmniejszego trudu, jak przywiązanie psa. Bawisz się z nim przez chwilę i już zdobyłeś jego serce; podejdzie, polize cię po ręce, a może nawet zacznie strzec twojego snu pod gołym niebem.

Jednakże Boga nie śmiał Jefte prosić o miłość, ponieważ nie wiedział, o co ma prosić. Jeśli w nagłym przypiływie dumy, jaka w nim wzbierała, czynił w myślach porównania, mówiąc sobie: „Ja jestem najmłodszy, jestem jak Abel i Izaak, i Jakub, synowie dani rodzicom na stare lata”, natychmiast przypominało mu się, iż jest synem obcej kobiety, jak Izmael, który był synem Egipcjanki.

Pewnego dnia pan powiedział swoim domownikom, iż do Boga powinno się podchodzić nie tak, jak motyl przy-fruwa do kwiatu, lecz tak, jak zbliża się on do ognia.

Usłyszawszy te słowa, chłopiec postanowił, że sam musi się o tym przekonać. Począł szukać niebezpieczeństw, na które mógłby się wystawić. Poddawał się próbom w górskich żlebach, na ruchomych piaskach i w głębokiej studni. Zapragnął też zmierzyć się z wilkiem. Którejś nocy wyruszył nieuzbrojony i w pojedynek pokonał wilka u stóp jego legowiska, gołymi rękami łamiąc zwierzęciu kręgosłup. Powrócił z tej próby do domu z lekkim ukąszeniem, ledwie draśnięty. Tak oto wciąż starał się pozyskać łaskę Boga, a jesienią zaczął się nawet ćwiczyć w przesuwaniu ręki przez płomienie bez krzyku.

Na tej przeklętej ziemi 198

Zauważywszy parę podobnych prób, kapłan domowy poszedł powiedzieć swojemu panu, że mały Ammonita wkłada rękę w ogień. Gilead wszystkiego wysłuchał i chmura gniewu przemknęła mu po twarzy; zaśmiał się dziko, zwymyślał kapłana i celnym uderzeniem powalił go na ziemię.

Jeszcze tego samego wieczoru Gilead Gileadita rozkazał, aby przyprawiono mu syna konkubiny. W palenisku płonął ogień, jako że pustynna noc była zimna, a powietrze suche i ostre. Na ścianach komnaty wisiały siodła, żelazne łańcuchy, tarcze, cepy i dzidy z polerowanego brązu. Blask płomieni odbijał się w nich ponuro.

Utkwiwszy swoje szare oczy w synu obcej kobiety, Gilead długo mu się przyglądał chłodnym wzrokiem. Nie mógł sobie przypomnieć, ani dlaczego posłał po chłopca

0 tak późnej porze, ani też dlaczego psy ujadają w ciemnościach za oknami. Na koniec przerwał milczenie

1 rzekł:

- Mój synu, powiedziano mi, że wkładasz rękę w ogień, i że czyniąc to, nie wydajesz krzyku .

Odpowiedział Jefte:

- To prawda.

Gilead ozwał się w te słowa:

- A dlaczegoż to czynisz rzecz tak złą i bolesną? Jefte odparł:

- Aby się przygotować, Ojciec.

- Przygotować się na co?

- Nie wiem na co.

Przemawiając do ojca, Jefte spoglądał na szeroką, szorstką prawicę, spoczywającą ciężko na glinianej tacy. Na widok ojcowskiej ręki jego własna blada, szczupła dłoń napełniła się trwogą i tęsknotą. Może miał nadzieję, że ojciec odezwie się doń serdecznie, a może uwierzył, że poprosi o synowską miłość. W owej chwili, po raz pierwszy i jedyny w życiu, Jefte raptem zapragnął być kobietą. Ale nadal nic nie rozumiał. W palenisku trzaskał ogień, na broni z brązu wiszącej na ścianach nikłym światłem jarzyły się skry, w oczach pana także migotała jakaś iskierka.

Gilead przemówił szeptem:

199 Na tej przeklętej ziemi

- Doskonale, a zatem włóż rękę w ogień, abyśmy mogli to zobaczyć.

Jefte spojrział błagalnie na ojca, lecz twarz Gileada Gi-leadity skrywała się w rozedrganych blaskach i cieniach, rzucanych przez miotające się niespokojnie na wszystkie strony języki ognia w palenisku. Chłopiec powiedział:

- Słowo mojego ojca jest dla mnie rozkazem. Ozwał się Gilead:

- Włóż teraz rękę do ognia. Jefte odrzekł:

- Jeśli będziesz mnie kochał.

Kiedy Jefte wyciągał rękę, ukazał wszystkie zęby jak w uśmiechu, choć wcale się nie śmiał. Nagle jego ojciec krzyknął:

- Synu mój, nie dotykaj ognia. Dość tego.

Lecz Jefte nie chciał posłuchać ani też nie odwrócił oczu. Płomień dotknął jego ciała, a poza ogrodzeniem ciągnęła się pustynia aż po najdalsze wzgórza.

Następnie zwrócił się Gilead do Jeftego, swojego syna, ze słowami:

- Naznaczony jesteś skazą, podobnie jak nosi w sobie skazę twój ojciec. A mimo to nie mogę cię nienawidzić.

Następnie pan nalał wina z glinianego dzbana do dwóch prostych kubków i powiedział:

- Napij się ze mną wina, Jefte.

A ponieważ ani mężczyzna, ani chłopiec nie byli skłonni ufać słowom, ani też ich nie lubili, upłynęła połowa nocy, zanim któryś z nich wypowiedział kolejne słowo.

Na koniec powstał Gilead i przemówił:

- A teraz, mój synu, odejź. Nie darz swego ojca nienawiścią ani też go nie miłuj. Zła to rzecz, że każdy z nas musi być synem dla ojca i ojcem dla syna, i mężczyzną dla kobiety. Dał nad dałą. A zatem, nie stój już i nie przyglądaj się tak. Odejź.

4

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, bywało niekiedy, że ojciec i syn wyjeżdżali wspólnie przed świtem na otwar

Na tej przeklętej ziemi 200

tą przestrzeń. Przecinali koryto wąwozu i wspinali się po zboczu, które wiodło na szeroką, piaszczystą równinę, a potem bardzo powoli, jak we śnie, przemierzali spalony słońcem płaskowyż. Uparte, skazane na zagładę krzewy wyrastały gdzieś w szczelinach skał. Bardziej przypominały odłamki nagich głazów niż rośliny. Zabójczy, biały blask bił z góry niemiłosiernie. Ujechawszy spory kawał drogi, jeźdźcy nawiązywali rwącą się rozmowę. Gilead pytał:

- Dokąd chcesz pojechać, Jefte?

Mrużąc oczy w brutalnie palącym blasku, Jefte po dłuższym milczeniu odpowiadał:

- Tam, gdzie jest moje miejsce. Do domu. Wówczas Gilead, z cieniem uśmiechu przebiegającym

mu po skamieniałej twarzy, zadawał pytanie:

- A więc czemu nie zawrócimy i nie pojedziemy do domu?

A Jefte, odwzajemniając się słabym uśmiechem, mówił głosem dalekim i nieobecny:

- To nie jest mój dom.

- Gdzie więc jest ten twój dom, do którego chcesz się udać?

- Tego właśnie, Ojczy, wciąż jeszcze nie wiem.

Po takiej wymianie zdań ponownie zapadało między nimi milczenie. Teraz jednak obaj byli wewnątrz tego samego milczenia, a nie w dwóch milczeniach osobnych. Chłopca przepelniała miłość; z wielką czułością gładził końską grzywę. Pewnego razu, kiedy dotarli do doliny z czarnego bazaltu, zwrócił się do ojca z pytaniem:

- Co takiego próbuje powiedzieć pustynia, jaka myśl kryje się w nieuprawnej ziemi, dlaczego wiatr zrywa się i dlaczego nagle zamiera, jakim zmysłem człowiek zdolny jest usłyszeć natłok dźwięków, a jakim zmysłem słyszy ciszę?

Na co odparł Gilead:

- Ty sam dla siebie. Ja sam dla siebie. Każdy człowiek dla siebie samego.

A po chwili dodał, tym razem z cieniem współczucia w głosie:

201 Na tej przeklętej ziemi

- Tam siedzi jaszczurka. O, już uciekła. Po czym obaj ponownie zatopili się we wspólnym milczeniu.

W drodze powrotnej na farmę zdarzało się, że Gilead Gileadita niespodziewanie wyciągał szeroką, szorstką dłoń i przez jakiś czas przytrzymał za uzdę konia swojego syna. I tak jechali razem, blisko siebie.

Dopiero minawszy ogrodzenie, Gilead puszczał go i pozwalał Jeftemu dołączyć do innych chłopców na podwórzu, a sam wchodził do domu.

Ostatniej zimy Pitdah przychodziła czasami nocą do sypialni Jeftego. Jak zawsze bosonoga, siadywała na brzegu jego łóżka i szeptała cicho swoje zaklęcia. Albo wybuchała nagłym śmiechem, śmiechem tak miękkim i gorącym, że chłopiec, nie mogąc się dłużej powstrzymać, zaczynał jej bezgłośnie wtórować. A znów kiedy indziej nuciła mu łagodne piosenki ammonickie o bezkresnych morzach albo o koziołku w winnicy, albo o cierpieniu i łasce.

Brała w swoje dłonie rękę chłopca i z wolna przesuwiała sobie jego palce po ramieniu aż na bark i jeszcze dalej, powolutku, wokół miękkiej szyi. I wabiła go ku bogu rozkoszy Milkomowi, wymawiając porywczco dziwne słowa, które odsłaniały sekrety jego własnego ciała i tego wszystkiego, do czego ciało było zdolne. I błagała, żeby uciekał z tych piasków do miejsc pełnych cienia i wody, zanim pustynia zdoła wypalić mu krew i ciało.

Jefte nigdy w życiu nie widział morza, nie znał też jego zapachu ani szumu fal w ciemnościach, ale o swojej matce mówił: „Morze, morze”.

Pewnej nocy, kiedy matka odeszła, Jefte miał sen. Zjawił się łysy, pokurczony rządcą i zaczął strzyc jagnię tuż przy skórze, następnie ostrzygł je znowu, aż skóra stała się chorobliwie zaczerwieniona, poprzecinana niezliczonymi żyłkami; i jeszcze raz, po czym zarznął to jagnię, nie tnąc w szyję, tylko w brzuch, aż czarna krew tryskała bulgocząc; Jefte śnił, że cały lepi się od tej krwi, a wtedy przyszedł potężny Bóg o żelaznych ramionach, okryty ko

Na tej przeklętej ziemi 202

smatym niedźwiedzim futrem, a byi rozpalony i buchający żarem. Na dywanie z winnych liści leża! Milkom spowity w jedwabie i klejnoty, i Jefte ujrzał, że Bóg siłą przedziera się przez warstwy jedwabiu, podobnie jak tryk

O oczach nabiegłych krwią, który z pasją wbija się w owcę, a ona schyla się pokornie w oszołomieniu wobec rozpętanej przeciwko sobie niepohamowanej furii.

Jefte obudził się z tego koszmaru zlany potem. Otworzył oczy i leżał, dygocząc gorączkowo w nieprzeniknionym mroku, zacisnął więc powieki, ale znowu zobaczył jedynie ciemność; i zaczął powtarzać szeptem słowa modlitwy, której nauczył się od domowego kapłana, lecz nadal nie mógł ujrzyć nic poza ciemnością; i próbował śpiewać piosenki swojej matki, jednak ciemność nadal go nie opuszczała, a on leżał na łóżku jak skamieniały, ponieważ wyobraził sobie, że kiedy spał, jego ojciec i matka, kapłan i niewolnice, owce i pasterze, i jego przyrodni bracia, i psy podwórzowe, a nawet wędrowni koczownicy -wszyscy ponieśli śmierć; i tylko on żył pozostawiony sam sobie, za oknem zaś, w ciemnościach aż po krańce ziemi rozpościerała się pustynia.

Pewnej nocy pod koniec owej zimy Pitdah umarła. Niewolnice orzekły: „Ammonicka nierządnicą zginęła przez swoje czary”. Dlatego to następnego dnia pochowano ją w miejscu przeznaczonym dla ludzi wyjętych spod prawa.

Owego ranka daleko na horyzoncie, na skraju równiny, wznosił się szary słup burzy piaskowej, wysoki i wściekły, powietrze zaś napełniło się kurzem i zapachem nadciągającej nawałnicy. Całą ziemię pokrył pylisty popiół. Tymczasem kapłan domowy, rzuciwszy garść ziemi na grób zmarłej, wypowiadał mroczne zaklęcia:

- A teraz opuść nas i idź do tego przeklętego miejsca, skąd zostałaś uprowadzona, a nie wracaj do nas ani w ciemnościach, ani też we śnie, inaczej dosięgnie cię gniew Boży, nawet po śmierci twojej, a demony zniszczenia będą cię prześladować. Odejdź, odejdź, przeklęta, idź

1 nie wracaj nigdy więcej, a nas pozostaw w pokoju. Amen.

203 Na tej przeklętej ziemi

Na dźwięk tych słów Jefte podniósł kamień z ziemi i przycisnął go do warg, a potem nagłe błaganie wyrwało mu się z piersi: „Boże, miłuj mnie, a ja będę sługą twoim, przemów do mnie, a stanę się najchudszy i najstraszliwszy z twoich psów, tylko przestań być taki obcy”,

Po pogrzebie zamknęła się kopuła nieba. Zwaliste, czarne kształty pędziły jeden za drugim, gnane wichrem, tak jakby po to wysłane, aby roztrzaskać się o ścianę gór na wschodzie lub aby tę górską ścianę przebić na wylot. Jeszcze później białe błyskawice rozbłysły i przetoczył się cichy grzmot. Dom z czarnego wulkanicznego kamienia tkwił pośród tej burzy niby do cna wypalony.

Jefte wrócił z pogrzebu i wszedł do domu. Przyciśnięci do ciemnej ściany mrocznego przedsionka stali jego trzej przyrodni bracia, Jamin, Jemuel i Azur, jak gdyby w oczekiwaniu na jego powrót. Przeszedł między nimi ciasnym korytarzem, tak że ich piersi niemal otarły się o jego ramiona, kiedy ich mijał, żaden z nich jednak nie drgnął ani się nie poruszył. I tylko wilczym wzrokiem, który czaił się w ich oczach, macali skórę Jeftego, gdy przechodził pomiędzy nimi u wejścia do domu. Nie rzekł do nich ani słowa, a bracia także milczeli, nie rozmawiając również między sobą, i żaden z nich nawet nic nie szepnął. Przez cały dzień wszyscy trzej krążyli tam i z powrotem po korytarzach; odgłos każdego ich kroku sprawiał wrażenie najwyższej delikatności, chociaż w gruncie rzeczy bracia byli ludźmi niezdarnymi.

Jamin, Jemuel i Azur cały dzień przemierzali korytarze domu, stąpając na palcach, tak jakby brat ich, Jefte, był ciężko chory.

Pod wieczór matka ich, Nehushta, opuściła swoje łóżko i komnatę sypialną i podeszła do okna. Nie wyjrzała jednak na zewnątrz, jak miała to w zwyczaju, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, tylko odwróciwszy się, utkwiała oczy w osieroconym chłopcu. Ręką białą jak kreda Nehushta córka Zabulona przygładziła sobie włosy. Następnie zwróciła się do swoich synów ze słowami:

- Od tej chwili ten szczeniak także jest sierotą. I odparli synowie:
- Albowiem matka jego umarła.

Na tej przeklętej ziemi 204

Ona zaś dodała szeptem:

- Wy wszyscy jesteście wysocy i ciemni, tylko jeden z was jest całkiem inny, jasnowłosy i bardzo szczupły,

Wtedy Jamin, najstarszy, rzekł:

- To prawda, szczupły i jasnowłosy, lecz nie jeden z nas. Noc już zapada.

* * *

Tej samej nocy Nehusza, macocha Jeftego, przyszła niespodziewanie do jego izby na poddaszu. Otworzyła drzwi i stanęła w progu bosa, tak samo jak niegdyś boso przychodziła Pitdah; tyle że Nehusza w bladych palcach ścisnęła białą świecę, której płomień migotał gwałtownie. Kiedy Nehusza, zbliżywszy się do łóżka, przesunęła mu zimną, wilgotną dłoń po czole, Jefte dostrzegł jej nikły uśmiech. A ona wyszeptała:

- Sierota... A teraz śpij już, sieroto.

Nie wiedział, co ma jej na to odpowiedzieć.

- Od tej chwili jesteś mój, ty chudy, osierocony, mały szczeniaku. Spij już.

Koniuszkami palców zaczęła głaskać jego owłosioną pierś. I zaraz przestała.

Opuściwszy pokój, macocha zdmuchnęła płomyk. Wychodząc, zabrała i lampę, i świecę. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Przez całą noc na dworze szalała wichura. Wiatr tłukł jak opętany w ściany domu. Filary chwiały się z jękiem, drewniane sklepienia wydawały trzaski i postukiwania. Psy na podwórku odchodziły od zmysłów. Przerażone bydło zawodziło w ciemnościach.

Jefte aż do świtu obserwował drzwi, na wypadek gdyby postanowili do niego przyjść. W zębach trzymał nóż. Wydawało mu się, że za ścianą słyszy ciche kroki, szelest tkaniny ocierającej się o kamienie, skrzypnięcie na najwyższym stopniu schodów. Za oknem śmiała się hiena, krzyczał ptak, żelazo podzwaniało na skraju cieni. Dom i farma stały obce i złowieszcze.

O brzasku Jefte z nożem w zębach wymknął się przez okno na poddaszu i po pnącym winie zsunął się w dół.

205 Na tej przeklętej ziemi

Ukradł trochę chleba i wody, a z opustoszałego podwórca zabrał konia i sztylet, po czym zbiegł na pustynię, aby uciec od Jamina, Jemuela i Azura, swoich braci, synów ojca swego.

Gilead Gileadita, pan posiadłości, nie pojawił się nad grobem służebnicy Pitdah w miejscu przeznaczonym dla wyjętych spod prawa; ani po pogrzebie, ani wieczorem, ani też nocą.

Słońce wstało i burza ucichła. Wkrótce piasek pustyni wchłonął kałuże i ponownie stał się spieczony i lśniący w straszliwym blasku.

Wokół jak okiem sięgnąć widać było nieprzeblaganą, bezlitosną biel szerokich przestrzeni.

Jedynie w zagłębieniach skał pozostały resztki wody, zamaskowane oślepiającym światłem. Przez moment Jefte pomyślał, że to odłamki błyskawic ostatniej nocy schwywane w szczeliny między kamieniami. Ileż to razy oglądał już te widoki w swoich snach. Góry, piaszczyste wydmy, wiatr i to lśnienie - wszystko wołało ku niemu: „Chodź, chodź!”

Po kilku godzinach, gdy wierzchowiec zaniósł go już dość daleko od domu ojca jego, Jefte nagle doznał olśnienia. Do Ammonitów! Nadszedł czas, aby udać się do dzieci Ammona. Kiedy nadarzy się sposobność, powróci na czele Ammonitów i podpali farmę. Oczekawszy, aż ogień wszystko strawi, Jefte Ammonita wyłoni się z płomieni, niosąc w ramionach ciało zemdlonego starca. Złoży go na zgliszczach i popiołach, a potem klęknie przy nim, aby podać mu wodę i opatrzyć rany. Skoro Gilead utraci małżonkę, dom i trzech synów, nie będzie miał już nic i nikogo innego, jak tylko ostatniego syna, który ocalił mu życie.

A wówczas będą mogli wspólnie wyruszyć na poszukiwanie morza.

Następnej nocy przy świetle glinianej lampki domowy skryba zapisał w kronikach rodu: *Nie będzie miał Jefte udziału w dziedzictwie ojca swego, albowiem jest synem obcej kobiety.* A dalej zanotował w księgach skryba domowy: *Ciemność i gniew zawsze rodzą gniew i ciemność. Cała ta sprawa nieszczęsna jest: nieszczęsny ten, który uciekł,*

Na tej przeklętej ziemi 206

i nieszczęśni ci, co pozostali. I równie nieszczęsny będzie nasz kres. Oby Bóg wybaczył słudze swemu.

5

Wiele dni spędził Jefte pośród Ammonitów w mieście Abel-Keramim. Od dzieciństwa mówił ich językiem, znał też ich prawa i pieśni, gdyż matka jego była Ammonitką, porwaną za młodu przez Gileaditów podczas jednego z napadów na ammonickie osady, położone po drugiej stronie pustyni.

Istotnie, w Abel-Keramim odnalazł Jefte ojca matki swojej i wszystkich jej braci, wspaniałych mężów, oni zaś przyjęli go jak syna i wprowadzili do pałaców i świątyń. Książęta Ammonitów obdarzyli Jeftego szacunkiem i podziwem za to, iż głos jego brzmiał chłodno i wyniośle, a w oczach z rzadka migotał żółty ogień, i za to także, że był niezwykle oszczędny w słowach. Powiadali:

- Ten człowiek to urodzony wódz. Mówili również:

- Doprawdy zdawać by się mogło, iż człowiek ten zawsze jest spokojny.

A czasem jeszcze dodawali:

- Trudno to wiedzieć na pewno.

Czy to wypuszczał strzałę z łuku, czy też bawił się wesoło, Jefte sprawiał wrażenie, iż porusza się nieśpiesznie, nieomal ze znużeniem lub z lekkim wahaniem. Jakże było to zwodnicze: na podobieństwo noża, który spoczywa w fałdach jedwabnej tkaniny.

Miał w sobie moc, aby do nieznanego ozwać się w te słowa: „Powstań, przyjdź, odejdz”; i człowiek ów wstawał, przychodził lub odchodził, chociaż Jefte nie powiedział już nic więcej, a tylko poruszały się jego wargi. Nawet wówczas, gdy zwracał się do kogoś ze starszyny miasta i powiadał: „Przemów, słucham cię” albo: „Nic nie mów, gdyż ciebie nie słucham”, człowiek ów czuł wewnętrzny przymus, aby odpowiedzieć: „Tak, o panie mój”.

Kochało go wiele kobiet w mieście Abel-Keramim. Jak jego ojciec, Gilead, przed nim, tak i on obdarzony był mocą smutku i mocą milczącego panowania. Kobiety pragnę

207 Na tej przeklętej ziemi

ty rozwiać tę moc i przeniknąć ów smutek do głębi, a zarazem im się poddać. Nocą, pośród jedwabnych prześcieradeł, szeptały mu do ucha: „Tyś obcy!” I krzyczały, po-czuwszy dotyk jego skóry na swojej skórze. On zaś, milczący i nieobecny, umiał wydobyć z nich wewnętrzną melodię i powolne, pełne udręki tony, żarliwe wygięcie w łuk i wezbranie ponad wytrzymałość, podczas gdy on cierpliwie żeglował pod prąd, noc po nocy, aż po najdalszy kres duszy.

W owym czasie nad synami Ammona panował Gatel. Był on jeszcze bardzo młodym władcą. Kiedy Jefte zjawił się przed obliczem króla Gatela, ten spojrział na niego, tak jak chorowity młodzieniec spogląda na zawodnika powożącego rydwanem, i poprosił go, aby Jefte opowiedział mu jakieś historie: „pozвольmy nieznanemu snuć opowieści, które nocną porą osłodzą królowi jego spoczynek.”

I tak przychodził Jefte u schyłku dnia do króla Gatela i opowiadał mu o wilku rozszarpanym gołymi rękami,

o wojnach pasterzy z koczownikami, o kościach bielejących na piasku w południowym skwarze, o przerażających odgłosach nocy, dochodzących z pustyni, które słyszało się, zapadając w sen.

Bywało, że król prosił: „Jeszcze, jeszcze”; a innym znów razem zaklinał: „Nie odchodź, Jefte, posiedź przy mnie dopóki nie zasnę, bo tak ciemno dokoła”; kiedy indziej wybuchał nagle słabym śmiechem, zupełnie jak człowiek nawiedzony, nie mogąc się powstrzymać, aż Jefte, położywszy mu dłoń na ramieniu, ostrzegwał: „Dość tego, Gatelu!”

Wówczas król Ammonitów przestawał się śmiać

i zwróciwszy swe żalosne, błękitne oczy na Jeftego, błagał: „Jeszcze, jeszcze!”

Z biegiem czasu król Gatel uczynił Jeftego swoim powiernikiem i zawsze z natchnieniem wypatrywał żółtej iskielki, która z rzadka jedynie zapalała się w jego wzroku.

Starszyzna Ammonu przyglądała się temu wszystkiemu z niepokojem: „Oto młody niewolnik przybył do miasta gdzieś z pustynnych piasków i natychmiast urzekł króla, a my musimy na to patrzeć i milczeć”.

Na tej przeklętej ziemi 208

Gatel pilnie studiował kroniki starożytnych czasów. Uparł się, że będzie jak jeden z owych potężnych królów, którzy wzięli we władanie liczne kraje. Lecz ponieważ całym swym jestestwem miłował słowa i zawsze zwracał więcej uwagi na to, jakimi słowami jego własne dzieje zostaną zapisane, niż na same czyny bohaterskie, dlatego nękały go poważne wątpliwości, nawet w najprostszych kwestiach. Mianując szambelana, wydając rozkaz zbudowania nowej wieży, czy też w ogóle rozstrzygając o wyborze jednej z dróg postępowania, po całych nocach zadreślał się niepewnością, a to z tej przyczyny, iż zawsze widział dwie strony każdej sprawy.

Jeśli kiedykolwiek Jefte zechciał łaskawie napomknąć, które z rozwiązań wydaje mu się słuszniejsze lub też które zakończy się źle, Gatela co prawda przepęłniały wdzięczność i serdeczność, niemniej nie potrafił ich Jeftemu wyrazić nawet w drobnej części, gdyż tak oto słowa zwodzą człowieka, który o nie zabiega.

Powiadał:

- Pojedźmy do Aroer albo do Rabbat-Ammon zobaczyć, czy figi już dojrzały.

Następnie dodawał:

- A może raczej nie powinniśmy tam jechać, albowiem gwiazdy nie sprzyjają dzisiejszej podróży.

Lub jeszcze:

- Ostatniej nocy czułem ból w uchu i w kolanie. A teraz boli mnie ząb i żołądek. Opowiedz mi znowu tę historię o chłopcu, o którym mi kiedyś wspominałeś, o tym, który rozumiał mowę psów. Nie zostawiaj mnie.

I doszło do tego, że król Gatel popadał to w zachwyty, to znów w zakłopotanie, i tęsknie tupał nogą, jeśli Jefte nie przyszedł z rana do pałacu. Tymczasem wśród dworzan legła się tajemna wrogość. Ludzie powiadali do siebie:

- To nie prowadzi do niczego dobrego.

Abel-Keramim było dużym i szczęśliwym miastem. Wino płynęło tam obficie, kobiety o zaokrąglonych biodrach słodko pachniały, słudzy byli skwapliwi i weseli, służebnice łatwe w obejściu, a rumaki lekkie i zwinne. Bogowie Chemosz i Milkom obdarzyli miasto wszelkimi

14. Tam, gdzie wyją.

210 *Na tej przeklętej ziemi*

uciechami. Co wieczór słychać było trąby wzywające na ucztę, w ciemnościach zewsząd dochodziły głosy śpiewaków i muzyka grajków, a rzędy pochodni na ulicach i placach płonęły do świtu, kiedy niebo zaczynało jaśnieć i karawany wyruszały w drogę przez miejskie bramy.

Jefte nie stronił od rozrywek miasta Abel-Keramim. Spróbował wszystkiego i wszystko zobaczył, lecz dotknął tego zaledwie opuszkami palców, ponieważ serce jego było daleko stąd. Jednakże w duchu często sobie powtarzał: „Niech Ammonici weselą się przy mnie”. Trzy, a nawet cztery kobiety przychodziły do niego jednej nocy i Jefte z wielką ochotą zabawiał się z nimi, rozkoszując się jedną po drugiej, podczas gdy one zgodnie rozkoszowały się sobą nawzajem, i wprowadzał między nie bicz pożądania, pręt ekstazy, one zaś po chwilach zamętu, pełnych miłosnych okrzyków i namiętności, śpiewały mu ammonickie pieśni o bezkresnych wodach albo o koziołku w winnicy, albo o cierpieniu i łasce, a on leżał na wznak między nimi, unosząc się na morskich falach jak pogrążone w marzeniach dziecko. O świcie mówił do nich wszystkich: „A teraz odejdźcie, już dosyć!” Potem siadał przy oknie i obserwował promienie światła i bladość gór, i daleką pożogę, a w końcu także i słońce.

Lato nadeszło i przeminęło. Jesienne wichry szarpały koronami drzew. Stare konie nagle stawały dęba z cichym rzeniem. Jefte spoglądał przez okno, wspominając dom ojca. Nagle zapragnął znowu znaleźć się w stajni z domowym kapłanem i swoimi trzema braćmi, Jaminem, Jemu-elem i Ażurem, i przysłuchiwać się kapłanowi, czytającemu słowa Pisma Świętego, podczas gdy na zewnątrz woda płynęła kanałami, sady stały pogrążone w chłodnym smutku, a zapach jesieni unosił się nad winnicą, w miarę jak opadały liście winnej latorośli. Przeszywająca tęsknota zakłóla go z ostrością strzały, a jego duszę opanowała udreka.

Podniósł się i stanął przy oknie. Za nim na jego łożu z twarzą zakrytą włosami spała, oddychając spokojnie, jedna z pięknych kobiet. Jej oddech brzmiał mu w uszach jak ciepły wieczorny wietrzyk. I raptem nie mógł sobie

Na tej przeklętej ziemi 211

przypomnieć, kim ona jest ani nawet, czy był już z nią albo czy jeszcze powinien do niej pójść i po co.

Jeftę usiadł w nogach łoża i zaczął śpiewać uspionej kobiecie pieśni swojej matki. Głos jednak miał ochrypliwy i melodia zabrzmiała ostro i zgrzytliwie. Wyciągnął rękę i końcami palców dotknął policzka kobiety, lecz ona się nie przebudziła. Powrócił do okna, gdzie ujrzał ciemne chmury, pędzące w panice na wschód, tak jakby poza wschodnim widnokresem coś się działo, a on powinien powstać i ruszyć tam w jednej chwili, natychmiast, zanim będzie za późno. Lecz nie wiedział, co to za miejsce i dlaczego miałyby być za późno, ani kim był ten, który go wzywał, więc rzekł tylko do siebie:

- Nie tutaj.

A potem Jeftę pomyślał jeszcze: Nie jest Ablem brat mój, Azur, ani też ja nie jestem Kainem. O Panie, władający zmijają na pustyni, nie skrywaj się przede mną. Wezwij mnie, wezwij, przygarnij mnie do swego tona. Jeśli nie jestem godzien, aby zostać Twym wybrańcem, uczyni ze mnie najemnego zabójcę: w imię Twoje pójdę z nożem pod osłoną nocy do wrogów Twoich, Ty zaś, jeśli laka będzie woła Twoja, nazajutrz odwrócisz oblicze Swoje ode mnie, tak jakbyśmy byli sobie obcy. Tyś panem lisa i sępa, a ja miłuję gniew Twój i wcale Cię nie proszę, abyś mnie obdarzył światłością Twojej wiary. Twój gniew i nagi smutek są wszystkim, czego pragnę. Oto złość i zasmucenie są dla mnie znakiem, iż na obraz i podobieństwo Twoje zostałem stworzony, żem jest synem Twoim, jestem Twój, a Ty zabierzesz mnie w ciemnościach do Siebie, albowiem na obraz nienawiści Twojej powstałem. O, Panie wilków nocą na pustyni. Tyś Bogiem znużonym i zropaczonym, a kogo pokochasz, tego spalisz ogniem, albowiem jesteś także Bogiem zazdrosnym. Powiadam Ci, niech będzie przeklęta Twoja miłość, o Boże, tak samo jak przeklęta niech będzie miłość moja ku Tobie. Znam Twą tajemnicę, gdyż ja to właśnie w tajemnicy Twojej się ukrywam: zwróciłeś spojrzenie na Abła i jego ofiarę, lecz w głębi serca uznałeś, że to Kain, Kain był tym, którego Ty umiłowaleś, i dla tej przyczyny nad Kainem roztoczyłeś gniewną Swą opiekę, nie zaś nad jego prosiodusznym

212 Na tej przeklętej ziemi

bratem. I wybrałeś Kaina, nie zaś Abła, aby na tej przeklętej ziemi stał się zbiegiem i wygnańcem, i wycisnąłeś mu na czole piętno wizerunku Swego, by tak naznaczony przewędrował całą ziemię wzdłuż i wszerz, i wycisnąłeś piętno Swoje, piętno jałowego Boga na ludziach i na wzgórzach, o Boże Kaina, o Boże Jeftego syna Pitdah. Kain jest świadectwo i jam jest świadectwo wizerunku Twego, o Panie błyskawicy w lesie, ognia w spichlerzu, wycia wściekłych psów nocą, ja znam Ciebie, albowiem Tyś jest we mnie. Ja, syn Ammonitki, kochałem moją matkę, a matka moja wierna była memu ojcu z całej duszy, tak jak z duszy całej mój ojciec wołał do Ciebie. Daj mi znak.

Miasto Abel-Keramim leżało na skrzyżowaniu dróg i kiedy zmierzch zapadał, długie szeregi karawan, przybywających z dalekich stron, przekraczały jego bramy, wioząc wszelkie bogactwa Egiptu, korzenie, perfumy i miedź z Asyrii, wyroby szklane z Fenicji i aromatyczną dziczyznę z kraju Edom na południu, z Judei winogrona i oliwki, z Eufratu wina, a jedwab z Aleppo, a także młodych chłopców o niebieskich oczach z błękitnych zamorskich wysp i hetyczne nierządnice, i bransolety, i mirrę, i konkubiny; z nadejściem nocy wszystko było już wewnątrz murów, ciężkie wrota ryglowano, a całe miasto napełniało się światłem pochodni i zgiełkiem. Chwilami złote kopuły odbijały płomienne błyski, sprawiając wrażenie, jakby jarzyły się krwią i pożogą, świątynie zaś rozbrzmiewały ekstatyczną muzyką.

Jefte napawał się winem, kobietami i życiem dworskim. Mimo owego przepychu, twarz jego wyglądała niczym wytrawiona w ogniu. Nocami najpiękniejsze kobiety miasta, pieszcząc Jeftego w łożu, spijały jego chłodną moc niczym oszołomione ptaki. I muskając wargami jego zarośnięty tors, szeptały: „Tyś obcy!” A on wciąż milczał i wzrok kierował do swego wnętrza, gdyż nigdzie wokół siebie nie mógł znaleźć tego, czego szukał.

Z czasem w mieście zaczęło wzbierać uczucie zawiści. Ammoniccy dostojnicy zazdrośni byli o żony i córki swoje, a także z powodu łaski króla. Na swych zgromadzeniach starszyzna utyskiwała, mówiąc: „Wiernie służy Am

Na tej przeklętej ziemi 213

mon królowi Gatelowi, a tymczasem król znalazł upodobanie w Jeftem Gileadczyku, jakby to była niewiasta, choć przecież nie jest jednym z nas ów Jefte i oprócz siebie do nikogo nie należy".

Słowa te dotarły nawet do uszu samego króla, który w owym czasie począł już żywić dla siebie pogardę z powodu miłości, jaką darzył Jeftego. Nieraz nocą nawiedzała go myśl: „Dlaczegoż to nie rozkażę zabić tego jasnowłosego mężczyzny?”

Jednakże wahał się, gdyż i w tym pytaniu dostrzegał dwojaki sens.

A skoro posłyszał Gatel owe słowa starszyzny, jak również pomówienia, jakoby w rękach obcego król był niczym nierządnicą, oczy zaszyły mu łzami. W młodości marzył o prowadzeniu wielkich wojen na wzór potężnych starożytnych władców, jednakże sam nie potrafił wieść wojennych batalii. Ledwie wystawił nogę za próg pałacu, a wnet słońce przyprawiało go o zawrót głowy, nie mówiąc już o zapachu końskim, który nieodmiennie powodował, że król zaczynał szczełkać zębami. Dlatego też pewnego razu wezwał Gatel Jeftego przed oblicze swoje i rzekł: „Weź ludzi, wozy i włócznie, weź konie i jeźdźców, weź kapłanów i magów, a udaj się do ziemi Gilead i zdobądź kraj, do którego matka twoja została uprowadzona w niewolę. A jeśli odmówisz pójścia na tę wojnę, będzie to dowód, że rację miała starszyzna, powiadając, iż nie jesteś jednym z nas, tylko obcym. Jam jest królem i oto przemówiłem. Podaj mi kielich wody”.

Tejże nocy Jeftemu przyśniła się pustynia. We śnie wspinał się po zboczu stromej góry na pustyni, lecz nagle w pół drogi utknął w skalnej ścianie, która była tak gładka jak szkło z Sydonu, i nie mógł ani dalej piąć się wzwyż, ani też zejść na ziemię, a jedyne co mu pozostało, to zacisnąć mocno powieki, gdyż pod stopami nie miał nic prócz ostrego uskoku, pod którym były już tylko poszarpane białe głazy. Wicher zawodził niczym dzikie zwierzę. Wtem Jefte poczuł, jak kobieca dłoń gładzi go po plecach, swym dotykiem sprawiając, że osłabił uchwyt, dzięki któremu utrzymywał się na skale, i zapragnął ulec i pójść tam, dokąd wzywała go tajem

214 Na tej przeklętej ziemi

nicza postać. W głębi groty, jaśniejącej ponurym i niesamowitym blaskiem, dał wilgotny wiatr, lecz przy nim była ta kobieta; i były spokój, orzeźwiająca woda i wytchnienie.

Następnego ranka Jefte zbudził się z przeświadczeniem, iż jego pobyt w ziemi Ammona dobiegł kresu i oto nadszedł czas pożegnania. Za oknem miasto dotykało nieba grzywami palm i złocistymi kopułami wież. Skoro tylko poranny brzask omiół złote dachy, całe miasto roziskrzyło się lśnieniem. Był w tym smutek, którego Jefte się nie spodziewał. W swej nieświadomości przypuszczał, że człowiek może tak po prostu wstać i odejść, bez oglądania się za siebie. Niemal zmienił zdanie. Tak jakby samo miasto ostrymi pazurami tęsknoty trzymało się kurczowo jego szat, zmuszając go do pozostania.

Tymczasem król Gatel przesłał pilną wiadomość: „Gdzież jest moja wojna, czekałem już cały dzień i nie ma żadnej wojny, ani niczego nie ma, czemu jeszcze zwlekasz, Jefte!”

Jefte nie zwlekał dłużej.

Powstał i uszedł na pustynię.

Lecz nie odjechał sam, tylko zabrał ze sobą swoją córkę, którą urodziła mu jedna z kobiet.

Pitdah miała siedem lat, kiedy ojciec uprowadził ją z miasta na grzbiecie swojego wierzchowca. Była Ammo-nitką, jak jej matka. Przeżyła dzieciństwo pośród służebnic, eunuchów i jedwabi. Jefte mieszkał w Abel-Keramim dziesięć lat.

Opuszczając miasto bramą Dung, Pitdah śmiała się radośnie, gdyż namiętnie lubiła konną jazdę; w dziecięcej naiwności wierzyła, że wybrali się na pustynię na jednodniową przejażdżkę, a wieczorem będzie mogła powrócić do matki i do ulubionego kotka. Lecz kiedy noc zastała ją na pustyni, zaniepokojona dziewczynka rozplakała się i gniewnie tupiąc, jęła przeklinać swego ojca, kopnęła nawet konia drobną, mocną nóżką. Jej usta, zaciśnięte ze złości, przedstawiały żałosny widok.

Długo jeszcze łkała Pitdah, aż wreszcie odgłosy pustyni ukołysały ją do snu.

Rano Jefte podarował córce małą piszczałkę, którą zrobił dla niej z trzciny. Pitdah umiała zagrać piosenki,

Na tej przeklętej ziemi 215

śpiewane wieczorami na placach i ulicach Abel-Keramim przez nierządnicę i konkubiny. Wiele z tych melodii nuciła niegdyś matka Jeftego. Teraz, gdy dziewczynka grała, Jeftemu zdawało się, że słyszy plusk wody płynącej kanałami nawadniającymi w sadach na farmie Gileada. Serce wyrywało mu się do córki, ilekroć przemówiła doń: „Ojcze!” Jechał bardzo powoli, a pragnąc odwrócić jej uwagę od spiekoty i niewygód podróży, przez cały czas opowiadał przeróżne historie o tym, jak pokonał wilka gołymi rękami i o swoim bracie Ażurze, który znał mowę psów. Owego dnia Jefte wypowiedział więcej słów niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Wkrótce Pitdah przestała dopytywać się o matkę i o dom. Jefte wyjawiał jej, iż celem ich podróży jest morze. Na jej pytanie, cóż to takiego, odpowiedział, że morze to rozległa pagórkowata kraina, gdzie wzgórza są zrobione nie z piasku, lecz z wody. A skoro zapragnęła się dowiedzieć, co kryje się w tym morzu, objaśnił, że prawdopodobnie jest w nim spokój. Lecz kiedy chciała, by jej wytłumaczył, dlaczego ziemia nie wchłonęła morza w jednej chwili, tak jak wchłania zawsze każdą kroplę wody, nie znalazł nic, co mógłby jej rzec, więc odparł tylko:

- A teraz osłoń głowę od słońca. Pitdah spytała:
- Kiedy dotrzemy do tego morza, jak je nazwałeś? Jefte odrzekł:
- Nie wiem. Nigdy tam nie byłem. Spójrz, Pitdah, tam siedzi jaszczurka. O, już uciekła.

Chwilami, gdy spoglądała w górę na swego ojca, w jej oczach przemykał cień zmęczenia. Może źle znosiła pustynne piaski i słońce, a może tylko była niespokojna. Nocą Jefte owijał dziewczynkę w swój płaszcz, żeby uchronić ją od ostrego chłodu.

Kiedy księżyc zaczął ubywać, Jefte i jego córka dotarli do jaskini górskiej w miejscu zwanym krajem Tob. Znajdowało się tam źródło, otoczone licznymi dębami, rzucającymi wokół głęboki, miękki cień. W pobliżu źródła stały omszałe kamienne poidła, do których przychodzili gromadnie koczownicy, aby napić swoje wynędz

216 Na tej przeklętej ziemi

niałe stada. Ludzie mieszkali tam na stokach wzgórza, w czarnych namiotach z koziej wełny. Pitdah nauczyła się zbierać chrust i rozpalać ogień u wejścia do jaskini. Jefte wyprawiał się na polowanie i przynosił kozła albo żółwia, które potem piekł na ognisku.

Nocą obserwowali wklęsły księżyc, sunący wzdłuż grani górskich szczytów tak łagodnie, jakby w swej przezorności chciał najpierw zbadać powierzchnię pustyni, zanim zalał ją srebrną poświatą. W blasku księżycy wyszczerbione góry wyglądały jak złaknione szczęki.

Skoro świt Pitdah schodziła boso z dzbanami do poidła, a wróciwszy do ojca, budziła go, pryskając mu w twarz garściami zimnej wody. Potem dziewczynka grała Jeftemu na fujarce, on zaś siedział nieruchomo, chłonąc muzykę, jakby to było wino.

Koczownicy wędrujący po kraju Tob byli ludźmi skłóconymi z życiem albo zbiegami. Wkrótce Jefte stał się jednym z nich. Wymizerowane kobiety zajęły się dziewczynką z czułością i zabawiały ją całymi dniami, albowiem nigdy dotąd w kraju Tob nie narodziło się żadne dziecko. Odtąd razem niestrudzenie przemierzali pustynne równiny i górskie wąwozy. Co pewien czas na kraj Tob napadały wojska bądź to Ammonitów, bądź Izraelitów -wszystkie skore do walki i zabijania. Koczowników gnała desperacja: byli między nimi mordercy i ci, którzy przed zabójcami swymi musieli uciekać; byli tacy, którzy nienawidzili tak straszliwie, że ich nienawiść nie mogła się pomieścić na zasiedlonych ziemiach; inni z kolei sami byli znienawidzeni, a psy gończe szły ślad w ślad po ich tropie; nie brakło też wśród nich wróżbiarzy i marzycieli, którzy, nie chcąc pogłębiać cierpień tego świata, żywili się wyłącznie ziołami i korzonkami.

Wysoko w górze rozpięte było niebo z roztopionego żelaza, a wokół ciągnęły się bezkresne przestrzenie o glebie w kolorze miedzi, wypalanej i spękanej. I tylko noce w kraju Tob szły do głowy jak mocne, niemal czarne wino. O zmroku błogosławiony chłód ze spokojem obejmował całą krainę, przynosząc ulgę wygnańcom, nędznym stadom i zrozpaczonej, jałowej ziemi.

Na tej przeklętej ziemi 217

Pewnego dnia Jefte i jego córka zostali zaprowadzeni przed oblicze herszta koczowników.

Był to kościsty, pomarszczony starzec; jego twarz przypominała kawałek sparciałej skóry i tylko zarys szczęki nosił jeszcze ślady dawnej siły i bezwzględności. Jefte stanął przed hersztem w martwym korycie rzeki. Milczał, ponieważ postanowił najpierw wysłuchać słów, które tamten zechce skierować do niego. Tymczasem sędziwy człowiek rozpierał się sennie na grzbiecie swojego płowego wielbłąda, czekając, aż nieznajomy przemówi pierwszy. Czas mijał, a oni wciąż milczeli, z przekorną cierpliwością wy-próbowując nawzajem siłę swego milczenia, tymczasem krąg zbiedzonych kobiet obserwował ich z pewnej odległości.

Stary herszt wylegiwał się jak jaszczurka w słońcu, bez zmrużenia powiek. Z kamienną twarzą Jefte stał przed jego wielbłądem, nie ruszając się z miejsca. Mała Pitdah grzebała w piasku u stóp ojca, próbując odkryć, skąd przychodziły mrówki. Wokół wszystko trwało w absolutnym bezruchu. Tylko cienie dwóch mężczyzn, jednego wysoko na wielbłądzie i drugiego poniżej, przesuwały się łagodnie, w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej na białe niebo. Było to długie milczenie. Wreszcie starzec przemówił oschłym tonem:

- Kim jesteś, obcy człowieku? Odpowiedział Jefte:
- Jestem, o panie, synem Gileada Gileadity, zrodzonym z jego niewolnicy, która była Ammonitką.
- Nie pytałem cię o twoje imię ani też o imię twego ojca; zapytałem, kim jesteś, obcy człowieku.
- Jestem obcy, jak sam powiadasz, panie.
- A dlaczego przybyłeś do tego miejsca? Czy nie zostałeś tu przysłany przez Ammonitów, a może przez Izraelitów, żeby nas szpiegować, a potem wydać naszym śmiertelnym wrogom?
- Nie jestem po stronie Izraela ani też nie mam żadnego dziedzictwa pośród dzieci Ammona.
- Jesteś człowiekiem pogrążonym w rozpacz, przybyszu. Widzę wyraźnie, że twoje oczy patrzą w głąb siebie, tak jak oczy zrozpaczonego człowieka. Kogo wyznajesz?

218 Na tej przeklętej ziemi

- Nie Milkoma.
- Komu oddajesz boską cześć?
- Panu wilków na pustyni nocą. Na obraz i podobieństwo nienawiści jego jam jest stworzony.
- A ta dziewczynka?
- Moja córka, Pitdah. Z każdym dniem staje się coraz bardziej podobna do pustyni.
- Jesteś wojownikiem. Pójdź z nami zabijać i rabować, jako jeden z tych młodych mężczyzn. Chodź z nami dzisiejszej nocy.
- Jestem obcy, o panie mój. Cale życie przeżyłem pośród obcych.

6

I znalazł Jefte przychylność u wędrowców w kraju Tob.

Z biegiem czasu dołączył do nich w walce przeciwko ich napastnikom, brał też udział w licznych wypadach na zamieszkane tereny, jako że koczownicy nienawidzili wszystkich ludzi osiadłych w domostwach. Zakradali się niepostrzeżenie pod osłoną nocy i na kształt duchów przemykali między zabudowaniami. I jak w milczeniu umierali pomordowani, tak równie cicho uciekali ich zabójcy. Przychodzili uzbrojeni w noże i sztylety. I w ogień. Pozostawały po nich dymiące do białego rana zgliszcza zwęglonych domów, tak w ziemi Ammona, jak i Izraela. Tymczasem Jefte zdobywał coraz większy posłuch wśród swoich nowych towarzyszy, posiadał bowiem cechy wodza. Miał w sobie moc narzucania innym swojej woli, nie ruszając się z miejsca, samym tylko głosem. Jak zawsze, mówił mało, ponieważ nie miłował słów ani też im nie ufał.

Pewnej nocy Jefteyci napadli na sadybę Gileada Gi-leadity, w ziemi Gilead, na skraju pustyni.

Mroczne postacie rozproszyły się po ścieżkach posiadłości, znikając w ciemnych sadach i pośród gęstego listowia winnic. Na koniec napastnicy dotarli do drzwi domu, co zbudowany był z czarnego wulkanicznego kamienia. Jednakże Jefte nie zezwolił na spalenie domostwa wraz z usypionymi w nim mieszkańcami, albowiem nagła

Na tej przeklętej ziemi 219

tęsknota wkradła się w jego nienawiść na wspomnienie słów, które powiedział mu ojciec pewnej dawno minionej nocy i pewnego dawno minionego dnia. Naznaczony jesteś skazą, tak samo jak носи skazę twój ojciec. Ty dla siebie. Ja dla siebie. Każdy człowiek dla siebie samego. Tam siedzi jaszczurka; o, już uciekła.

Klęknał i schyliwszy głowę, napił się wody z kanału. Następnie wydał przenikliwy gwizd, który zabrzmiał jak głos ptaka. Na ten sygnał zbiegli się do Jeftego jego ludzie, po czym wszyscy zniknęli na pustyni, nie podłożywszy ognia.

Koczownicy najeżdżali zarówno kraje Ammona, jak i Izraela. Wszystkich mieli przeciwko sobie i kogo spotkali na swej drodze, ten usiłował zadać im śmierć. W ciągu dnia spali ukryci w rozpadlinach ziemi, w szczelinach skalnych i grotach, a ciemne sylwetki ich wychudzonych koni wtapiały się w cienie dębów koło omszałych poidel z ciosanego kamienia. Za dnia kościste kobiety w czarnych sukniach pasły trzody, podczas gdy słońce roztopiało wszystko swoją rozpaloną do białości nienawiścią. Dopiero z zapadnięciem nocy koczownicy wyłaniali się z ukrycia, by znowu iść rabować ludzkie siedliska. W drodze powrotnej śpiewali gorzką pieśń, pełną przeciągłego zawodzenia. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn w środku pieśni wydawał nagły krzyk, a potem równie nagle zapadał w milczenie.

Pitdah także znalazła przychylność w oczach koczowników. Była urodziwą, ciemnowłosą dziewczyną, która poruszała się sennie, tak jakby została zrobiona z delikatnej substancji albo tak jakby ziemia pod jej stopami i przedmioty w jej palcach miały zamiar się złamać, zmuszając ją do zachowania ostrożności.

Zgorzkniałe kobiety uwielbiały Pitdah, tym bardziej że nigdy dotąd żadne dziecko nie narodziło się w kraju Tob. Dziewczyna grywała często na swojej piszczałce, nawet gdy nikt jej nie słuchał, mając za jedyne słuchaczy tylko wzgórza i kamienie. Ilekroć Jefte usłyszał w oddali jej grę, przypominał sobie szum wiatru w ojcowskiej win

220 Na tej przeklętej ziemi

nicy i chlupot wody płynącej kanałami w cienistych sadach. Pitdah wiecznie śniła na jawie i serce Jeftego lgnęło do niej, najbardziej wtedy, gdy opowiadała mu jeden ze swych snów lub kiedy nagle mówiła doń: „Ojczy!”

Kochał ją do szaleństwa. Gładząc po włosach czy też podtrzymując Pitdah za ramię, starał się nie zadawać jej bólu, wciąż jeszcze bowiem miał w pamięci własne dzieciństwo i tamte chwile, kiedy to jego ojciec, Gilead, chwycił go w żelazny uścisk. Mówił do niej:

- Nie bój się. Podaj mi rękę. A dziewczyna odpowiadała:

- Ależ ja nie mogę powstrzymać się od śmiechu, kiedy widzę, jak ty na mnie patrzysz.

Jeśli zdarzyło się Jeftemu przypadkiem pomyśleć

o obcym człowieku, który pewnego dnia zjawi się po to, aby zabrać Pitdah, krew burzyła mu się w żyłach. Wyobrażał sobie, jak jakiś niski, muskularny mężczyzna, cuchnący potem i cebulą, ściska Pitdah w owłosionych ramionach i jak liże i kąsa jej wargi, macając niezdarnymi paluchami coraz niżej, w kierunku jej delikatnych zakątków. Na widok ojcowskich oczu nabiegłych krwią, Pitdah śmiała się głośno, on zaś, chłodząc rozpalone czoło o gładką klingę sztyletu, mówił głucho: „Graj, Pitdah, graj!"; a potem siedział zasłuchany w muzykę, niczym ślepiec, aż wreszcie wściekłość powoli wygasła i pozostawał tylko suchy smutek, niczym smak popiołu w gardle. Niekiedy potęgą tej miłości sprawiała, że Jefte zaczynał krzyczeć dziko, tak jak jego ojciec, Gilead, czynił to przed nim,

1 nieraz pragnął naparzyć wywaru z ziół, którym mógłby napoić Pitdah ciemną nocą, aby odpędzić od niej zagrażające zło.

I widział Jefte, i koczownicy widzieli, jak Pitdah z dnia na dzień dorastała. Kiedy nie zbierała drewna na opał ani nie poila bydła wraz z chudymi kobietami, siadywała nad brzegiem strumienia, gdzie bawiła się wyłowionymi z wody kamykami, budując z nich baszty i mury, zamki, wieżyczki i bramy, a potem nagle burzyła wszystko z wesołym śmiechem. W porze kwitnienia ostów lubiła pleść wieńce. Ze swymi pełnymi, lekko rozchylonymi

Na tej przeklętej ziemi 221

wargami sprawiała nieodparte wrażenie jakby pogrążonej we śnie. Czasami znalazłszy na swej drodze zbielałą kość, obracała ją w opalanej dłoni, a potem nucąc, próbowała w nią dmuchać, a nawet przeczesywać nią swoje włosy.

Potrafiła rzeźbić drobne figurki z gałęzi krzewów: konia w galopie, leżącą owieczkę, zgrzybiałego starca wspartego na kosturze. Często drobne zdarzenia, które wcale nie były zabawne, córkę Jeftego rozśmieszały do łez. Gdy któraś z kobiet usiłowała bez powodzenia przytroczyć torby do wielbłądziego grzbietu, a spłoszone zwierzę wciąż strącało tobołki na ziemię, Pitdah aż zanosila się od miękkiego, cichego śmiechu. A znów innym razem zobaczywszy, jak jeden z koczowników stanął do niej tyłem, z nieruchomo opuszczoną głową, tak jakby był głęboko zamyślony, a on tymczasem oddawał mocz między skałami, śmiała się bez opamiętania i nie mogła się pohamować, nawet gdy ów człowiek stracił w końcu cierpliwość i zaczął wygrażać jej z krzykiem.

Gdy któryś z mężczyzn nieoczekiwanie zapatrzył się w nią szeroko otwartymi oczami, wysuwając przy tym koniuszek języka spomiędzy zębów, Pitdah wybuchala na ten widok serdecznym śmiechem. A kiedy zauważyła, że gapiący się na nią mężczyzna zaczyna denerwować jej ojca, tak że aż w oczach zapalały mu się błyski zimnej wściekłości, Pitdah wodziła między nimi wzrokiem, zupełnie jakby rysowała niewidzialną linię, śmiejąc się przy tym głośniejsz niż kiedykolwiek. Nawet gdy Jefte krzyknął: „Dość tego!”, ona nie mogła powstrzymać się od śmiechu, wielokroć i jego także zarażając tą swoją wesołością, i w końcu śmiali się oboje. Młodzi koczownicy tłumaczyli sobie ich zachowanie jako oznakę szczęścia, jednak niewiasty uważały, że podobne rzeczy nigdy dobrze się nie kończą. Żony koczowników nauczyły Pitdah tkać i gotować, doić kozy i poskramiać upartego kozła. Dziewczyna potrafiła wykonywać wszystkie te czynności bez trudu, przy czym zdawało się, że myślami stale jest gdzieś daleko.

Kiedyś zwróciła się do swego ojca, Jeftego, ze słowami:

- Nocą idziesz do walki i zwyciężasz, ale za dnia, kir

222 *Na tej przeklętej ziemi*

dy śpisz, nawet muchy na twojej twarzy są silniejsze od ciebie.

Jefte odparł:

- Każdy musi spać. Pitdah powiedziała:

- Wężę nigdy nie śpią; nie mogą nawet zamknąć oczu, ponieważ nie mają powiek.

Na co Jefte odrzekł:

- Zostało napisane w świętych księgach, iż wąż jest bardziej przebiegły niż jakiegokolwiek inne dzikie zwierzę.

Pitdah na to:

- Jakże to smutne być bardziej przebiegłym niż jakiegokolwiek inne dzikie zwierzę. I jakże smutne nigdy nie móc spać, nigdy nie zamykać oczu i nigdy nie śnić nocą. Gdyby wąż był naprawdę przebiegły, zapewne znalazłby sposób, aby zamknąć oczy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Lubię patrzeć, jak po nocnych bitwach śpisz na ziemi, z muchami chodzącymi ci po twarzy. Kocham cię, Ojczy. I siebie także kocham. Tak samo jak kocham te miejsca, do których nigdy mnie nie zabierzesz, tam daleko, gdzie wieczorem zachodzi słońce. Zapomniałeś o morzu, ale ja pamiętam. A teraz zarzuć sobie ten płaszcz na głowę i zarycz jak krowa, a ja pośmieję się trochę na ten widok.

W swoich snach Jefte często widywał procesje książąt i możnych panów, którzy przychodzili prosić o rękę jego córki. Mieli fałszywe twarze; powinno się ich przepędzić jak wściekłe psy, kijem albo kamieniem, bo Pitdah nie była dla nich. Bardzo opieszale i z wielkimi trudnościami pojawiał się też w snach Jeftego jego ojciec, Gilead; on również wyciągał swoją wielką, szorstką rękę, aby dotknąć Pitdah, ale ona uciekała przed nim i kryła się za poidłami, a on rzucał się za nią w pogoń, aż Jefte zaczynał krzyczeć głośno przez sen. Z kolei ukazywali się młodzieńcy, Azur i Jamin, Gatel i Jemuel, którzy w jego śnie osaczali Pitdah, setką bladych palców próbując zedrzyć z niej suknie, a dziewczyna śmiała się razem z nimi, i Jefte znowu krzyczał na ich widok, ponieważ nie mieli po

Na tej przeklętej ziemi 223

wiek, a ich szeroko otwarte oczy wpatrywały się w nią nieruchomo, bez mrugnięcia, podczas gdy podchodzili do niej coraz bliżej i bliżej; budził się wtedy z krzykiem, by nagle zdać sobie sprawę, że ściska sztylet i że ręka mu drży.

Dotknij mnie, o Boże, jeszcze mnie nie dotknąłeś, jak długo mamy na Ciebie czekać. Wyciągnij po mnie Swoją dłoń o ognistych palcach. Oto stoję przed Tobą na szczycie góry, trzymając jagnię na całopalną ofiarę, i oto jest ogień i stos, lecz gdzież jest nóż? Będę pragnął Twego cienia przez wszystkie dni mojego żywota. Gdzie Ty ukazesz się na górze, tam ja spalę się na popiół. Gdzie Ty zajaśniejesz w półksiężycu albo w odbiciu miesiąca na wodzie, tam sługa Twój znajdzie się w białych piaskach lub w morskich głębinach. A kiedy zawyją psy, wkładając całe serce w swoje wycie, będzie to znak, żeś jest pełen miłości, a zarazem gniewu. Ześlij na mnie Twój gniew, o Boże, i pozwól, abym został nim dotknięty, Tyś jest bez wątpienia Bogiem samotnym, lecz ja także sam jestem. Nie będziesz miał innego sługi przede mną. Jam jest syn Twój i całym swym żywotem dawać będę świadectwo niezbadanego okrucieństwa Twego, o Panie żbika grasującego nocą w martwych korytach rzeki, grasującego noc po nocy.

Po jakimś czasie Jefte został hersztem koczowników. Mówił niewiele, a kiedy już się odezwał, głos jego był bardzo przyciszony. Ktokolwiek chciał go usłyszeć, musiał pochylony ku niemu z uwagą natężyć słuch.

I zdarzyło się, że wojska króla Ammonitów najechały ziemie Izraela. Zdobyły wszystkie miasta i osiedla, z mieszkańców uczyniwszy niewolników swoich. Tylko nieliczni zdołali zbiec, wszyscy zaś pozostali znaleźli się we władzy Gatela. Sam król nadal nie opuszcza! pałacu: cały czas trawił na zapewnianiu zwojów pergaminu, wypisując rozkazy dla swych generałów albo pisząc dzieło zatytułowane „Księga wojen króla Gatela”.

Pewnego dnia trzech bracia Jeftego, Jamin, Jemuel i Azur, przybyli na pustynię w kraju Tob, do miejsca, które zamieszkiwał Jefte. Uszedłszy z rąk Ammonitów, zjawili się tam, albowiem sława Jeftego rozeszła się szerokim

224 Na tej przeklętej ziemi

echem: opowiadano o tym, jak to on wraz ze swą bandą koczowników, zwanych Jeftetytami, depta! po piętach całej armii Ammonitów, rabując karawany i lekceważąc sobie królewskie straże niczym ptak igrający z niedźwiedziem.

Jefte nie ukrywał przed braćmi, kim jest. Ale też nie rzucił im się z płaczem na szyję. Z biegiem lat dwaj spośród jego braci stali się jeszcze bardziej nieokrzesani. Ja-min, najstarszy z nich, był teraz mocno zbudowanym, tęgim mężczyzną, który nie przypominał ani swego ojca, ani matki, a najbardziej był podobny do domowego kapłana. Z kolei Jemuel nie mógł pozbyć się z twarzy służalczego uśmiechu, któremu towarzyszyło rozpustne spojrzenie, zdające się mówić: „Chodź ze mną do mego domu, przyjacielu, a wyprawimy sobie orgię”. Tylko najmłodszy z nich, Azur, rozwinał chyżość i bystrość strzały w locie; przypominał bardziej swego przyrodniego brata, syna Ammonitki, niż dwóch pozostałych synów Nehuszy córki Zabulona.

Kiedy trzech bracia, pokłoniwszy się, padli na twarz przed hersztem koczowników, Jefte ozwał się do nich w te słowa:

- Podnieście się, uciekinierzy, a nie składajcie przede mną pokłonów. Nie jestem Józefem ani wy nie jesteście synami Jakuba. Wstańcie. Natychmiast.

Począł mówić najstarszy, Jamin, jakby czytał napisany tekst:

- Panie mój, przybyliśmy, aby ci powiedzieć, iż wrogi Ammonita zdobył włości twego ojca. Nasz ojciec jest już starym człowiekiem i sam nie może walczyć przeciwko najeźdźcy. My, twoi słudzy, powiadamy ci: powstań, Jefte, i przybądź wybawić dom ojca twego i ojcowskie ziemie, jako że nikt prócz ciebie nie zdoła pokonać ammonickiego węża.

Tak oto błagali Jeftego, a on nie rzekł im ani słowa. Poleciał tylko, aby przyjęto ich do kompanii. Dzień za dniem przychodzili do niego z zapytaniem: „Jak długo wódz nasz będzie się jeszcze ociągał?” A on im nie odpowiadał ani też ich nie ganił. W głębi duszy zaś wołał: „O Panie, daj mi znak!”

Tymczasem Jefteyci nieustannie nękali armie Am-monitów. Nocami bojaźń i strach ogarniały miasto Abel-Keramim; obawiano się wojowników Jeftego, którzy napadali na karawany. A zwinni byli ludzie Jeftego i przebiegli jak ich herszt. Nocami jego stopy kroczyły lekko niczym powiew wiatru lub pieszczota. Pod osłoną nocy wysyłał on milczących, uzbrojonych w noże zabójców do ammonickich wodzów. Żołnierze Gatela z wielką trwogą nasłuchiwali w ciemnościach głosu wiatru, wilka, a może drapieżnego ptaka, ponieważ równie dobrze mogli to być koczownicy Jeftego, którzy w mroku wydawali głos ptaka, wilka, a może wiatru. I jak niepostrzeżenie przedostawali się przez mury do Rabbat-Ammonu, tak równie zręcznie przenikali na place i do świątyń w Abel-Keramim: za dnia wchodzili do miasta wraz z karawanami, przebrani za kupców, nocą siali panikę, a ze świtaniem znikali jakby zmiotł ich wiatr, i już ich nie było; pościgi wysyłane przez króla Gatela nieuchronnie przywodziły na myśl szukanie wiatru w polu. I zapisał król Galri w kronice swoich wojen:

Zaiste to metoda ludzi bojaźliwych - uderzyć i zbiec. Niech przybędą w blasku dnia, niech staną do walki twarzą w twarz, a ja ich zgniotę i na koniec zapanuje pokój.

Lecz Jefteyci wcale nie zamierzali przybyć w blasku dnia. Każdego ranka wódz koczowników wychodził z namiotu i stawał samotnie na wzgórzu, plecami zwrócony do obozu, twarzą zaś ku pustyni, jakby w oczekiwaniu na jakiś znak czy też zapach.

W liście do Jeftego król Gatel pisał:

Tyś Ammonitą, Jefte. Jesteśmy braćmi. Po cóż więc mamy walczyć przeciwko sobie? Jeśli zechcesz, przybądź, a ja dam ci miejsce w moim drugim rydwanie i nikt w żadnym z miast Ammona ani Izraela nie poruszy ręką ni stopą bez twojego rozkazu.

Przez swego adiutanta Azura, herszt koczowników odpowiedział królowi Gatelowi:

Gatelu, nie jestem twoim bratem ani synem twojego ojca. Ty wiesz najlepiej, żem jest obcy. Nie walczę w imieniu Izraelitów, lecz wiodę bój dla tego, którego ty znać

1S. Tam, gdzie wyją.

226 *Na tej przeklętej ziemi*

nie możesz. Na jego cześć oddam pod miecz tak ciebie, jak i wrogów twoich, albowiem byłem obcy i obcy pozostanę przez wszystkie dni mojego żywota".

i

Pewnej nocy Pitdah miała sen w swoim namiocie w kraju Tob. We śnie tym była panną młodą, przybraną w ślubną szatę, naramienniki i bransolety, a wokół niej płały druhny, trzymając liry i bębny w dłoniach.

Kiedy opowiedziała o tym swojemu ojcu, ten wpadł w panikę. Potrząsał ją za ramiona i szeptał gorączkowo:

- Powiedz mi, kto był twoim narzeczonym! Nalegał, by mu wszystko wyjawiała, wykręcając jej przy

tym gwałtownie ręce, aż nagle ona zaczęła się śmiać, tak jak często się śmiała bez żadnej przyczyny. Wówczas, bliski obłądu, uderzył ją w twarz wierzchem dłoni i krzyknął:

- Mów, kto był twoim narzeczonym! Pitdah rzekła:

- Patrzysz na mnie jak morderca.

- Kto to był, powiedz, kto to był?

- Nie mogłam we śnie zobaczyć jego twarzy, czułam tylko na ciele jego gorący oddech. Spójrz na siebie, masz pianę na ustach. Zostaw mnie w spokoju, idź i obmyj się w strumieniu.

- Kto to był?

- Nie waż się uderzyć mnie znowu albo zacznę się tak głośno śmiać, że cały obóz usłyszy.

- Kto to był?

- Ależ ty dobrze wiesz, kto jest moim narzeczonym. Dlaczego więc na mnie krzyczałeś, czemu tak drżysz?

Śmiała się, a on stał przed nią w osłupieniu. Powieki miał zamknięte, a jego wargi zdawały się mówić: „Oczywiście, że wiedziałem, więc dlaczego tak strasznie się zląkłem?" Stali tam wciąż jeszcze, kiedy przybyła starszyzna Izraela, aby pokłonić się Jeftemu.

Otworzył oczy i ujrzał, jak nadjeżdżali, a pomiędzy nimi jechał ojciec jego, Gilead. Był tak samo barczysty, ciężki i brzydki jak dawniej, tylko broda mu posiwiiała.

Na tej przeklętej ziemi 227

Z powodu pustynnego kurzu starsi w Izraelu unieśli brzegi swoich płaszczy. Padli na twarz przed hersztem koczowników. Jeden Gilead nie skłonił się ani nie ukorzył przed swoim synem. W owej chwili cudowna, musująca radość wezbrała w sercu Jeftego, radość, jakiej nigdy dotąd nie zaznał ani też nigdy więcej nie miał zaznać.

I kiedy zwrócił się do starszyzny, z trudem zapanował nad swoim głosem:

- Powstańcie, starsi w Izraelu. Człowiek, któremu się kłaniacie, jest synem nierządnicy.

Lecz oni pozostali na klęczkach i nie chcieli powstać; spoglądali tylko jeden na drugiego, nie wiedząc, co czynić. Na koniec, przerywając milczenie, ozwał się Gilead:

- Tyś jest synem moim, tym, który ocali Izrael przed Ammonitami.

Jefte chłodno rozkoszował się ich złamaną dumą, jak gdyby to była otwarta rana. A potem odczuł smutek, nie smutek z powodu starszyzny, a może wcale nie smutek, lecz coś, co było zbliżone do łagodności, coś jak smak spalonej ziemi. I przemówił do nich łagodnie:

- Jam jest obcy, o starsi w Izraelu. Nie godzi się, by obcy wam przewodził w wojnach waszych, a to żeby obozu waszego nie pokalać.

Na te słowa powstała starszyzna. A jeden z nich rzekł:

- Tyś naszym bratem, Jefte, bratem nam jesteś. Spójrz, oto dzisiaj uczyniliśmy ojca twego, Gileada, sędzią nad Izraelem, a ty, nasz brat, zostaniesz wodzem naszej armii i pójdiesz walczyć dla nas przeciwko Ammonitom; jako wódz armii twojego ojca staniesz się naszym zwierzchnikiem i będziesz miał władzę nad wszystkimi twymi braćmi, Jefte, gdyż od wczesnej młodości poznawałeś tajniki wojny. Po dziś dzień pasterze opowiadają przy ogniskach historię o tym, jak rozszarpałeś wilka gołymi rękami.

- Starsi w Izraelu, czyż to nie wy mnie znienawidziliście? I powiadam wam, że kiedy już dla was rozgromię Ammonitów, wy pierwsi ścigać mnie będziecie jak zbuntowanego niewolnika, a ten tutaj, ojciec mój, zlikuje mnie w kajdany, gdyż jest sędzią nad Izraelem, ja zaś jestem obcy, koczownik i syn nierządnicy.

228 Na tej przeklętej ziemi

- Moim jesteś synem, Jefte. Moim chiopcem, który wkładai rękę w ogień bez jęku i który bez broni pokonał wilka. Jeśli powrócisz i dla nas Ammonitów pokonasz, ja pierwszy ci pobłogosławię w obecności wszystkich braci twoich, a ty staniesz się tym, który będzie lud za sobą prowadził i z ludem powracał przez wszystkie dni mojego żywota.

- Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju, o starsi w Izraelu? I ty także, sędzio nad Izraelem, zaniechaj swoich próśb. Nie jesteście dziećmi, po cóż więc prowadzicie tę grę. Idźcie póki czas i ocalcie wasze sędziwe głowy, a weźcie ze sobą wszystkich swoich kapłanów i skrybów. Tylko już przestańcie mnie niepokoić. Widzę na wylot waszą intrygę. Jefte nie stanie się rumakiem bojowym Izraela ani ten oto starzec nie pojedzie na moim grzbiecie.

Wówczas Gilead Gileadita przemówił, przy czym szczęki zwały mu się tak mocno, jakby z całych sił próbował rozerwać żelazny łańcuch.

- Twój ojciec nie pozostanie sędzią nad Izraelem. Ty będziesz walczył i ty sądy będziesz sprawował.

Starszyzna milczała; na dźwięk owych słów zawiodły ich języki. Jefte rozmawiał przemyślnie jak lis; kiedy ponownie się odezwał, w oczach zamigotała mu żółta iskierka:

- Jeśli tak jest rzeczywiście i prawdziwie, iż w tej chwili powołujesz mnie na sędziego w Izraelu, przysięgnij mi zaraz w imię naszego Boga.

- Niech Bóg usłyszy i zaświadczy: będziesz sędzią.

- Syn nierządniczy zostanie waszym wodzem - rzekł Jefte, a potem zaśmiał się tak głośno, aż konie się spłoszyły.

A starszyzna powtórzyła bezgłośnie:

- Naszym wodzem.

- Zatem zakujcie natychmiast tego starca w żelazo. Sędzia w Izraelu rozkazuje wam.

- Jefte, mój synu...

- I wrzucie go do dołu. Rzekłem.

Nazajutrz Jefte dokonał przeglądu armii, naznaczył też kapitanów i dowódców. Następnie wyprawił swoich

Na tej przeklętej ziemi 229

braci, Jamina i Jemuela, aby czym prędzej zebrali wszystkich wojowników pośród plemion Izraela. I wysłał swojego adiutanta, Azura Gileadczyka, do Gatela, króla Ammo-nitów, z żądaniem: „Opuść mój kraj!”

A skoro minął jeszcze jeden dzień, sędzia w Izraelu rozkazał, aby w samym środku obozu postawiono wielki namiot i aby ulokowano w nim Gileada, jego ojca, zapewniwszy mu wino i dziewczęta do posługi. Do swojej córki Pitdah zaś rzekł:

- Jeśli starzec rzuci dzbanem wina o ziemię i rozbije go na kawałki, nakaz służebnicom, aby czym prędzej przyniosły mu nowy. Kiedy roztrzaska drugi, każ im pójść po następny, jako że starzec ten lubuje się w dźwięku tłuczonego szkła. Niech więc je rozbija ku swemu zadowoleniu. Tylko nie waż mi się sama wchodzić do jego namiotu; a teraz przestań się śmiać. Idź!

Tymczasem Jeftetyci nie przestawali nękać Galela, króla Ammonitów, doprowadzając go tym do rozpacz: w biały dzień porywali mu żołnierzy, a nocami zapadali się jak pod ziemię. Co prawda, król wysyłał wojsko w pościg za nimi, ale przypominało to gonienie wiatru w polu. Z tego powodu stał się Gatel przedmiotem pośmiewiska w Moabie, a w ziemi Edom powstało nawet przysłowie: „Mucha kąsa, a niedźwiedź tańczy”.

Wnet przesłał Gatel odpowiedź Jeftemu przez jego adiutanta, Azura:

Zostaw mnie w spokoju, Jefte. Jesteś Ammonitą, dlaczego więc krzywdzisz mnie, przecież kochałem cię szczerze.

Lecz Jefte znał dobrze plany Gatela i wiedział, jak bardzo królowi zależało na tym, aby upodobnić się do jednego z owych bohaterskich władców z dawnych czasów, chociaż nawet zapach koni, dolatujący z oddali, przyprawiał go o zawrót głowy. Dlatego też sędzia w Izraelu z całym spokojem za pośrednictwem wysłańców śpieszących tam i z powrotem wiódł z królem Ammonitów potyczki słowne: do kogo rzeczywiście ta ziemia należy; przodkowie którego z nich osiedli tu pierwsi; co zostało napisane w kronikach; kto był w prawie i po czyjej stro

230 Na tej przeklętej ziemi

nie stała sprawiedliwość. W końcu Gatel nabrał przekonania, iż przyszło mu wieść wojnę na zwoje pergaminu, mnożył więc zwój za zwojem.

Pewnego dnia starszyzna Izraela przybyła do namiotu sędziego ze słowami:

- W imię Boże, ruszaj, albowiem czas mija, Ammonici niszczą cały kraj i jeśli nadal będziesz zwlekał, nic dla nas nie zostanie.

Jefte wysłuchał ich, lecz nie rzekł ani słowa. Starszyzna przekonywała więc dalej:

- Pchnij gońca do Edomitów i Arabów, poślij do Egiptu i Damaszku, sami nie podołamy, gdyż Ammonici zbyt są mocni dla nas.

Jefte jednak nadal milczał. A w myślach mówił sobie:

- Daj mi jeszcze tylko jeden znak, o Boże, a ja ofiaruję ci ich ciała powalone na ziemię, tak jak ty to lubisz,

O Panie wilków nocą na pustyni.

Którejś nocy Pitdah znowu miała sen. Przybył w ciemnościach jej narzeczony i cichym, spokojnym głosem rzekł do niej: „Pójdź, o wybranko moja, powstań, albowiem nadszedł czas”.

Rano Jefte wysłuchał jej opowieści, lecz tym razem nie rzekł ni słowa, tylko twarz mu się zachmurzyła. Sny nawiedzały go przez całe życie. I jak jego ojciec, Gilead, przed nim, tak teraz on wierzył, iż sny pochodzą z tego miejsca, z którego pochodzi sam człowiek i dokąd powraca przez swoją śmierć. Powiedział cicho:

- Oto nadszedł czas.

A dziewczyna roześmiała się w głos. W godzinę później zabrzmiały trąby. I zgromadziły się wszystkie wojska na skalistym zboczu wzgórza, a promienie słoneczne igrały na włóczniach

1 tarczach. Starszyznę plemienną ogarnął popłoch i w zartwożeniu szukała odpowiednich słów, które zdołałyby powstrzymać Jeftego od uderzenia na mury Ammona całą siłą, gdyż wielka była potęga Ammonitów i z podobnej klęski mógłby Izrael nigdy więcej się nie podnieść; a oto teraz ten dziki człowiek najwyraźniej postanowił rozbić

Na tej przeklętej ziemi 231

głowę Izraela o kamienne mury Ammona. Lecz sędzia w Izraelu powstał i nie wysłuchawszy ich usilnych próśb, opuścił namiot. Zatrzymał się u wejścia, twarzą zwrócony do swoich wojsk; Pitdah była u jego boku. Położył dłoń na ramieniu córki, a kiedy się odezwał, zdawało się, że to głos jego zmarłej matki przez niego przemawia:

- O Boże, jeżeli sprawisz, że synowie Ammona wpadną w moje ręce, wówczas ten, kto pierwszy wyjdzie mi na spotkanie z drzwi mego domu, gdy w pokoju będę wracał z pola walki z Ammonitami, będzie należał do Ciebie, Panie i złożę z niego ofiarę całopalną...

- Pan wyda synów Ammona w ręce twoje. A teraz wy, moje panny, przygotujcie mi ślubne szaty - powiedziała piękna, ciemnowłosa dziewczyna.

Ludzie krzyczeli radośnie, konie rżały, a ona śmiała się i śmiała, i nie przestawała się śmiać.

Jeftę Gileadczyk wyłonił się ze swego ukrycia w kraju Tob, by uderzyć na Ammonitów; i zrównał ich mury z ziemią, choć wielka była siła Ammona. Pędził przez miasta, burzył baszty i palił świątynie, rozbijał wieże i kruszył złote kopuły, a żony, konkubiny i nierządnicę rzucał na pożarcie dzikiemu ptactwu.

Nim słońce doszło do zenitu, Gatel został wydany pod miecz, Ammonici zaś rozgromieni na przestrzeni od Aroeru aż po okolice Minnit, co stanowiło równo dwadzieścia miast, i dalej aż do Abel-Keramim; i rzeź stała się wielka, w niej wielu ludzi poległo, i oto z nadejściem nocy kraj Ammon leżał pokonany, i Gatel już nie żył, a Jeftę wciąż milczał.

8

Dni ludzkiego żywota są jak woda wsiąkająca w piasek: człowiek znika z powierzchni ziemi, nieznany w chwili przyjścia i nierozpoznany, kiedy odchodzi. Rozpływa się jak cień, którego nie sposób przywołać z powrotem. Zdarza się jednak, że nocą nawiedzają człowieka sny, a w snach widzi on, iż tak naprawdę nic nie przemija i nic nie ulega zapomnieniu, wszystko jest ciągle obecne, tak jak było przedtem.

232 *Na tej przeklętej ziemi*

W snach nawet umarli wracają do domu. I nocą we śnie nawet dni stracone i zapomniane ożywają ponownie w całej swojej krasie, opromienione blaskiem, i ani jedna kropla nie idzie na marne, nie ginie ani okruszyna. Zapach mokrego kurzu w dawno miniony jesienny poranek, obraz spalonych domów, których popioły rozwiały ongiś wiatr, krągłe biodra umarłych kobiet, szczenie do księżyca w zamierzchną noc przodków tych psów, które dziś są z nami - wszystko zjawia się w naszych snach znów żywe i takie jak dawniej.

Jak we śnie, Jefte Gileadczyk stał u wejścia do ojcowskich włości, gdzie się urodził, gdzie w cieniu sadów poczuł pierwsze dotknięcie ręki i skąd przed wieloma laty uciekł na zawsze; ani jedna kropla nie poszła na marne, nie zginęła ani okruszyna. Płoty i sady stały przed nim jak za dawnych czasów, a pnącza winorośli wciąż pokrywały ściany domu, aż czarne wulkaniczne kamienie całkowicie ginęły w ich uścisku. I woda płynęła w kanałach, a pod drzewami trwała chłodna, mroczna tęsknota.

Niby człowiek ogarnięty snem, stał Jefte zapatrzony w dom, ledwie dostrzegając czarnowłosą piękność, która ze śpiewem wychodziła mu na spotkanie. Tuż za nią podążał cały orszak: dziewczęta z bębenkami, pasterze grający na piszczalkach i jego ojciec, Gilead, człowiek barczysty i zgorzkniały. Dalej pojawili się na drodze Jamin, Je-muel i Azur, a w oknie ukazała się ich matka, Nehushta córka Zabulona, blada, w białej sukni, z nikłym uśmiechem na zbiegających wargach. I wszystkie psy szczekały, a bydło porykiwało, i byli tam również domowy skryba i kapłan, i łysy rządcą, wszystko jak we śnie, nic nie zostało pominięte.

I podążały za nią białe ubrane dziewczęta, grając na bębenkach i śpiewając: „Jefte zwyciężył, Jefte zwyciężył!"; i wiwatował lud rozradowany, a nad całą Mispą Gileada jarzyły się pochodnie.

A kiedy wychodziła, wszystkim się zdawało, że płynie, że lekkie jej stopy nie dotykają zapyłnej drogi. Jak gaze-la schodzi do wodopoju, tak Pitdah szła do swego ojca. Ślubna jej suknia lśniła bielą, rzęsy ocieniały oczy, a kie

Na tej przeklętej ziemi 233

dy spojrzała na niego rozeźmiana, ujrzał ogień i lód płonące w jej źrenicach zielonym płomieniem. Panny śpiewały: „Jefte zwyciężył, zwyciężył, zwyciężył!”, biodra Pitdah poruszały się nieprzerwanie niczym w rytmie sekretnej tańca, a była smukła i bosa...

Jak we śnie stał sędzia Izraela u bram ojcowskich włości. Twarz miał spaloną słońcem i wysmaganą wiatrem, a wzrok kierował w głąb siebie. Tak jakby był śmiertelnie zmęczony. Tak jakby spał.

Na widok Gileada, niesionego w lektyce przez Jami-na, Jemuęła i Azura, wiwatujący lud ożywił się jeszcze bardziej i oddziały wojska zaczęły wznosić okrzyki: „Oto szczęśny ów ojciec, szczęśny ojciec!” Mispa jaśniała od płonących pochodni i odgłos bębenków rozbrzmiewał radośnie.

Piękna była ciemnowłosa Pitdah, kiedy wkładała wieniec zwycięstwa na głowę swego ojca. W milczeniu zakryła mu oczy dłońmi, a potem rzekła do niego:

- Ojcze.

Gdy palce jego córki dotknęły mu powiek, Jefte poczuł się jak spalony słońcem pustynny głaz, nagle spryskany chłodną wodą. I nie chciał budzić się z tego snu.

Był zmęczony i spragniony, a jego nieumyte ciało wciąż było unurzane w popiele i krwi. Na krótką chwilę ogarnęła go tęsknota za miastem, które spalił tego dnia, za Abel-Keramim, z lasem baszt sięgających nieba i zwieńczonych złotymi kopułami, za słońcem muskającym złocenia o poranku i za chorowitym, młodym królem, który błagał: „Nie opuszczaj mnie, Jefte, opowiedz mi coś, bo tak ciemno dookoła”; a dalej zateśknił za karawanami, co wjeżdżały w zapadającym zmierzchu przez bramy miasta w takt pobrzękiwania wielbłądzich dzwonków, i za kobiecymi wargami, które przebiegając po jego owłosionym torsie, szeptały: „Obcy, obcy”, a też za nocnymi światłami i za muzyką, i za swoim mieczem, który przebił gardło chorego króla i zboczony krwią przeszedł przez szyję na wylot, i za samym Gatelem, kiedy konającymi wargami mówił: „Cóż za okropna historia”, i za tym miastem całym w ogniu, gdzie płonące kobiety rzucały się ze szczytu dachów, i jeszcze za odorem zwęglonych ciał, i za krzykami...

234 *Na tej przeklętej ziemi*

Milcząc, z zamkniętymi oczami, stał bez ruchu u bram ojcowskiego domu.

W owej chwili stary Gilead wznosił rękę, uciszając śpiewaków, muzykantów i wiwatujące tłumy, tak aby sędzia nad Izraelem mógł przemówić do ludu.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Jedynie światło pochodni drżało w bezszelestnym powiewie wiatru.

Sędzia Izraela otworzył usta, żeby przemówić, lecz nagle upadł na ziemię, wyjąc jak wilk przesyty strzałą.

- Matko moja... - wyszeptały jego wargi.

A pewien człowiek ze starszyny plemiennej, który był przy tym obecny, pomyślał sobie w duchu: „To człowiek zdrażliwy; on nie jest jednym z nas”.

9

Poprosiła go o dwa miesiące, a on, zupełnie jakby o wszystkim zapomniał, rzekł do niej:

- Opuść to miejsce, udaj się do innego kraju i nigdy do mnie nie wracaj.

Dziewczyna roześmiała się i odparła:

- Zrzuć sobie płaszcz na głowę i oczy i zarycz jak krowa, a my popatrzymy i pośmiejemy się trochę.

On zaś, zagubiony w swoich tęsknotach, powiedział:

- Spójrz, Pitdah, na to ogrodzenie; tam siedzi jaszczurka. O, już uciekła.

Przez dwa miesiące wędrowała po górach, a za nią podążały jej towarzyszkę. Pasterze uciekali na ich widok. Kiedy przechodziły przez jakąś osadę, mieszkańcy chowali się po domach. Szły ubrane na białą w głębokim milczeniu przez zalane księżycową poświatą wąwozy. Jakież przesłanie niosła w sobie owa trupia bladość, owe srebrzące się śmiertelnie światło na martwych szczytach wzgórz... Dzikie zwierzę ich nie tknęło. Drzewa oliwne, poskręcane ze starości, nie odważyły się drasnąć im skóry. Piaszczysta ziemia tłumiała ich kroki, podobnie jak szelest liści ginie w szumie wiatru. Którym ze zmysłów słucha człowiek dźwięków różnorodnych, a którym ze zmysłów wsłuchuje się w ciszę? Kobieta i mężczyzna, ojciec, mat

Na tej przeklętej ziemi 235

ka i syn, ojciec i matka, i córka, dwóch braci, zima, jesień, wiosna i lato, woda i wiatr, są niczym innym, jak tylko dałą wewnątrz dali, i nieważne, czy człowiek będzie krzyczał, śmiał się czy też milczał, wszystko bez wyjątku pochłonie spokój gwiazd i smutek tamtych wzgórz.

Piękna była ciemnowłosa Pitdah, kiedy tak ze śmiechem szła w ślubnym wieńcu; widząc ją w oddali, chudzi koczownicy mówili:

- Ona jest obca, córka obcego, żaden mężczyzna nie może zbliżyć się do niej ani z nią żyć.

Powróciła, gdy upłynęły dwa miesiące. Na szczycie góry wzniósł Jefte ołtarz i rozniecił ogień, a w jego ręku był nóż. W późniejszych czasach ludzie z wędrownych plemion opowiadali sobie nocą przy ognisku o wielkiej radości, jaką oboje okazywali: ona, panna młoda na swym ślubnym łożu, i on, młodzieńczy oblubieniec, wyciągający dłoń w pierwszym dotknięciu. I oboje śmiali się tak, jak śmieją się dzikie zwierzęta w mroku nocy; i nie rozmawiali, tylko Jefte rzekł do niej:

- Morze, morze.

Wybrałeś mnie spośród wszystkich moich braci i przykazałeś, abym Tobie służył. Nie będziesz miał innego sługi przede mną. Oto jest śniada piękność pod mym nożem; nie odmówiłem ci jedynej córki mojej. Daj mi znak, albowiem pewne jest, iż na pokuszenie sługę swego wystawiasz.

A potem nocne zwierzęta krzyczały pośród skał, jałowa pustynia zaś rozciągała się aż po szczyty odległych wzgórz.

10

Przez sześć lat Jefte Gileadczyk był sędzią nad Izraelem. Tonął we krwi po szyję. Podburzył kraj przeciwko Efraimowi, doprowadzając do zniszczenia Izraela, dokładnie tak jak to w młodości zapowiedział Gatelowi, królowi Ammonitów: „Nie jestem po stronie Izraela ani też nie ma mojego dziedzictwa pośród dzieci Ammona; wydam na zagładę ciebie na równi z wrogami twymi, albowiem byłem obcy i obcy pozostanę przez wszystkie dni mego żywota”.

236 Na tej przeklętej ziemi

A po sześciu latach poczuł się zmęczony sprawowaniem sądów, powrócił więc samotnie na pustynię. Żaden człowiek nie zbliżył się do niego, gdyż śmiertelny strach padł na wszystkich koczowników w kraju Tob. Jedynie brat przyrodni, Ażur, przychodził, aby mu w pewnej odległości pozostawiać chleb i wodę. Jego wychudłe psy przychodziły zawsze wraz z nim.

Cały rok mieszkał Jefte samotnie w jaskini w kraju Tob. Uczył się głosów nocy, które dolatywały ze zjeżonej pustyni, aż sam potrafił je wszystkie powtórzyć, a wreszcie postanowił: „Dość!”

I zapisał domowy skryba w kronice rodu:

Po nim sprawował sądy nad Izraelem Ibsan z Betlejem. A miał on trzydziestu synów i trzydzieści córek.¹

1966 1974-75

¹ Stary Testament, Księga Sędziów 12, 8-9 (przyp. tłum.).

Spis rzeczy	
Tam, gdzie wyją szakale.....	5
Koczownik i żmija.....	24
Tchnienie wiatru.....	44
Nim przyszedł jego czas.....	68
Klasztor trapistów.....	93
Dziwny ogień.....	118
Wydrążony kamień.....	150
Na tej przeklętej ziemi.....	183